

SHARON HUSS ROAT

#niewidzialna



TU JEST INTERNET.
TU NIC NIE DZIEJE SIĘ
NAPRAWDĘ.

Sharon Huss Roat

#niewidzialna

Tłumaczenie:

Małgorzata Hesko-Kołodzińska

Niniejsza książka to fikcja literacka. Wszystkie imiona, nazwiska, nazwy przedsiębiorstw, miejsc, zdarzeń i wypadków zostały wymyślone przez autorkę lub wykorzystane w formie fikcyjnej. Jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, zarówno żywych, jak i nieżyjących, jest całkowicie przypadkowe.

*Dedykuję tę książkę wszystkim,
którzy kiedykolwiek czuli się odrzuceni, pominięci
lub niewystarczająco dobrzy.*

Rozdział 1

Stoję przy szafce i czuję, jak na moim podkoszulku wykwitają plamy potu. Przecież nikt tego nie zobaczy, zapewniam w duchu samą siebie. Nie pod gigantycznym swetrem, który włożyłam, ani pod niemal nieprzeniknioną gęstwiną moich włosów.

Mimo to odciągam brudnożółtą dzianinę od pach. Rano mama rzuciła na mnie okiem i zdołała się powstrzymać od wypowiedzenia na głos tego, co zapewne sobie pomyślała – że nie zostanę miss popularności, przebrana za gigantyczny kleks musztardy dżońskiej.

– Jesteś gdzieś tam w środku? – zażartowała tylko i umilkła, smarując kanapkę musztardą.

Jej wzrok wędrował od mojego swetra do musztardy i z powrotem.

Taka jest subtelna.

Mam świadomość, że w tym kolorze nie wyglądam najlepiej. Nie podkreśla barwy moich orzechowych oczu, nie pomaga wyróżnić się w tłumie. W zasadzie ten konkretny odcień brązowawej żółci doskonale pasuje zarówno do moich włosów, jak i do koloru ścian szkoły. Dlatego właśnie go noszę. Jeśli to, co zamierzam zrobić, pójdzie nie tak, jak trzeba, zdołam wtopić się w otoczenie i zniknąć, nim ktokolwiek zauważy.

To moja najlepsza przyjaciółka Jenna zmusza mnie, żeby to

zrobiła. Wczoraj wieczorem łączyliśmy się przez FaceTime ze swoich pokoiów – mojego tam gdzie zwykle, a jej w bardzo odległym stanie Wisconsin, gdzie obecnie mieszka. Jej mama dostała tam naprawdę dobrą pracę, więc cała rodzina przeprowadziła się w połowie sierpnia, parę tygodni przed początkiem naszej drugiej klasy liceum.

- Martwię się o ciebie – powiedziała Jenna.

Przesunęłam się na bok, więc teraz widziała tylko moją kotkę o imieniu Kat, zwiniętą w pręgowaną kulkę na łóżku.

- Minęły dwa miesiące. – Jenna zbliżyła twarz do ekranu i wyszeptała: – Rozmawiałaś z kimkolwiek w ciągu tych dwóch miesięcy?

- Z tobą – odparłam.

- Z prawdziwym człowiekiem.

- Ty nie jesteś prawdziwa?

- Nie o to mi chodzi. – Przechyliła telefon i postawiła go na toalecie, żebym miała widok na jej nową sypialnię, którą od razu znienawidziłam. – Z prawdziwym człowiekiem, na żywo. Nie z rodzicami. Nauczyciele się nie liczą.

Usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio odezwałam się do kogoś w szkole, poza mamrotaniem: „Sorry”, gdy ktoś na mnie wpadł, albo szeptaniem: „Na zdrowie”, kiedy uczeń obok mnie kichnął. W zasadzie odkąd pamiętam, gadałam wyłącznie z Jenną. W rozmowach z innymi to ona zawsze odzywała się w imieniu nas obu, nawet jeśli pytanie było skierowane do mnie. Ja się wahałam, a wtedy ona wyskakiwała z odpowiedzią. Tak to działało między nami. Za to ja sznurowałam jej buty. Byłam w tym lepsza, więc Jenna

nigdy nie nauczyła się wiązać sznurówek. Teraz kupuje buty zapinane na pasek albo zamek błyskawiczny, i wsuwane.

A ja z nikim nie rozmawiam.

- Przecież wystarczy się przywitać - powiedziała Jenna. - Tak się przecież zaprzyjaźniłyśmy, pamiętasz? Powiedziałaś: „Hej”, a potem samo się potoczyło.

- Miałam pięć lat - odparłam. - I nie wiedziałam, czym to grozi.

- No to udawaj, że znowu masz pięć lat. - Roześmiała się. - Siedzisz po turecku na trawie i liżesz lody sorbetowe, kiedy dziewczynka z tragiczną grzywką wychodzi z domu po drugiej stronie ulicy. Wygląda tak, jakby ktoś obciął jej włosy maczetą. Przywitaj się z biedactwem.

- To nie takie proste - westchnęłam. - Przecież mnie znasz.

Jej twarz znowu pojawiła się na ekranie.

- Znam cię doskonale i właśnie dlatego musisz to zrobić, inaczej przez resztę liceum będziesz samotna i nieszczęśliwa. Pewnie zaczniesz ukrywać się w kiblu.

Naprawdę dobrze mnie znała.

Dlatego właśnie obiecałam jej, że dzisiaj przywitam się z kimś w szkole. Tym kimś, kogo wybrałam, jest Hallie Bryce. Jej szafka sąsiaduje z moją, więc do Hallie na ogół dociera to, co zdołają wyprodukować moje struny głosowe. Nie będę musiała się wysilać ani do nikogo podchodzić.

Odchrząkuję, żeby sprawdzić, czy moje gardło nadal działa, i w tym samym momencie zauważam idealny koczek Hallie, która sunie po korytarzu w moim kierunku. Natychmiast słyszę pulsowanie krwi w uszach.

Hallie podchodzi do szafki i przykuca, żeby ustawić szyfr – a właściwie nie kuca, fachowe określenie tego, co robi, to *grand plié*, co przeczytałam na jej instagramowym koncie, gdzie zamieszcza jedynie baletowe zdjęcia (zwykle samej siebie na puentach w rozmaitych miejscach, w których zazwyczaj trudno natknąć się na baletnicę. Na drzewie. Na plaży. Na tle miejskich ruin). Nie obserwuję jej, to znaczy nie kliknęłam „Obserwuj” na Instagramie. Wolę kryć się w cieniu. Nie chodzi o nic strasznego, raczej o podziw z oddali. „Też bym tak chciała” – coś w te klocki.

No więc robi to *plié* tuż obok, a ja muszę tylko wyartykułować jedno krótkie słowo i misja będzie wypełniona. Nawet nie wymagam od siebie wypowiedzenia: „Cześć”, już nie wspominając o czymś tak szalonym jak: „Co u ciebie?”. „Hej” wystarczy.

Hallie zerka na mnie i unosi pięknie wykrojoną brew. Czeka, bo się na nią gapię. Wiem, że się gapię, ale nie mogę oderwać od niej wzroku ani nawet się poruszyć, ani zachować jak normalny człowiek.

Hallie ściąga brwi na kształt litery V i lekko przechyla głowę.

– Mówiłaś coś? – pyta.

Doskonale wie, że nic nie powiedziałam, jest po prostu uprzejma.

Wbijam wzrok w podłogę. Nie ma mowy o żadnym „hej”, teraz próbuję tylko uspokoić oddech.

Hallie wzdycha, wstaje, zamyka szafkę i odchodzi, kręcąc piruety. No dobra, po prostu idzie, ale w ten swój baletowy

sposób – obciążnięte palce, stopy na zewnątrz. Patrząc na nią i ciężar spada mi z serca. Gdy mój lęk się ulatnia, przez chwilę czuję ulgę, ale szybko zastępuje ją stan, który mogę określić jednym zdaniem: „Jestem do niczego”.

Jedna prosta rzecz. Tylko tyle musiałam zrobić.

Wędruję wzrokiem do wnętrza swojej szafki i zdjęcia przyklejonego do ściany z tyłu. Ja i Jenny stoimy na nim obok siebie. Mam na sobie jej różową sukienkę na ramiączkach, za ciasną, ale zdaniem Jenny idealną dla mnie. Uśmiechamy się szeroko, szczerząc zęby.

Dotykam zdjęcia, bo to pomaga, sama nie wiem dlaczego. Jeszcze tylko siedem godzin i będę wracała autobusem do domu, pisząc wiadomości do Jenny. Przyznam się do porażki, ale i tak pozostaniemy przyjaciółkami. Powiedziała, że po jej przeprowadzce dzieląca nas odległość nie wpłynie na naszą przyjaźń. Skończymy liceum, razem pójdziemy na studia i razem zamieszkamy, jak planowałyśmy.

Zamykam szafkę i ruszam na pierwszą lekcję, skupiona na tym, żeby się nie potknąć, nie oberwać plecakiem ani nie dać sobie wykłuć oka pałką do perkusji. To ostatnie zagrożenie jest jak najbardziej realne, bo przede mną idzie Adrian Ahn i wywija pałkami.

Adrian to oficjalny gwiazdor rocka w liceum imienia Edgara H. Richardsona. Gra w zespole o nazwie East 48. Są nieźli, moszują i skaczą w tłum wydzierających się na całe gardło fanów. (Nie to, że bym ich widziała na żywo, ale wrzucają nagrania na YouTube). Adrian jest pół-Koreańczykiem i farbuje długie włosy na ciemnoczerwono. Dziś związał je

w luźny kok i wetknął w niego ołówek. Coś takiego przejdzie tylko w jego wykonaniu.

Gapię się na tył jego głowy (na pewno nie na tyłek, choć też jest niczego sobie). Właśnie się zastanawiam, co by się stało, gdybym wyciągnęła mu z włosów ołówek, kiedy Adrian niespodziewanie obraca się na pięcie i wyrzuca pałkę w powietrze. Zatrzymuję się gwałtownie, żeby na niego nie wpaść, co robi chłopak idący obok mnie. Zderza się z Adrianem i popycha go, uniemożliwiając mu złapanie pałki, która właśnie szybuje w powietrzu...

I leci prosto w kierunku mojej twarzy. Odruchowo wyciągam rękę i łapię pałkę.

- No, no! - odzywa się Adrian, gdy odzyskuje równowagę. - Niezłe oko.

Mrugam, patrząc na pałkę w swojej wyciągniętej dłoni. OMG, złapałam pałkę Adriana Ahna. A on się do mnie odezwał. Mam szansę z kimś porozmawiać - i to z kimś, kto odezwał się do mnie pierwszy!

- Hej - wyrzucam z siebie.

Nic innego nie przychodzi mi do głowy, pewnie dlatego, że przez cały ranek powtarzałam to słowo, przygotowując się do powitania Hallie. Od razu wiem, że nie to powinnam powiedzieć.

Dlatego oczywiście powtarzam:

- Hej!

- Tobie też hej - śmieje się Adrian.

Stoimy na środku korytarza. Mijający nas uczniowie bez przerwy na mnie wpadają.

- Mogę, hm, to zabrać?

Adrian wskazuje na pałkę w mojej dłoni, którą nadal trzymam wysoko nad głową, jak Statua Wolności. Szybko wyciągam ją w jego stronę.

- Eee... tak. Masz tu swoją pałkę. Złapałam ją. Oczywiście w samoobronie. Można tym wydłubać oko. Ale proszę, jest twoja. Cieszę się, że mogłam pomóc.

O Boże. „Cieszę się, że mogłam pomóc”? Naprawdę powiedziałam to na głos? Ten słowotok to okazjonalny skutek uboczny wiecznego milczenia - całkiem jakby mózg przechowywał każdą idiotyczną myśl i zniecka wymiotował wszystkimi naraz.

Na domiar złego kończę te wywody radosnym:

- Zmierzaj dalej i żyj dostatnio!

Adrian znowu się śmieje.

- Ty też, Spock.

Nie wyjaśniam mu, że nie cytowałam Wulkanina Spocka, który mówił: „Żyj długo i dostatnio”, bo na szczęście mój mózg całkiem się wyłącza. W tej samej chwili porywa nas tłum uczniów.

Dlatego w twoim życiu brakuje tego, co fajne, Vicky. Nie masz ani przyjaciół, ani szans na miłą rozmowę.

Zamiast iść na historię, wpadam do najbliższej łazienki dla dziewczyn, usiłując zapanować nad nagłą falą nudności. Nic mi z tego nie wychodzi i wymiotuję do muszli, jedną ręką podtrzymując włosy, a drugą opierając o uchwyty na papier toaletowy.

Dziewczyna, którą minęłam w biegu do kabiny, mówi: „Błę”

i ucieka z łazienki. Spuszczam wodę i wpatruję się w muszlę, teraz czystą i szybko się napełniającą.

Wzdrygam się, słysząc pukanie do drzwi. Odwracam głowę i widzę po drugiej stronie parę trampków Converse, z symbolem jin-jang wymalowanym permanentnym flamastrem na gumie na palcach. Uwielbiam ten symbol. Jenna i ja odkryłyśmy go latem przed siódmą klasą i został naszym prywatnym szyfrem. Bazgrałyśmy go wszędzie, podpisywałyśmy nim liściki. Ściągnęłyśmy z sieci emotkę z jin-jang, żeby przesyłać ją w esemesach. Nawet zrobiliśmy sobie tymczasowe tatuaże, przysięgając uroczyście, że za kilka lat naprawdę się wytatuujemy.

Właścicielka conversów z jin-jang pyta:

- Nic ci nie jest?

- W porządku! - krzyczę, zbyt głośno.

Dlaczego wrzeszczę?

- Na pewno? - dopytuje się dziewczyna.

- Tak - szepczę.

Teraz za cicho. Zachowuję się jak wariatka. Nie zawsze było ze mną tak źle, a może było, tylko nie zauważyłam tego przed wyjazdem Jenny. To tak, jakby chodziło się po równoważni, kiedy ktoś trzyma cię za rękę i wszystko jest w porządku, i nagle ten ktoś niespodziewanie cię puszcza, a wtedy nie możesz się ruszyć.

Dziewczyna w czerwonych conversach waha się przez chwilę, po czym odwraca się i wychodzi. Ocieram usta papierem toaletowym i znowu spuszczam wodę. Już za późno, żebym zdążyła na lekcję, więc wyciągam z plecaka chusteczkę

dezynfekującą (zawsze mam zapas pod ręką) i czyszczyć deskę sedesową, na której spędzę czas do następnej przerwy. Jeszcze nie było dzwonka, ale lada chwila go usłyszę, a na myśl o wejściu do sali po nim znów robi mi się niedobrze.

Spóźnienie na lekcje znajduje się bardzo wysoko na Liście Grozy, czyli liście głupot, które mnie przerażają. Ułożyłam ją na początku roku i dodaję do niej kolejne punkty, gdy coś mnie denerwuje albo zawstydza, albo chcę zniknąć. Lista jest już tak długa, że zapamiętanie jej to rodzaj zabawy, jak wyrecytowanie wszystkich pięćdziesięciu stanów. Znajduje się na niej:

- Zainicjowanie rozmowy
- Spóźnienie na lekcję
- Nawiązanie kontaktu wzrokowego
- Zajęcie wyznaczonego miejsca
- Samodzielny wybór miejsca do siedzenia
- Powiedzenie jakiejś głupoty
- Wywołanie do tablicy
- Najszybsze napisanie klasówki
- Najwolniejsze napisanie klasówki
- Praca w grupach
- Samodzielna prezentacja
- Stołówka
- Jedzenie przy ludziach
- Wuef
- Publiczne kichanie

Teraz mogę dodać do listy „Złapanie pałek” i „Niezłapanie pałek”. Jedno i drugie jest upokarzające.

Po uzupełnieniu listy wyjmuję podręcznik do historii. Odkryłam, że jest dość duży, żeby przykryć deskę klozetową, dzięki czemu mogę siedzieć na czymś mniej obrzydliwym. Przez całą pierwszą lekcję uczę się do klasówki z matmy, która jest na następnej lekcji, co oznacza, że na szczęście nie będę musiała do nikogo się odzywać. Po prostu pochylę głowę i zajmę się pracą.

Tak właśnie spędzam resztę dnia. Pochylam głowę. Idę na lekcje. Zajmuję się pracą. Słucham, ale nie przesadnie uważnie, więc unikam zainteresowania nauczycieli, którym wystarcza czasu tylko dla leni i kujonów. Ja jestem nierzucającą się w oczy szarą masą.

Ostatni dzwonek rozlega się za dziesięć czwarta, czyli półtorej godziny później niż w poprzednim roku, bo nasza szkoła przestawiła się na nowy rozkład, który podobno odpowiada naturalnemu cyklowi snu nastolatków (co wynika z badań i faktu, że w zeszłym roku wszyscy spali na pierwszej lekcji). Za trzy czwarta siedzę w autobusie, tam gdzie zawsze, na miejscu nad kołem, gdzie nikt nie chce siedzieć. Wyciągam telefon, żeby napisać do Jenny.

Jesteś tam?

Nie uwierzysz, co się dzisiaj stało.

Nie odpowiada od razu. Chociaż dzielą nas dwie strefy czasowe, lekcje Jenny kończą się dziesięć minut po moich, bo zaczynają się bladym świtem. Czekaając, aż Jenna wsiądzie do autobusu i przeczyta wiadomość ode mnie, sprawdzam jej

Instagram, ale nie ma nic nowego poza selfie z dzióbkiem, które wrzuciła wczoraj wieczorem.

Dziś zrobiłam z siebie straszego głupka.

Rechoty pewnie było słychać aż w Wisconsin.

Nadal cisza. Przeglądam jej zdjęcia na Instagramie, wizualny słownik min. Wczoraj było mrugnięcie, przedwczoraj wytrzeszczone w zdumieniu oczy. Jenna założyła konto po przeprowadzce do Wisconsin, żeby utrzymać ze mną kontakt. Teraz ma ponad stu obserwujących i lajki od zupełnie obcych ludzi.

Obrzucam niechętnym wzrokiem komentarze intruzów i wracam do pisania.

Uch, naprawdę powinnam mieć szlaban na wychodzenie z domu.

Tak byłoby lepiej dla wszystkich.

Może powiem, że choruję na to coś, co wymaga przebywania w hermetycznie zamkniętym namiocie.

Jak dziewczyna z tamtej książki. Brak kontaktu ze światem zewnętrznym, tylko online. I żadnych przystojniaków pod moim oknem. (Nie okłamujmy się – i tak nie miałabym na nich co liczyć).

Zamierzam dalej bredzić o swojej przyszłości w izolatce, kiedy w końcu widzę dymek na ekranie.

Jenna ...

Ja *Żyjesz!*

Jenna *OMG, co się stało?*

Ja *To upokarzające.*

Jenna *Opowiadaj.*

Ja *Obiecuj, że nie będziesz się śmiała.*

Jenna *Nie będę.*

Niemal mogę sobie wyobrazić, jak to mówi, na siedzeniu obok, opierając się o mnie i nachylając, żeby lepiej słyszeć. Pisanie to nie to samo, wiadomo, ale przynajmniej Jenna jest gdzieś po drugiej stronie. Oddycham głęboko, żeby pozbyć się napięcia w mięśniach, i z detalami opisuję swoją okropnie nieudaną próbę przywitania się z Hallie Bryce.

Ja *Hallie ma mnie teraz za kompletną idiotkę.*

Jenna *Nieprawda.*

Ja *Prawda, jestem pewna.*

Jenna *Nie jest taka. Jest bardzo miła.*

Ja *Nawet mili ludzie potrafią rozpoznać idiotę. A zresztą nie to jest najgorsze.*

Biorę głęboki wdech i opisuję jej katastrofę z Adrianem i pałkami. Słowotok. Statuę Wolności. Zmierzenie dalej i dostatanie życie. Kiedy kończę, wyskakuje dymek Jenny, ale wiadomość nie pojawia się przez całe wieki. Pewnie Jenna tak ryczy ze śmiechu, że nie może nic napisać, albo próbuje wymyślić, jak uprzejmie potwierdzić, że faktycznie jestem idiotką. W końcu:

Jenna *Okej, to było niesamowite i niesamowicie śmieszne.*

Ja *Naćpałaś się?*

Jenna *Nie, poważnie. Adrian też pewnie uważa, że jesteś zabawna - nie śmieszna.*

Ja *Wątpię.*

Jenna *Złapałaś jego pałkę! To super.*

Ja *Kazałam mu ZMIERZAĆ DALEJ I ŻYĆ DOSTATNIO.*

Jenna *Wiem! Genialne.*

Ja *Jaja sobie robisz?*

Jenna *Mówię poważnie. Jesteś taka zabawna!*

Zapewnia mnie, że chodzi jej o moją bystrość i inteligencję, a nie o to, że wszyscy się ze mnie nabijają. Nie jestem przekonana. Czasem wydaje mi się, że Jenna nie zdaje sobie sprawy z tego, jak słabo radzę sobie z komunikacją, a to dlatego, że jestem głupia jak but. But, którego już jej nie sznuruję. Jenna jednak zawsze sprowadza mnie z poziomu „Jestem do niczego” na nieco bardziej bezpieczny poziom „Może nie jest tak źle, jak myślę”.

Jeszcze lepsze jest to, że odrywa mnie od moich problemów i wciąga do swojego świata, który jest o wiele bardziej interesujący niż mój.

Jenna *Dzieciaki z tyłu autobusu się na mnie gapią.*

Ja *Chłopaki czy dziewczyny?*

Jenna *Jeden chłopak, dwie dziewczyny.*

Ja *Jak się gapią? Sympatycznie czy nie?*

Jenna *Nie wiem.*

Przez kilka minut obczajamy sytuację. Jenna mówi, że

chłopak to przystojniak i chyba flirtuje. Dziewczyny też są ładne i chyba flirtują. Radzę jej przesunąć się na fotelu tak, żeby jej nie wiedzieli, ale w sumie przede wszystkim chodzi mi o to, żeby mieć ją tylko dla siebie.

Piszę do niej najdłużej, jak się da, aż w końcu wysiadam z autobusu, idę do domu i siadam przy kuchennym blacie, żeby wypić owocowe smoothie zrobione dla mnie przez mamę. Gdy Jenna pisze, że musi kończyć, odpowiadam emotką ze smutną buźką. Ona wysyła mi cmokający i mrugający emotikon w kształcie serca, a ja jej jednoroźca, tort i uniesione kciuki. To głupie, ale robimy tak od dwunastego roku życia i pierwszych telefonów. Jenna kończy jak zawsze symbolem jin-jang. W tej chwili z moim światem wszystko jest w porządku, całkiem jakby Jenna znowu stała obok równoważni, trzymając mnie za rękę, żebym nie spadła.

Rozdział 2

Budzę się następnego ranka i widzę szeroki, radosny uśmiech na Instagramie Jenny, co uznaję za odpowiednik motywacyjnej pogadanki. Otagowała zdjęcie hasłami *#przywitajsię* *#bądźsuper* *#masztowsobie*. Klikam małe serduszko (pierwszy lajk!) i idę do kuchni na śniadanie. Mama zostawiła talerz świeżych croissantów. Jest środa, dzisiaj rano ćwiczę. Ojciec dopiero za godzinę wychodzi do biura, więc przywleka się do kuchni. Nalewa nam po kubku kawy, siada obok mnie i oboje jemy w milczeniu. Nigdy nie zmusza mnie do pogawędek, nawet nie zwraca uwagi na to, co mam na sobie. Dzisiejsza brązowa bluza z kapturem i kieszenią z przodu najwyraźniej nie kojarzy mu się z wystawą torbaczy w zoo, jak ostatnio mamie. Nawet jeśli tata myśli, że przypominam kangura, to nie dzieli się ze mną tym spostrzeżeniem.

Lubię środy.

Spokój ojca towarzyszy mi w autobusie i w drodze do szkolnej szafki. Czuję się całkiem nieźle, udało mi się uniknąć na korytarzu i Hallie, i Adriana, ale gdy wchodzę na lekcję historii, ściska mnie w żołądku. Widzę nauczyciela na zastępstwie, co oznacza odczytanie listy. Nawet jeśli mam tylko burknąć jedno słowo, nie potrafię zdecydować, czy to ma być: „Jestem!”, czy: „Obecna!”.

Zastanawiam się nad tym, kiedy zauważam, że chłopak obok

mnie lekko się wychyla w kierunku mojego biurka. Jestem niemal pewna, że to ten, który wczoraj wpadł na Adriana i spowodował wypadek z pałką. Nazywa się Lipton Gregory. Słyszałam, jak wyjaśniał, że jego imię to panieńskie nazwisko matki i nie ma nic wspólnego z marką herbaty w torebkach. Dzieciaki i tak czasem nazywają go Torbaczem.

Lipton odkasłuje, a ja leciutko odwracam głowę w jego stronę, nie nawiązując kontaktu wzrokowego.

- Frankenstein - mówi.

- Słucham? - Rzucam mu szybkie spojrzenie, po czym opuszczam wzrok na podłogę.

- To, co wczoraj powiedziałaś do Adriana na korytarzu. „Zmierzaj dalej i żyj dostatnio”. - Stuka ołówkiem o blat. - To z *Frankensteina*, nie ze *Star Treka*.

Rumienię się, zażenowana, że ktoś słuchał mojego bełkotu i jeszcze mnie cytuje. I pamięta to nawet po dwudziestu czterech godzinach.

- No tak - mówię. - *Frankenstein*. Mary Shelley.

Najwyraźniej. Nie potrafię. Mówić. Pełnymi. Zdaniem.

- To ze wstępu, prawda? - Przesuwa palcem po ekranie komórki i czyta. - „Kazałam mojej ohydnej progeniturze zmierzać dalej i żyć dostatnio”. Mówiła o swojej książce.

- No tak - powtarzam.

- To nie Spock. - Lipton uśmiecha się do mnie, kiwając głową. - Mary Shelley.

Właśnie w tym momencie uświadamiam sobie, że nauczyciel wykrzykuje moje nazwisko, którego najwyraźniej nie usłyszałam za pierwszym razem, gdy wypowiedział je

normalnym tonem.

- Decker! Vicky Decker!

Nie mogę sobie przypomnieć, czy miałam powiedzieć: „Jestem”, czy „Obecna”, więc wywrzaskuję pierwsze słowo, które przychodzi mi do głowy:

- Frankenstein!

Klasa wybucha śmiechem, a ja czerwienię się jak burak i szybko poprawiam:

- Jestem! Obecna!

Wszyscy nadal się śmieją, kiedy po wywołaniu Jeremy Everling wrzeszczy: „Dracula!”. Potem Brandon Fischer mówi: „Wilkołak!”, a Ellie Good piszczy: „Mumia!”. I tak dalej, choć Lipton Gregory odpowiada grzecznie: „Obecny”.

Wyśmiewania nie ma na mojej liście, bo to się rozumie samo przez się. Właśnie przez perspektywę wyśmiania cała reszta jest taka przerażająca. Zasłaniam twarz włosami i kulę się, jak najbardziej mogę, schowana za zeszytem.

Nauczyciel wszystkich uspokaja, ale nie udaje mu się wyciszyć ryku w moich uszach, który od wyjazdu Jenny przed dwoma miesiącami jest coraz głośniejszy i częściej się pojawia. Przypomina armię odkurzaczy zombie, których nie da się wyłączyć. Otwieram podręcznik i udaję, że czytam pracę zadaną przez pana Braxleya, ale nie mogę się skupić. Nagle pojawia się przede mną złożona karteczka. Nie podnoszę wzroku, żeby sprawdzić, skąd się wzięła, to na pewno jakiś dowcip. Rysunek potwora Frankensteina ze śrubami w szyi i tak dalej. Powinnam zrzucić kartkę na podłogę albo schować w podręczniku.

Wpatruję się w nią diabli wiedzą jak długo, kiedy słyszę, że Lipton odkasłuje. Zerkam na niego, a wtedy on kieruje spojrzenie na kartkę i potem na mnie.

Aha.

Rozkładam karteczkę, na której widnieje jedno słowo.

Przepraszam.

Przez resztę lekcji trzymam ją w dłoni i usiłuję oczyścić umysł ze wszystkich dziwnych słów, które mogłabym nieumyślnie wyrzucić z siebie w odpowiedzi na ewentualne pytanie. Myślę wyłącznie o tym, że gdyby była tu Jenna, odpowiedziałaby za mnie. Usłyszałaby, jak nauczyciel wyczytuje moje nazwisko i odparłaby: „Obecna!”.

I nie byłoby żadnego Frankensteina.

Powinnam była powiedzieć: „W porządku” albo przynajmniej uśmiechnąć się do Liptona za liścik z przeprosinami, ale przychodzi mi to do głowy dopiero wtedy, gdy siedzę na książce na muszli klozetowej i jem kanapkę. Ohyda, wiem, ale stołówka i ja chwilowo jesteśmy w separacji i poza łazienką nie mam dokąd pójść. Spędzam tu drugą lekcję, a potem dochodzę do wniosku, że równie dobrze mogę zostać aż do lunchu. Wchodzi dziewczyna w czerwonych conversach, więc szybko zasłaniam stopy plecakiem, żeby nie rozpoznała moich butów i nie pomyślała, że tu mieszkam. Nawet jeśli trochę tak jest.

Po trzech godzinach boli mnie tyłek i zaczynam czuć się klaustrofobicznie. Perspektywa pozostania w kabinie wydaje

się gorsza niż perspektywa wyjścia, wobec czego po następnym dzwonku zbieram rzeczy i idę na piątą lekcję, czyli na angielski. Czytamy razem *Rok 1984*, więc jest cicho i nikt na mnie nie patrzy, nawet Hallie Bryce, która siedzi dwa rzędy przede mną i jeden rząd w bok. Trzyma podręcznik na wysokości oczu, zamiast się nad nim garbić jak pozostali. Dwie dziewczyny za nią z prawej ją naśladują, siedząc sztywno z książkami w powietrzu i chichocząc, dopóki pani Day nie pośle im morderczego spojrzenia.

Hallie chyba niczego nie zauważa albo ma to gdzieś. Po prostu czyta w tej nienagannej pozycji. Ideałów zapewne nie interesuje zdanie zwykłych ludzi.

Jakieś pięć minut przed dzwonkiem drzwi się otwierają i jeden z uczniów pomagających w sekretariacie przynosi nauczycielce żółty świstek i ucieka.

- Vicky Decker? - Pani Day omiata wzrokiem pokój.

Jej spojrzenie mnie omija, co zazwyczaj bardzo mi odpowiada. Tyle że teraz oznacza, że wszyscy muszą się do mnie odwrócić. Przypominają członków grupy pływaków synchronicznych, pokazujących osobę w środku formacji.

- Vicky? - Pani Day macha na mnie żółtą kartką. - To dla ciebie.

Dodaję do listy wręczenie żółtego świstka. To żenujące. Wstaję i idę do jej biurka, czując, jak palą mnie policzki. Po powrocie na miejsce czytam treść notatki napisanej przez panią Greene, szkolną psycholog. Wyznaczyła mi spotkanie jutro, kwadrans po dziewiątej. Dokładnie w środku pierwszej lekcji.

Juhu.

Jakoś udaje mi się dotrzeć do końca ostatniej lekcji. Potem wpadam do autobusu, po czym opisuję Jennie cały okropny dzień.

Bardzo długo nie odpisuje, dłużej niż zwykle. Zaczynam się przejmować, że coś jej się stało. Wypadek autobusu albo, co gorsza, dzieciaki z tyłu, o których wspomniała, postanowiły robić sobie z niej jaja. Może ukradły jej telefon, co oznacza... uch. Moje upokarzające teksty o Liptonie i Frankensteinie, i o spotkaniu z psycholożką przeczytał ktoś... kto nie jest Jenną.

JENNA? Jesteś tam?

Czuję taką ulgę na widok „...”, że zbiera mi się na płacz. Wpatruję się w ekran i czekam. Podróż autobusem ma się ku końcowi, a ja trzymam telefon w obu dłoniach, jakby ściskanie go mogło przyspieszyć nadejście wiadomości. W końcu na ekranie wyskakuje:

LOL

LOL? O co jej chodzi? Cofam wiadomości, zaniepokojona, że przeoczyłam coś śmiesznego. Może kiedy opisywałam jej ze szczegółami swój ponury dzień, napisała o czymś zabawnym, co ją spotkało? A może... może sama napisałam jakiś dowcip i wyleciało mi to z głowy?

Ale nie. Nic nie ma.

Ktoś trąca mnie w ramię.

Podnoszę wzrok i, ups, jesteśmy pod moim domem. Chwytam

plecak i gnam przez środek autobusu, po czym wyskakuję na chodnik. Autobus odjeżdża, a ja przez chwilę stoję nieruchomo, próbując uspokoić oddech, po czym ruszam po podjeździe do werandy od frontu. Plecak obija mi się o nogę. Mamy parterowy dom z szarym dachem. Mama pilnuje, żeby żywopłot był zawsze schludnie przycięty, rabaty nawiezione, wypielone i kwitnące stosownymi do pory roku barwami – obecnie to pomarańczowe i żółte chryzantemy, idealne kolory jesieni. Mama przejmuje się takimi drobiazgami, bo twierdzi, że dom jest do bólu przeciętny. Niski, skromny i przyćmiony przez piętrowych sąsiadów, takich jak stary dom Jenny, który stoi po drugiej stronie ulicy, na ukos od naszego. Staram się na niego nie spoglądać. Wydaje się pusty, choć mieszkają tam nowi lokatorzy.

Komórka brzęczy mi w dłoni. To Jenna. Nie odbieram od razu, żeby nie pomyślała, że czekam na jej telefon, chociaż tak właśnie jest.

- Hej.

- Vicky. O Boże. - Nadal słyhać rozbawienie w jej głosie.

- To nie było śmieszne - mówię. - Ani trochę.

Jenna parska śmiechem.

- Szczerze mówiąc, trochę było. Frankenstein? Zaraz padnę.

- Śmiejesz się ze mnie.

- Śmieję się z tobą - twierdzi.

- Skoro tak, to czy ja też nie powinnam się śmiać? Bo zdecydowanie się nie śmieję. - Krążę po podjeździe. - Zrobiłam z siebie totalną idiotkę, wszyscy się ze mnie nabijali.

Jesteś jedyną osobą, z którą mogę o tym pogadać, a ty też się nabijasz.

- Przepraszam - mówi Jenna. - Nie zdawałam sobie sprawy, że to cię tak przygnębiło.

Jak mogła nie zdawać sobie sprawy? Zwykle wie, co czuję, nawet wcześniej ode mnie.

Rzucam plecak na werandę i przysiadam na pierwszym stopniu.

- Martwiłam się, że coś ci się stało w autobusie.

- No tak... - odpowiada pogodnie. - Pamiętasz tamtego chłopaka, o którym ci wspomniałam?

- Tego, który niesympatycznie na ciebie patrzył, z dwiema dziewczynami?

- Pisałam, że nie jestem pewna, czy sympatycznie, czy nie - poprawia mnie. - Okazuje się, że dobrze. Poprosili mnie, żebym z nimi usiadła. On poprosił. Tristan.

- Z tyłu autobusu?

- Wiem, banal. Najfajniejsze dzieciaki siedzą z tyłu. Ale oni naprawdę są fajni.

Zmuszam się do uśmiechu.

- Opowiedz mi wszystko - proszę. - Zawsze lubiłam obserwować twoje życie.

- Chyba obserwować? - śmieje się.

- No tak, obserwować.

Nieustannie robię błąd w tym słowie, bo wydaje mi się, że skoro mówi się „zerwać”, to powinno się też mówić „obserwać”. Powinnam lepiej to pamiętać, skoro nieustannie obserwuję życie innych.

- Nic nadzwyczajnego. Podczas jazdy pytali, skąd jestem i tak dalej. Opowiedziałam im o tobie.

- Naprawdę? - Mój puls przyśpiesza, gdy to słyszę. - I co mówiłaś?

- Że się przyjaźnimy od przedszkola. Że bardzo za tobą tęsknię. Że bez ciebie nie potrafię zawiązać sznurowadeł. - Śmieje się. - Tristan mi nie wierzył, więc rozwiązał sznurowadła w swoich trampkach i zażądał, żebym mu pokazała.

- Że nie potrafisz zawiązać sznurowadeł?

- Tak - przytakuje. - Zwinęłam je w kulkę i wepchnęłam mu do skarpetki.

Śmieję się z dziwną ulgą.

- Jestem prawie pewna, że więcej nie poproszą, żebym z nimi usiadła - dodaje Jenna. - Ale mam zdjęcie. Najwyraźniej autobusowe selfie są tu ostatnim krzykiem mody.

- Ooo, pokaż!

- Okej. Wyślę ci, jak tylko się rozłączymy.

Rozmawiamy jeszcze przez chwilę, potem kończymy, a zdjęcie pojawia się w chwili, gdy wchodzę do kuchni. Jenna uśmiecha się na nim, jakby to był najbardziej niezwykły moment jej życia, a towarzyszą jej Superprzystojniak, Superlaska i Druga Superlaska.

Powinno mnie cieszyć, że Jenna poznaje nowych ludzi, nawiązuje przyjaźnie. Chyba jestem okropnym człowiekiem, skoro tego nie chcę, ale dostrzegam tylko, jak szybko i bezproblemowo poradziła sobie beze mnie.

W kuchni matka siedzi przy komputerze. Jest na Facebooku,

gdzie spędza wolny czas, gromadząc miażdżące dowody na to, że nie jestem ani tak zdolna, ani godna podziwu jak dzieci każdego z jej znajomych. Widzi, że trzymam w dłoni telefon, i pyta:

- Co u Jenny?

- Okropnie - wyrzucam z siebie, w zasadzie nie wiem dlaczego.

- Jak to? - Mama odwraca się od monitora i patrzy na mnie.

- Co się stało?

Nagle łzy napływają mi do oczu. Jeśli powiem jej prawdę - że Jenna zdobywa nowych przyjaciół i pewnie stracę to, na co czekam każdego dnia, czyli trzydzieści nędznych minut pisania z jedyną przyjaciółką - mama będzie litowała się nade mną bardziej niż zwykle.

Odkasłuję i kłamię:

- Ciężko jej w nowej szkole. Dzieciaki w autobusie są bardzo złośliwe.

Mama wykrzywia usta w przesadnym grymasie.

- Ooo, biedna Jenna.

- Tak, żałuje, że się przeprowadzili. - Siadam przy blacie i obieram banana.

Mama przygląda mi się tak, jakby jeszcze nigdy nie widziała nikogo jedzącego banana.

- Wiem, że jest ciężko - mówi w końcu. - Może pomogłoby małe sąsiedzkie przyjęcie? Zaproszenie kolegów z klasy z rodzinami.

- Żenada.

- Nie, mogłoby być fajnie.

Otwieram szeroko oczy, gdy dociera do mnie, że nie chodzi jej o Jennę.

- Mamo, nie - jęczę.

- No co?

- Błagam, powiedz, że nie zaprosiłaś dzieciaków ze szkoły na przyjęcie.

Chyba nie muszę mówić, że imprezy też są na Liście Grozy.

- To tylko taki luźny pomysł. Możemy zaprosić Everlingów i Robertę DiMarco z mojej pracy. Jej córka Marissa jest w przedostatniej klasie, prawda?

Mama odwraca się do komputera, a na ekranie pojawia się wielkie zdjęcie Marissy DiMarco i stojących z nią w rzędzie dziesięciu innych pięknych dziewczyn w seksownych krótkich sukienkach i na ekstremalnie wysokich obcasach. Na następnym zdjęciu widnieją te same dziewczyny z partnerami na zjazd absolwentów - chłopak dziewczyna chłopak dziewczyna chłopak dziewczyna chłopak dziewczyna. Potem widzę tylko Marissę z partnerem, czyli Adrianem Ahnem minus pałki. Już zazdrościłam Marissie tego zdjęcia na Instagramie.

- Wygląda na bardzo miłą...

- Mamo...

- Nie lubisz Marissy DiMarco? - Na jej twarzy maluje się ból, jakby mój brak uwielbienia dla Marissy DiMarco pogłębiał cierpienie matki spowodowane faktem, że nigdy nie stanę się Marissą DiMarco.

- Może być - odpowiadam. - Ale nie chcę, żebyś na siłę szukała mi przyjaciół. Sama potrafię ich sobie znaleźć.

Mama waha się i bierze głęboki wdech.

- Oczywiście - mówi. - Wiem, że potrafisz.

- Więc nie rób tego, okej?

Lekko mruży oczy, a następnie powoli kiwa głową.

- Sama potrafię sobie znaleźć przyjaciół - powtarzam.

Nie przestaje potakiwać, ale widać, że ani trochę mi nie wierzy.

- Tak w ogóle to wczoraj długo rozmawiałam z Adrianem Ahnem - dodaję. - I... z kolegami dziś na historii.

- Poważnie? - Mama unosi brwi.

- Tak, poważnie.

Wstaje od komputera i idzie do zlewu, by pozmywać.

- No to dlaczego ich nie zaprosisz? Możemy rozwiesić siatkę do badmintonu. Poznacie się lepiej i...

- Lepiej od razu mnie zabij.

- Daj spokój, Vicky, od tego się nie umiera. - Zanurza patelnię w mydlinach i znowu się do mnie odwraca. - Po prostu chcę, żebyś więcej wychodziła i korzystała z życia. Co w tym złego?

Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż matka w średnim wieku, która odrywa się od Facebooka i zmywania, żeby zasugerować córce, że powinna korzystać z życia. Patrzą na nią spode łba, aż odwraca wzrok, a potem ciągnę plecak do pokoju, zamykam drzwi i padam na łóżko.

Wyciągam telefon i znów gapię się na autobusowe selfie. Powiększam twarz Jenny, żeby skupić się na tym, jaka jest szczęśliwa. Próbuję udawać, że uśmiecha się tylko do mnie, jednak, co było do przewidzenia, przesuwam zdjęcie w prawo

i w lewo, na twarze, które dały jej powód do szczęścia. Nowi przyjaciele dotykają się głowami, wypełniają kadr. Nawet gdybym tam była, zabrakłoby dla mnie miejsca i nie ma co za to winić tych superuroczych dzieciaków. Nie mam powodu czuć do nich niechęci, a jednak ją czuję. Są idealni. Są wszystkim, czym ja nie jestem.

Wlokę się do biurka, podłączam telefon do gniazdka USB w komputerze, żeby otworzyć zdjęcie w Photoshopie. Po chwili wypełnia cały ekran. Robię zbliżenie twarzy Superlaski o idealnej cerze. Nie mogę się powstrzymać i dorysowuję jej wąsiki, a potem łączę jej brwi w jedną. Superprzystojniak dostaje ode mnie w prezencie trądzik. Już chcę wyżyć się na Jennie i dorobić jej zezą, kiedy telefon brzęczy, bo wysłała mi wiadomość.

Strasznie tęsknię. Żałuję, że Cię tu nie ma.

Prostuję się na krześle i zamykam oczy. Jest mi przykro i wstyd, znów czuję, że jestem do niczego. Wzdycham i piszę:

Ja też.

Szybko usuwam wąsik, monobrew i pryszczę. Wyglądały realistycznie, ale przysięgam sobie w duchu, że odtąd będę wykorzystywała swoje photoshopowe umiejętności do czynienia dobra, nie zła. Dzięki temu wpadam na pomysł, jak przekonać matkę, że nie jestem całkiem beznadziejna, i uniknąć żenady na imprezie pod hasłem: „Błagam, zaprzyjaźnijcie się z moją córką”.

Otwieram Photo Booth na komputerze i ustawiam się

w takiej samej pozie jak Jenna na selfie. Potem szczerzę się tak, jakbym bawiła się najlepiej na świecie, i robię zdjęcie. Udaje się dopiero po kilku próbach - kiedy patrzę prosto w obiektyw, nie uśmiecham się zbyt szeroko, a za tło mam pustą ścianę, a nie zabałaganione regały.

Potem ostrożnie wklejam swoją twarz na twarz Jenny tak, że ona znika, a ja zajmuję jej miejsce i nieco poprawiam kontury, żeby lepiej pasowały do tła. Wygląda to jak... oczywisty fotomontaż. Za płasko i oświetlenie jest nie takie, jak trzeba. Na oryginalnym zdjęciu promienie słońca zza okna padają z boku na twarz Jenny, która lekko mruży oczy, no i są cienie.

Próbuję ponownie. Rozsuwam zasłony i tak ustawiam przedmioty w pokoju, żeby rzucały cień na mój tors i ramiona, tak jak na zdjęciu. Kat usiłuje wskoczyć mi na kolana. Kilka razy zrzucam ją na łóżko, aż w końcu łapie aluzję i w nieskończoność ugniata moją poduszkę, na której kładzie się spać.

Przed kolacją mam już swoje zdjęcie z nowymi przyjaciółmi Jenny. Oglądane na małym ekranie telefonu powinno zwieść matkę - jeśli nie będzie mu się zbyt uważnie przyglądała ani powiększała fragmentów.

- Proszę. - Kładę telefon na blacie w kuchni i idę nakrywać do stołu.

Mama bierze telefon, po czym szeroko otwiera oczy.

- Kto to?

- Nowe dzieciaki z autobusu - mówię, po czym zabieram jej telefon, zanim zdąży przyjrzeć się zdjęciu jeszcze uważniej.

Mama znowu próbuje na nie popatrzeć, więc macham jej nim przed nosem.

- Czy to było dzisiaj? - Zerka na moją bluzę, tę samą co na zdjęciu.

- Tak. Jedno z nich właśnie mi to przysłało.

- Wydają się bardzo mili - mówi.

W tym momencie tata wraca z pracy i pyta, kto jest bardzo miły.

- Nikt - odpowiadam.

W przeciwieństwie do mamy nie naciska, tylko z uśmiechem wzrusza ramionami, po czym siadamy do kolacji. To najmiłszy moment całego dnia. Choć raz mama nie uważa mnie za kompletną frajerkę, a tata się cieszy, bo mama się cieszy.

I chociaż wiem, że zdjęcie jest zmontowane, dobrze się czuję, widząc siebie wśród nowych przyjaciół.

Rozdział 3

Brzęczy alarm, a ja po omacku szukam telefonu na nocnej szafce, żeby go wyłączyć. Tuż po przebudzeniu zawsze zaglądam na Instagram, zanim jeszcze zapalę światło, żeby sprawdzić, jakie selfie zamieściła Jenna przed snem.

Kiedyś wysyłała mi selfie w zbliżeniu, gdy tylko wstała – mrużyła oko, ziewała albo robiła idiotyczną minę. Teraz zamieszcza je na Instagramie tuż przed pójściem spać, żebym obejrzała je rano. Nie mam konta pod własnym nazwiskiem, loguję się jako kaciekawskikot, inaczej Kat.

Dzisiaj jednak Jenna nie robi głupich min. To seksowna fotka. Wilgotne usta. Podmalowane oczy. Pukle włosów idealnie okalające twarz. To selfie na pewno nie jest dla mnie.

Piszę: „Co. Do. Diabła” w okienku komentarzy, po czym kasuję te słowa i klikam serduszko. To nie pierwszy lajk. Pierwszy jest od kogoś, ktoś się nazywa tristanistanagram, czyli, jak sądzę, od Tristana z autobusu. Klikam na jego stronę, ale jest prywatna, a mowy nie ma, żebym poprosiła o dodanie do grona obserwujących. Wracam do postu Jenny i próbuję przekonać samą siebie, że to wcale nie miało być seksowne zdjęcie. Że wypróbowała nowy makijaż i fryzurę i chciała mi je pokazać albo że zabrakło jej min, więc uznała, że musi zrobić seksidzióbek czy coś. Nawet wracam do jej poprzednich postów, żeby upewnić się co do braku

seksidzióbków, co wyjaśniałoby ten na zdjęciu.

Wtedy właśnie zauważam, że czegoś brakuje, a mianowicie wszystkich zdjęć z głupkowatymi minami Jenny. Prostuję się na łóżku, a moje serce przyśpiesza. Gorączkowo przesuwam ekran w górę i w dół. Gdzie mina zombie? Gdzie mina ze świńskim nosem i przewróconymi oczami? Gdzie wywalony język, niebieski od lizaka? Myny, na których widok naprawdę ryczałam ze śmiechu, zniknęły.

Nie chciała, żeby Tristan i jej nowi przyjaciele je zobaczyli.

Znowu piszę: „Co. Do. Diabła” w oknie komentarzy, i jeszcze raz, i jeszcze, aż powstaje jeden długi strumień „Co. Do. Diabłów”.

A potem je kasuję.

Wczoraj myślałam, że ją tracę, ale kiedy napisała, że za mną tęskni, wmówiłam sobie, że to tylko moja wyobraźnia i że łączy nas równie trwała przyjaźń jak dawniej. Teraz już nie jestem taka pewna.

Ubieram się, czeszę, myję twarz, zjadam trzy kęsy usmażonego przez mamę omleta, mówię: „Dzień dobry”, „W porządku” i „Cześć”, po czym wsiadam do autobusu i idę do szkoły.

Znowu próbuję przekonać samą siebie, że wcale nie tracę najlepszej przyjaciółki, bo nie wiem, czy zniosłabym jej utratę. W sumie usunięte przez nią zdjęcia naprawdę były żenujące. Umarłabym, gdyby ktoś zobaczył mnie z takimi minami. W sumie nigdy nie wrzuciłabym ich na Instagram, więc zachowuję się jak hipokrytka, wściekając się na Jenę za to, że je usunęła.

Dochodzę do wniosku, że wszystko jest w porządku. Okej. Trzeba iść dalej, nie ma się nad czym zastanawiać.

Biegnę na lekcję historii, żeby zdążyć przed przyjściem Draculi albo wilkołaka. Siadając w ławce, zauważam, że Lipton rozmawia przyciszonym głosem z Adamem Shenkmanem, który siedzi przed nim. Na szczęście nie dotyczy to Frankensteina.

- Musimy odizolować nasze przedmioty - mówi Lipton. - Zająć się eksploracją.

Adam garbi się i patrzy na niego podejrzliwie.

- Ustawić warp?

- Tak. I za nic nie wpuszczaj do nas tego gniefiera. Niewiarygodne, że zdemolował nam budowlę.

- Sorry, stary. Myślałem, że jest w porzo, nie przyszło mi... - Adam nagle milknie i wskazuje na mnie głową.

- Spokojnie, ona jest w porządku - mówi Lipton, po czym do mnie mruga.

Przysięgam, że tylko na nich zerknęłam, a teraz myślą, że podsłuchiwałam. Co gorsza, zostałam dopuszczona do ich sekretów poprzez mrugnięcie.

- Ja... eee... wcale... - Kręcę głową. Po co się w ogóle odzywam? Tylko niepotrzebnie się denerwuję. Słowa jednak same wypływają z moich ust. - Nie mam pojęcia, o czym rozmawiacie.

- O *Minecrafcie* - odpowiada Lipton. - Grasz?

Znowu kręcę głową. Lipton wydaje się szczerze rozczarowany.

- Wiesz, to nie jest tylko gra dla małych dzieci - mówi.

- Wcale tak nie myślałam - mamroczę.

- I dobrze. - Uśmiecha się do mnie. - Jest bardzo skomplikowana, a na serwerach multiplayer...

- Stary. - Adam wybałusza na niego oczy, po czym dodaje scenicznym szeptem: - Nie jest zainteresowana.

Lipton rzuca mi spojrzenie i rumieni się.

- Ups. Przepraszam. Nieważne.

Przybieram zwyczajową pozę - głowa na wprost, spojrzenie wbite w podłogę - gdy nasz nauczyciel, pan Braxley, prosi o ciszę. Jeremy Everling (znany jako Dracula), z tych Everlingów, których matka tak bardzo chce zaprosić do nas na badmintona, podnosi rękę.

- Nie sprawdzi pan obecności? - Zerka na mnie i parska śmiechem.

Braxley go ignoruje i robi swoje. Lekcja przebiega całkiem zwyczajnie, tak jak lubię, aż zostaje dwadzieścia minut do dzwonka. Wtedy pan Braxley klaszcze, żeby zwrócić na siebie naszą uwagę, bo połowa klasy zdążyła już przysnąć.

- Pora wybrać tematy grupowych projektów! - oświadcza.

Jęczę w duchu, reszta klasy jęczy na głos.

- Do czterech uczniów w jednej grupie. Możecie sami wybierać grupy, ale róbcie to z głową - ciągnie.

Kurczowo uczepiam się słówka „do”, w nadziei, że zrobię projekt w jednoosobowej grupie. Wszyscy się przepychają, żeby jak najszybciej zaklepać kolegów i nie zostać piątym kołem u wozu. Ja próbuję nie zwrócić lunchu, kiedy pan Braxley odczytuje listę pogodnych tematów, takich jak Hun Attyla czy czarna śmierć.

- Dobrze, powtórzę. - Spogląda na nas zza okularów. - Podnieście ręce, jeśli chcecie zająć się tematem, a wtedy możecie stworzyć grupę z innymi, których on również interesuje.

Moje serce bije dwa razy szybciej niż zazwyczaj, czuję, że zaczynam się pocić. Poczekam i zobaczę, czy zostanie jakiś temat. Najmądrzejsze dzieciaki w klasie nagle zyskują na popularności, wszyscy chcą być z nimi w grupie. Żaden z tematów nie wzbudza entuzjazmu. Ludzie spoglądają na swoich kumpli przy każdym punkcie i bez przekonania podnoszą ręce - wszyscy poza Liptonem, który wręcz zrywa się z miejsca, żeby zaklepać sobie bitwę pod Termopilami. Adam wzrusza ramionami i też podnosi rękę. Pan Braxley rozgląda się po klasie, żeby sprawdzić, czy ktoś jeszcze chce się tym zająć.

Lipton uśmiecha się do mnie. W pośpiechu opuszczam wzrok, a pan Braxley przechodzi do następnego tematu.

Lipton bardzo ładnie się uśmiecha. Ma proste i wyjątkowo białe zęby, z niewielką przerwą między jedynekami. Powinnam była dołączyć do jego grupy, bo teraz tylko ja zostanę sama i pan Braxley pewnie zrobi ogromną aferę o to, komu potrzeba pomocy, i będzie gorzej, niż gdybym podniosła głupią łapę i wzięła bitwę pod Termopilami.

Pan Braxley wymienia jeszcze trzy tematy, zaklepane wśród trącania się łokciami i podnoszenia rąk, i w końcu dochodzimy do oblężenia Jerozolimy. Nikt się nie zgłasza, bo już nie ma nikogo poza mną. Pan Braxley podnosi wzrok znad listy.

- Vicky Decker? - mówi.

Widać, że nie ma pojęcia, kto to, choć od rozpoczęcia roku szkolnego minęło już sześć tygodni. Na szczęście widzi, że jestem jedyną osobą, która się nie zgłosiła, a kiedy unosi brwi, szybko kiwam głową. Pan Braxley zapisuje moje nazwisko, po czym przechodzi do wyjaśniania, co mamy zrobić.

Niemal słabo mi z ulgi, że nie zmuszał nikogo, żeby do mnie dołączył albo przyjął mnie do grupy, chociaż to oznacza, że muszę przygotować projekt całkiem sama. Przywykłam do tego.

Zostało jeszcze kilka minut do końca lekcji, wszyscy gadają w swoich grupach, kiedy nagle słychać trzaski interkomu.

- Panie Braxley? - Głos usiłuje przekrzyczeć hałas. - Panie Braxley?

W ciągu tych kilku sekund, zanim pan Braxley odpowie, żołądek podchodzi mi do gardła i opada do stóp, ponieważ doskonale wiem, co się zaraz stanie. Dochodzi wpół do dziesiątej.

Miałam się zjawić u szkolnej psycholog piętnaście po dziewiątej.

- Czy może pan przysłać Vicky Decker do gabinetu psychologa? - pyta głos w interkomie.

Pan Braxley potwierdza, a potem i on, i wszyscy pozostali gapią się na mnie. Nawet nie drgnę, chociaż strasznie chcę. Najbardziej na świecie pragnę zniknąć z tej sali, ale chwilowo czuję się jak jelonek w świetle reflektorów.

W końcu, po, zdawałoby się, godzinach oczekiwania, Jeremy Everling przerywa milczenie.

- Idziesz, Frankie?

Przez moment wydaje mi się, że chciał powiedzieć: „Vicky”, ale zapomniał mojego imienia, kiedy jednak wszyscy parszczą śmiechem, uświadamiam sobie, że to zdrobnienie od Frankensteina.

Teraz naprawdę nie mogę się ruszyć.

Lipton wychyla się z ławki, dotyka mojego ramienia i szepcze:

- Vicky, masz iść do psycholożki.

Zerkam na niego, na jego miłe oczy i krzywo przyciętą grzywkę, która przypomina mi trochę grzywkę Jenny, kiedy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Wcześniej tego nie zauważyłam, a teraz to spostrzeżenie wyrzywa mnie z bezruchu. Kiwam głową do Liptona, zbieram rzeczy, a wszyscy wracają do przerwanych pogawędek. Idę przejściem między ławkami, skręcam i uciekam z sali.

- Ostatnio opuszczasz lekcje - mówi pani Greene. Siedzi za biurkiem, ale obraca się twarzą do wnętrza gabinetu, w którym ma wygodne fotele, migające lampki i zapachowe świece. Nosi starannie skręcone dredy do ramion i owija szyję apaszką we wzory. - Chciałam się tylko upewnić, że wszystko u ciebie w porządku.

- W porządku.

- Wszystko w porządku?

- Tak, jest dobrze. - Staram się mówić spokojnym, opanowanym głosem, ale kolano mi podskakuje, więc próbuję przytrzymać je dłonią.

- A te opuszczone lekcje? - Otwiera leżącą przed nią teczkę.

- Dwie nieobecności w zeszłym tygodniu, jedna

w poniedziałek, trzy wczoraj.

- Nie czułam się... Nie czułam się dobrze.

- Poszłaś do pielęgniarki? - Przegląda teczkę w poszukiwaniu nieistniejącego zwolnienia od pielęgniarki.

- Nie, do łazienki.

- Och. - Pani Greene zamyka teczkę i patrzy na mnie ciepło.

- Wiesz, jeśli coś cię trapi...

- Wszystko dobrze. - Kolano znowu mi lata. Podnoszę plecak z podłogi i kładę go na kolanach, żeby dociążyć nogę. - Nic mi nie jest.

Pani Greene oddycha głęboko.

- Może kiedy następnym razem zechcesz uciec z lekcji, przyjdiesz do mnie?

To o wiele lepsza opcja niż łazienka dziewczyn. Tyle że pani Greene będzie chciała rozmawiać o tym, co jest ze mną nie tak albo wezwie rodziców do szkoły. Czasem tak robią - zbierają wszystkich nauczycieli, rodziców i psychologa i opisują, co człowiek robi nie tak i w czym mógłby się poprawić. Kiedyś podsłuchałam chłopaka, który o tym opowiadał. To było jak zasadzka, więc mówił wszystko, co chcieli usłyszeć, żeby jak najszybciej to zakończyć.

Odkurzacze zombie znowu zaczynają ryczeć, kręci mi się w głowie.

- Hej. - Pani Greene trzyma rękę na moim ramieniu. Nawet nie zauważyłam, że wyszła zza biurka i usiadła na fotelu obok mnie. - Oddychaj, Vicky. Nie musisz przychodzić, jeśli nie chcesz. To nieobowiązkowe i oczywiście poufne. Nawet nie musimy rozmawiać.

Kiwam głową i przez chwilę głęboko oddycham.

- Dobrze, przyjdę.

Oczywiście, że nie przyjdę.

Wydaje się usatysfakcjonowana i wraca do biurka po jakieś papiery z szuflady.

- Przyszło mi do głowy, że mogłabyś dołączyć do jakiegoś klubu czy koła. - Wręcza mi kilka kartek spiętych zszywkami.

- To nie jest warunek, ale dobrze by było, gdybyś zaangażowała się przynajmniej w jedno zajęcia pozalekcyjne. Przyda się do podania na studia, o którym musisz wkrótce pomyśleć.

Przeoglądam listę. Klub książki. Koło języka chińskiego. Koło teatralne. Klub feministek. Organizacja Młodych Biznesmenów. Koło informatyczne. Klub podróżników. Klub naukowy. Nawet nie sądziłam, że mam tyle opcji nie do przyjęcia.

- Coś cię zainteresowało? - pyta pani Greene.

- Raczej nie. - Oddaję listę, a ona się jej przygląda.

- Może koło matematyczne?

Kręcę głową.

- Zespół grający na dzwonkach ręcznych?

Jeszcze szybciej kręcę głową.

- Może mi powiesz, co cię interesuje, wtedy postaram się coś zasugerować. - Siada za biurkiem.

Wbijam spojrzenie w dłonie pani Greene, złączone na blacie. Pani Greene się pochyla, jej ciało domaga się ode mnie odpowiedzi.

- Co lubisz robić w wolnym czasie?

Nie mogę jej powiedzieć, że wczoraj w wolnym czasie wklejałam się w zdjęcie nowych przyjaciół Jenny. Nie mogę jej też powiedzieć, że spędzam większość wieczorów, śledząc w mediach społecznościowych konta dzieciaków ze szkoły i ich życie, takie, jakiego pragnęłaby dla mnie matka. Wyszłabym na stukniętą stalkerkę, którą pewnie jestem.

- Spędzam dużo czasu przy komputerze - odpowiadam w końcu.

Pani Greene przegląda zszyte karki.

- To może klub młodych programistów? Poczekaj, nie. - Marszczy brwi. - Rozwiązał się. Szukamy dalej.

Przyglądam się jej, kiedy przewraca kartkę, i jeszcze jedną. W naszej szkole jest sporo zajęć pozalekcyjnych, ale nawet ona widzi, że do żadnych nie pasuję.

- Gry komputerowe? - Zauważam błysk w jej oku.

Kręcę głową. Nie gram.

- Nauczyłam się używać Adobe Illustratora i Photoshopa - mówię.

Z aprobatą kiwa głową, jakbyśmy wreszcie do czegoś doszły, i patrzy na ostatnią stronę swoich propozycji.

- Projektanci książki rocznikowej zawsze poszukują pomocy - oznajmia. - Edycja zdjęć, opracowanie stron... Czy to brzmi interesująco?

- Nie wiem. - Myśl o dołączeniu do istniejącej grupy przyprawia mnie o mdłości.

- Może spróbujesz? Dam znać redaktorowi, że dołączysz i że interesuje cię fotografia.

- Ale nie robienie zdjęć. Nie potrafię robić zdjęć. - Nie

potrafię również ukryć paniki w głosie.

Pani Greene podnosi ręce w uspokajającym geście.

- Nie ma problemu. Edycja fotografii i opracowanie graficzne, w porządku?

Z nieszczęśliwą miną kiwam głową.

- A kto jest redaktorem? - pytam.

- Marissa DiMarco. Polubisz ją.

Znowu kiwam głową. Jasne, że ją polubię, Marissa jest idealna. Będziemy dzielić tę samą przestrzeń, oddychać tym samym powietrzem. Niemal jak najlepsze przyjaciółki - tak przynajmniej odbierze to mama i od razu zacznie fantazjować o balowych zdjęciach.

To znaczy, jeśli jej powiem, a tego nie zrobię.

Uśmiecham się z przymusem do pani Greene.

- Nie mogę się doczekać - mówię.

Jenna? Jesteś tam?

Halo?

Pewnie jesteś z nowymi przyjaciółmi. Precz ze starym, nadchodzi nowe, tak?

Żartuję.

Poważnie, żartuję. Muszę z Tobą pogadać. Okej, chyba Cię nie ma. Zadzwoń później?

Jenna?

Kiedy wchodzę do kuchni, mama przyrządza swoje popisowe

smoothie w mikserze Cuisinart. Zauważa mnie dopiero wtedy, gdy go wyłączyła.

- Och! Przestraszyłaś mnie.

- Wybacz.

Patrzę, jak wlewa do szklanki miksturę z mrożonego mango, banana, jarmużu i jogurtu. Smoothie jest gęste jak miękkie lody, więc mama podaje mi łyżkę.

- Co w szkole? Zdarzyło się coś interesującego?

- Raczej nie.

Wkładam łyżkę ze smoothie do ust, po czym wyciągam telefon, żeby sprawdzić, czy Jenna odpowiedziała na wiadomości, ale ekran po jej stronie jest pusty.

- Co u Jenny?

- To nie Jenna.

Brwi mamy podjeżdżają niemal do linii włosów.

- Nowa koleżanka?

- Hallie Bryce - oznajmiam, zaskakując siebie nie mniej niż matkę. Podobno kłamstwo rodzi kłamstwo, a to przyszło mi zaskakująco łatwo. - Pracujemy razem nad projektem na historię. Oblężenie Jerozolimy.

- To ta tancerka, prawda? Baletnica?

Kiwam głową, a mama się rozpromienia.

- Urocza dziewczynka. Jak miło, że będziecie miały szansę lepiej się poznać. Możesz ją...

- Mamo - przerywam jej, zanim zacznie fantazjować, że Hallie zostanie moją nową najlepszą przyjaciółką. - To tylko projekt. Pewnie załatwimy wszystko przez internet.

- No cóż. Tak czy inaczej, to miłe.

Już nie uśmiecha się od ucha do ucha, ale jej oczy błyszczą. Cieszy się, że mam z kimś kontakt, nieważne z kim. Pewnie właśnie dlatego w ogóle to wymyśliłam.

Przechodzę ze smoothie w rękach przez jadalnię, salon i korytarz aż do swojego pokoju, który jest najbardziej oddalonym od kuchni pomieszczeniem w całym domu. Zamykam drzwi, rzucam plecak, przez chwilę bawię się z Kat i siadam przed komputerem. Mam z tuzin zakładek do rozmaitych stron, takich jak kanały ulubionych youtuberek w rodzaju Zoelli czy Rymującej Rei, i do kont na Instagramie. Część należy do przypadkowych interesujących osób, na które się natknęłam i których zdjęcia mi się spodobały, a inne do kolegów z klasy, na których punkcie mam zapewne niezbyt zdrową obsesję.

Oczywiście znajduje się wśród nich Hallie Bryce. Jej zdjęcia są takie eteryczne i spokojne, na przykład to, na którym przybiera kształt konaru drzewa albo stoi na palcach wśród tulipanów. Dziś wygina się w tył na parkowej ławce z jedną nogą zadartą w kierunku nieba. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym udać się w publiczne miejsce, włożyć baletki i wykręcać się na wszystkie strony na oczach przechodniów. Może dlatego tak się zakochałam w jej Instagramie. Jest dla mnie superbohaterką.

Sprawdzam, co u Raja Radhakrishnana, który codziennie wrzuca selfie, i to robione w domu, nie w jakimś interesującym miejscu. Jest jak anty-Hallie, a jednak nie mogę oderwać wzroku od jego fotografii. Każdego dnia staje w tym samym kącie salonu i przybiera tę samą pozę. Zmieniają się koszule,

a błyszczące czarne włosy Raja rosną i zniecka znowu są krótsze. Pokój rozjaśnia się albo ciemnieje w zależności od pogody. Szukanie zmian przypomina układanie puzzli. Dziś poduszka w skomplikowany wzorek leży na sofie pod innym kątem, a świeca na stoliku jest trochę krótsza niż poprzednio. Ciągle czekam na nową minę Raja, ale zawsze jest taka sama - ani szczęśliwa, ani smutna. Po prostu jest.

Przeglądam jeszcze parę kont ulubieńców ze szkoły - dziewczyny, która robi na drutach, drugiej, która wyprowadza psy, jeszcze jednej z bzikami na punkcie lakierów do paznokci i książek, i chłopaka budującego samochód wyścigowy. To samotnicy, ale fascynujący.

Fascynujące w zupełnie inny sposób są lubiane dzieciaki ze szkoły. To ludzie typu: „OMG, patrzcie na nas, jak się świetnie bawimy!”. Robią selfie z dwudziestką przyjaciół na jednym zdjęciu. Przybijają sobie piątki, łaskoczą się, przytulają i ze sztucznym uśmiechem idą przez życie. Są pewni siebie, nieustraszeni i popularni.

Znowu ląduję na YouTube, na kanale Adriana Ahna. Zamieścił nowe wideo z wczorajszego koncertu East 48. Jakość nagrania z telefonu jest słaba, ale widać, jak tłum szaleje i zgodnie skacze w rytmie dynamicznej muzyki, Adrian bębni jak szalony, włosy mu fruwają. Samo patrzenie na film dodaje energii.

Logo grupy pulsuje przed perkusją Adriana. Tak samo nazywa się droga nieopodal naszego miasta. Oglądałam wywiad z liderem, Anglikiem Rupertem, który opowiadał o tym, jak nie mogli wymyślić nazwy dla zespołu i pewnego

dnia podczas jazdy samochodem postanowili, że przyjmą ją od pierwszej rzeczy, którą zobaczą za szybą. I zobaczyli znak kierujący na drogę East 48. „Mało brakowało, a nazywalibyśmy się Pani z Wózkiem albo Wielki Cmentarz”, powiedział.

Podkręcam dźwięk i znowu oglądam wideo, podskakując razem z tłumem. Niemal czuję drżenie podłogi i pulsowanie rytmu w kościach. Adrian szaleje na perkusji, a fanom całkiem odbija w tańcu. Pauzuję wideo i sejuję zrzut ekranu. Jest rozmazany, ale podoba mi się uchwycony na nim ruch.

Nagle wpadam na pewien pomysł.

Przeciągam zdjęcie do Photoshopa i ustawiam monitor tak, że Photo Booth na komputerze zwrócony jest na pustą ścianę. Wciskam przycisk aparatu, a potem skaczę po pokoju, tańcząc jak wariatka, kiedy słyszę migawkę.

Kąt jest nieodpowiedni, a do tego z fruującymi włosami i wzdętym swetrem wyglądam jak obłąkana. Znajduję gumkę i wiążę włosy w wysoki koński ogon. Wyszukuję w szkatułce na biżuterię parę długich kolczyków, które dostałam od mamy na święta. Zdejmuję sweter i zostaję w czarnym podkoszulku.

To, co robię później, pewnie ściągnęłoby na mnie dziwne spojrzenia, gdybym nie była sama. Rzucam się na wszystkie strony, po czym pędzę do komputera nacisnąć przycisk aparatu, i znowu się rzucam, żeby tańczyć, gdy uruchomi się samowyzwalacz. Znowu naciskam przycisk, tańczę, i znowu, i znowu, aż mam około dwudziestu zdjęć do wyboru.

Po krótkim odpoczynku wybieram najlepsze zdjęcie i za pomocą Photoshopa wpasowuję się w tłum. To trudniejsze niż

w wypadku zdjęcia z autobusu. Muszę rozmazać swoją sylwetkę, zanim nałożę ją na inne, żeby nikt nie wątpił, że naprawdę tam jestem i tańczę. Temperatura barw w moim pokoju różni się od fioletowawego odcienia na zdjęciu, więc trzeba ją dostosować. Potem za pomocą aerografu wpasowuję się w scenę.

Podkręcam dźwięk, patrzę na zdjęcie i czuję się niemal tak, jakby było prawdziwe. Jestem tam, tyle że wcale się nie martwię, że ludzie się ze mnie nabijają, że fatalnie tańczę czy że nie pasuję. Jestem na koncercie i zupełnie się nie przejmuję tym, co myślą inni.

Poprawiam zdjęcie i lekko je modyfikuję, kiedy telefon zaczyna wibrować. Chwytam go i widzę, że to Jenna.

- Żyjesz! - Niemal śpiewam do komórki, nabuzowana po swojej pseudoprzygodzie. - Myślałam, że mnie olewasz.

Nic nie mówi, co jest dziwne, bo przecież to ona zadzwoniła.

- Chyba coś jest nie tak z połączeniem. Słyszysz mnie?

Nie odpowiada, ale coś słyszę. Przytłumione głosy w tle.

- Jenna! - wrzeszczę do aparatu. - Jesteś tam?!

Znowu nic.

Może niechcący wybrała mój numer?

Rzucam się na łóżku, podkręcam do oporu głośność w telefonie i przyciskam go do ucha. Ktoś kozłuje piłką, słysząc śmiech. Jeden z głosów należy do Jenny, wszędzie rozpoznam jej śmiech. Rozlega się męski głos, słyszę fragmenty rozmowy.

- Daj spokój - mówi chłopak.

- ...muszę iść. - To Jenna.

- Przecież dopiero przyszłaś.

Dwa łupnięcia piłką o podłogę.

- Ale ona czeka.

Otwieram usta, żeby coś powiedzieć, spróbować głośno wrzasnąć i ściągnąć na siebie jej uwagę, ale wtedy słyszę jego odpowiedź.

- ...co za nudziara... Niech czeka.

Znowu odgłosy odbijanej piłki i mamrotanie. Serce mi wali.

- ...potrzebuje mnie - mówi Jenna. - Jestem jej jedyną przyjaciółką.

- Czyli przez cały dzień będziesz do niej pisała?

- Nie. - Jenna wydaje się naburmuszona.

W tle słyhać łomot, jakby piłka trafiła w tablicę, a potem znów odbijanie. Po chwili zastępuje je inny dźwięk - jakby ktoś klepał piłkę.

- Powinna zacząć żyć - oznajmia.

Zasłaniam dłonią usta, nadal przyciskając telefon do ucha. Jenna milczy, zanim odpowie, co boli, ale nie aż tak, jak jej słowa.

- No tak. - Parska śmiechem. - To chyba faktycznie trochę żałosne.

Upuszczam telefon, jakby mnie parzył. Oddycham płytko i nerwowo, jak w trakcie napadu czkawki po długim płaczu. Łzy palą mnie pod powiekami. Nadal słyszę mamroczące głosy, a ta cholerna piłka tłucze mi się w piersi. Próbuję wyłączyć telefon, żeby się nie zorientowali, że słuchałam.

I żeby już nie słyszeć.

Dopiero po chwili dociera do mnie, co się stało. Jenna

rozmawiała o mnie ze swoim nowym chłopakiem, który uważa, że powinnam zacząć żyć. Powiedziała mu, że jestem żałosna? Nie, wyparskała, że jestem żałosna.

Gapię się na telefon, z kciukiem nad numerem Jenny. Zadzwonię do niej i powiem, że wszystko słyszałam, i jak mogła, a ona odpowie, że przeprasza. Że skończyła z tym chłopakiem, że to palant, a potakiwała, bo czuła, że musi jako nowa i w ogóle.

Nie mogę jednak wybrać jej numeru - a co jeśli naprawdę uważa, że jestem żałosna?

Niby dlaczego miałyby tak nie uważać?

Siadam przed komputerem i wpatruję się w zmontowane zdjęcie siebie tańczącej na koncercie. I chociaż wiem, że to nieprawda, wyglądam... dobrze. Jakbym się świetnie bawiła. Nie jestem żałosna. Gdyby Jenna mnie zobaczyła, gdyby pokazała to swoim nowym przyjaciołom, nie musiałyby się za mnie wstydzić.

Wysyłam do siebie mejl ze zdjęciem, po czym włączam telefon, wklejam zdjęcie w okno tekstu, pod ostatnią żalospną prosbą do Jenny, i piszę:

Wczoraj bylam na koncercie East 48! Ale ubaw.

Wciskam „Wyślij”, ocieram łzy. Już po paru sekundach po stronie Jenny wyskakuję dymek, a potem tekst:

Jenna *OMG! Zazdroszczę.*

Ja *Adrian był niesamowity.*

Jenna *!!!!!!*

Ja :)

Jenna *Nie wierzę! Zadzwoń!*

Nic więcej nie piszę i nie dzwonię. Jestem na nią wściekła za to, co powiedziała, za to, że tak łatwo mnie olała. Kiedy kilka minut później rozlega się dzwonek telefon, nie odbieram. Może jutro sprawdzę pocztę głosową, a może nie. Może nabrałam Jennę i teraz myśli, że wcale nie jestem taka żałosna. Tyle że prędzej czy później uświadomi sobie, że jestem i że nic się nie zmieniło. I, co gorsza, że ją okłamałam.

Może najlepiej będzie pozwolić jej myśleć, że wyszłam i robię coś wspaniałego, więc nie będzie się dręczyć, że mnie zostawiła.

Rozdział 4

Następnego ranka wcale nie czuję się wspaniale, przywierając do ściany przed pokojem redakcji księgi rocznikowej i marząc o tym, żeby wtopić się w pomalowany beton. Marissa DiMarco tu się ze mną umówiła. Przed szkołą napisała do mnie esemesa, dzięki czemu zdążyłam zapakować dwa dodatkowe podkoszulki na wypadek nieuchronnego pocenia się, jak w tej chwili.

Widzę Raja przy szafce, jest sam. Dwójka innych hinduskich uczniów mija go i demonstracyjnie ignoruje. Jego ani wesoła, ani smutna mina znika, ale tylko na chwilę. Potem znowu jest neutralny, prostuje ramiona i odchodzi. Coś się tu dzieje, jednak nie mam pojęcia co. Rozpoznaję zieloną koszulę, którą dziś włożył. To chyba jego ulubiona, bo często pojawia się na selfie.

Fakt, że o tym wiem, potwierdza, że jestem żalosną i zdziwaczalą stalkerką.

Zbliża się Lipton, a ja w pośpiechu odwracam wzrok, kiedy drzwi do gabinetu się otwierają i pojawia się w nich głowa Marrissy, zaledwie kilka centymetrów od mojej.

- Jesteś. Wchodzisz?

Temperatura mojej twarzy rośnie o tysiąc stopni. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zapukać. Założyłam, że spotkamy się tutaj, na korytarzu... bo jestem idiotką.

Wchodzę do środka, Marissa siada na krześle na kółkach i jeździ po pomieszczeniu.

- Krótka wycieczka - mówi. - To moje biurko, a to biurko Beth Ann, a tamto Marva. Inni zajmują miejsca tutaj. - Wskazuje na rozmaite stanowiska pracy, z komputerami i bez nich. - Już przydzieliłam układ graficzny i pisemne opracowanie sekcji, ale pani Greene mówiła, że możesz pomóc przy edycji zdjęć.

Przełykam ślinę i kiwam głową.

- Świetnie. Nasi fotografowie przegrywają zdjęcia tutaj. - Otwiera folder na ekranie swojego komputera. - Potem ktoś - zazwyczaj ja - musi je przejrzeć i wybrać najlepsze. Większość trzeba obrobić w Photoshopie, nie żeby zmieniać wygląd ludzi, ale rozjaśnić obraz, przyciąć, pozbyć się obscenicznych elementów. Może pomogłabyś przy tym?

Znowu kiwam głową.

Marissa wyrywa kartkę z notatnika i zapisuje na niej serię liter i cyfr.

- To hasło do komputera - wyjaśnia. - Możesz tu przychodzić, kiedy zechcesz. Wybierz tylko któryś plik z tych folderów, przejrzyj zdjęcia i przeciągnij te dobre tutaj.

Demonstruje mi wszystko i pokazuje, gdzie zostawiać pytania na czacie, do którego mają dostęp inni członkowie grupy. I tak oto w ciągu pięciu minut zostaję oficjalną członkinią redakcji książki rocznikowej liceum Richardsona. Mogę przychodzić i wychodzić, kiedy tylko zechcę. Nie muszę z nikim rozmawiać, chodzić na zebrania, przybijać piątek ani nawet siedzieć w tym samym pomieszczeniu o tej samej porze

co inni. Mogę po prostu wśliznąć się za komputer w kącie i robić to, co potrafię najlepiej – obserwować z boku. To nawet nie będzie podejrzane, bo teraz to moja praca, a przynajmniej zaaprobowane przez psycholożkę zajęcia pozalekcyjne.

Najlepsze jest to, że po raz pierwszy w tym roku mogę zjeść lunch w miejscu, w którym nie czuć lakieru do włosów i lizolu. Ta myśl pomaga mi przebrnąć przez poranne lekcje i dodaje odwagi, gdy wracam do pokoju redakcyjnego w trakcie przerwy na lunch. Na szczęście jest pusto, więc siadam przy komputerze w kącie, otwieram jeden z pokazanych mi przez Marissę folderów i wyciągam lunch. Dwie minuty później, kiedy przeglądam zdjęcia z meczu hokeja na trawie, drzwi się otwierają i do środka wpada dwójka uczniów. To Beth Ann Price i Marvo Jones.

- Cześć – mówi Marvo na mój widok.

Ściska mnie w gardle, więc zamiast próbować odpowiedzieć, tylko lekko kiwam głową i zerkam na Beth Ann. Wpatruje się w moje... stopy? Spoglądam na swoje buty, te, które noszę codziennie, czyli kupione w lumpeksie oksfordy z beżowego zamszu. Nienawidzę nowych butów, bo wszyscy je zauważają, za to nikt nie zwraca uwagi na lekko podniszczone

Nikt poza Beth Ann Price, jak widać. Wsuwam stopy pod krzesło.

- Cześć – mówi Beth Ann. – Witaj w redakcji księgi.

- Dzięki – szepczę.

Za cicho, cholera.

Marvo robi krok w moim kierunku, żeby zobaczyć, nad czym pracuję.

- Hokej na trawie?

Kiwam głową. Beth Ann parska śmiechem.

- Powodzenia - mówi.

Otwieram szeroko oczy. Nie mam pojęcia, o co jej chodzi.

- Marissa jest kapitanem - wyjaśnia Marvo. - Zero presji.

Przełykam ślinę i wracam do zdjęć. Wybór najlepszych był jedynym zajęciem, którego się nie obawiałam, bo potrafię odróżnić dobre zdjęcie od złego. Mogłam się domyślić, że to nie będzie takie proste. Czy mam wybrać wszystkie zdjęcia, na których jest Marissa? Czy pomyślą, że się jej podlizuję? A może uznają ją za egocentryczkę, bo przecież wiedzą, że redaguje księgę? Nie chcę jej wkurzyć. Nie oczekuję, że zostaniemy przyjaciółkami, ale nie zamierzam robić sobie z niej wroga. Powie pani Greene, że współpraca ze mną się nie układa, i wyląduję w zespole dzwonek ręcznych.

Nagle dłoń Beth Ann łąduje na mojej, która drży, gdy ściskam myszkę. Cały stół się trzęsie.

- Nie panikuj, tylko żartowałam - mówi Beth Ann - Wybierz najlepsze ujęcia. Dopilnuj tylko, żeby Marissa znalazła się na jednym z nich i żeby w miarę przyzwoicie wyglądała. Potraktuj ją tak, jak potraktowałabyś każdego kapitana. Wszystko będzie dobrze.

Kiwam głową i staram się normalnie oddychać. Beth Ann puszcza moją rękę i idzie do swojego biurka. Marvo siada obok niej, po czym wyjmują lunch i skupiają się na pracy, cicho rozmawiając.

Biorę kilka głębokich wdechów i przeglądam zdjęcia. Tylko z tego meczu są ich setki, z innych meczów zapewne też, a ja

mam wybrać po kilka z każdego. Decyduję się na najlepsze zdjęcie Marissy, jakie zdołam znaleźć, na którym z niesamowicie zaciętą miną i ustami wykrzywionymi nad ochraniaczem sięga po piłkę. To świetne ujęcie. Lekko je przycinam, rozjaśniam kolor i poprawiam kontrast, po czym przeciągam fotografię do folderu „Najlepsze”.

Podobają mi się jeszcze dwa zdjęcia. Na jednym jakaś dziewczyna siedzi na ławce, opierając brodę na kiju, na drugim menedżer drużyny ciągnie worek ze sprzętem. Sejwuję te dwa zdjęcia, a resztę wrzucam do archiwum.

Potem znowu klikam na te, które wybrałam.

- Masz dobre oko - odzywa się niespodziewanie Marvo, a ja podskakuję.

Stoi za mną. Czuję pulsowanie tętnicy na szyi.

- Dzięki - chrypię.

- Tyle że chyba lepiej będzie, jeśli coś z tym zrobisz.

Wyciąga rękę nad moim ramieniem i pokazuje na zdjęciu chłopaka na trybunach, który wykonuje jeden z obscenicznych gestów wspomnianych przez Marissę.

- Och.

Przybliżam fragment zdjęcia i ukrywam palec chłopaka, nakładając na niego kawałek tła. Teraz wygląda to tak, jakby chłopak zaciskał dłoń w pięść i wiwatował.

- O rany. Dobra jesteś - mówi Marvo. - A właśnie, jestem Marvo, a to Beth Ann.

Kiwa głową w kierunku drzwi, tam gdzie stoi Beth Ann.

- Jestem Vicky. - Tym razem mój głos brzmi wyraźnie i całkiem głośno.

Beth Ann otwiera drzwi, gestem wskazując Marvowi, żeby wyszedł przed nią. Marvo kłania się i wyskakuje na korytarz, co ją rozbawia.

Beth Ann zerka na mnie i mówi:

- Do zobaczenia, Vic.

Podnoszę drżącą rękę, żeby pomachać, ale już ich nie ma. Nikt nigdy nie nazywał mnie „Vic”. Vicky to nie jest zdrobnienie od Victoria, po prostu tak mam na imię. Wszyscy się tak do mnie zwracają.

Całkiem fajnie być nazwaną inaczej.

Przez całe popołudnie upajam się swoją nową tożsamością, wyobrażam sobie znacznie fajniejszą wersję siebie, która odpowiada: „Mów mi Vic” za każdym razem, gdy ktoś pyta ją o imię. Kiedy wsiadam do autobusu, już mam napisać o tym Jennie, ale nagle przypominam sobie, że już do niej nie piszę. Poza tym czy to nie żałosne, gdy się podniecam tym, że ktoś skrócił moje imię? A do tego trzęsłam się ze strachu, wybierając zdjęcia z meczu hokeja na trawie.

Nie mogę się jednak powstrzymać od sprawdzenia jej Instagramu. Kiedy zerknęłam tam rano, nie było nic nowego, teraz jednak jest. Po raz pierwszy Jenna ma towarzystwo na selfie. Tristan przyciska policzek do jej policzka i oboje robią seksowne miny.

Uch.

Zamykam apkę i zrzucam ją z ekranu, a ich twarze całkiem znikają, nawet nie kryją się w tle, zżerając mi energię z baterii. Widzę też wiadomości w poczcie głosowej i z tuzin nowych esemesów od czasu, kiedy wysłałam jej zdjęcie

z koncertu.

Przykładam telefon do ucha i odtwarzam pierwszą wiadomość.

- O mój Boże. Nie wierzę, że poszłaś na koncert East 48. I to sama! - Piszczy, a potem się śmieje. - Poważnie, kim ty jesteś i co zrobiłaś z Vicky Deckers? Chcę znać szczegóły, i to jak najszybciej.

Mam wyrzuty sumienia, kręci mnie w brzuchu. Naprawdę ją nabrałam. Tak się cieszyła, że prawie mogę zapomnieć o tym, co podsłuchałam przez telefon - o tym, że powinnam zacząć żyć. Na tę myśl znów mnie skręca. Odtwarzam następną wiadomość.

- Vicky! Gdzie jesteś? Tylko mi nie mów, że łazisz gdzieś z Adrianem Ahnem. - Ryczy ze śmiechu. Mimo zdjęcia wie, że to niemożliwe. - Z kim poszłaś na koncert? Ktoś zrobił to zdjęcie, jak tańczysz. A wyglądasz, o rany... wyglądasz świetnie. Zadzwoń, dobrze? Będę w domu przez całą wieczór.

Ostatnią wiadomość odsłuchuję dopiero w domu, przed komputerem. Zdjęcie, na którym umieściłam siebie z nowymi przyjaciółmi Jenny, wypełnia ekran. Nie mogę znieść tego widoku. Ukradli mi najlepszą przyjaciółkę, nie chcę mieć z nimi nic wspólnego. Kilka klików odwraca wszystkie zmiany i Jenna wraca na swoje miejsce.

A mnie znowu nie ma.

Wyciągam zdjęcie East 48. Nie ma na nim Jenny ani jej nowych przyjaciół, jest tylko moje. Żałuję, że pokazałam je Jennie, bo teraz myśli, że mogłabym być tą dziewczyną, tak tańczącą, tak ubraną, z takim końskim ogonem. To zupełnie

nie ja, równie dobrze mogłabym mieć fioletowe włosy! Photoshopowym pędzlem domalowuję sobie jasnofioletowe włosy, a potem zmieniam kolor i dorzucam pomarańczowoczerwone pasemka. Dodaję też ciemne okulary i tatuaże, i mnóstwo bransoletek.

Wygląda to bardzo nierealistycznie, ale zmienia mnie w kogoś całkiem innego. Kogoś, kto jest zabawny, pewny siebie i ani trochę się nie boi. Jak by to było stać się taką dziewczyną? Przyciągać ludzkie spojrzenia, a nie przed nimi uciekać?

Wygazam komputer i odtwarzam ostatnią wiadomość od Jenny.

- Hej. - W jej głosie nie słyhać już entuzjazmu. - Jesteś na mnie zła czy coś? Nie wiem, dlaczego nie oddzwoniasz. Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Zadzwoń, co? Vicky?

Na końcu milczenie, potem westchnięcie, a potem Jenna się rozłącza.

Serce mi wali przez to, co zaraz zrobię.

Czyli nic.

Nie zadzwonię do niej ani nie napiszę. To tylko pogorszyłoby sprawę, nie mogłabym z nią rozmawiać i się nie rozpłakać, albo dalej kłamać o koncercie. Będę musiała powiedzieć jej prawdę i wtedy rzeczywiście okaże się żałosna. Będę jej frajerską przyjaciółką, która siedzi samotnie w pokoju i Photoshopem wkleja się w życie innych ludzi.

Wolę, żeby zapamiętała mnie jako tamtą dziewczynę tańczącą na koncercie.

Rozdział 5

Koło jedenastej w sobotę, gdy mama radośnie wchodzi do mojego pokoju, nawet nie pukając, jestem kompletnie nieprzytomna.

- O, jeszcze śpisz! - wykrzykuje. - Przepraszam. Coś ci przyniosłam.

Otwieram oczy, gdy pokazuje mi reklamówkę Forever 21, a potem wyciąga jej zawartość - czarny streczowy top i neonowożółtą spódnicę. Przetaczam się na bok, twarzą do ściany, i zamykam oczy, w nadziei, że to tylko sen.

- Możesz to włożyć na przyjęcie! - wykrzykuje mama.

Teraz mam nadzieję, że to koszmar. Odwracam się do niej.

- Mówiłam ci, że nie chcę żadnej imprezy.

- Nie u nas, głuptasie. U Marissy DiMarco, w przyszły weekend. - Mama przykłada neonową spódnicę do swojej talii i patrzy na siebie w lustrze. - Wpadłam na jej matkę w centrum handlowym. Pomyślała, że może zechcesz przyjść.

- Co? - Jestem kompletnie rozbudzona, bo znalazłam się w samym środku koszmaru. - Dlaczego tak pomyślała? Przecież nawet się nie przyjaźnię z Marissą.

- Po prostu wspomniałam jej...

- Neeeeee! Mamo, coś ty zrobiła?

- Nic! Zapytała, co u ciebie, a ja powiedziałam tylko, że twoja najlepsza przyjaciółka Jenna się wyprowadziła...

Jęcząc, nakrywam głowę kołdrą.

- ...a ona wspomniała, że urządzają przyjęcie i przyszło jej do głowy, że może zechcesz wpaść.

Tylko jedno jest gorsze od niezapraszania człowieka na imprezy - zaproszenie go z litości. Nie, jeszcze gorsze od zaproszenia z litości jest zaproszenie z litości wymuszone przez matkę.

- Życzysz mi śmierci - mówię. - Naprawdę życzysz mi śmierci.

- Nie musisz tam iść, jeśli nie chcesz - odpowiada cicho mama. - Pomyślałam tylko...

Udaję martwą pod kołdrą. Nie ruszam się, nawet nie oddycham. Mama wzdycha.

- Przemyśl to, proszę.

Czekam, aż wyjdzie z pokoju, i dopiero wtedy wystawiam głowę spod kołdry i oddycham głęboko, z trudem. Reklamówka zwisa z oparcia krzesła. To miłe, że mama kupiła mi ciuchy, ale najwyraźniej w ogóle nie zwraca uwagi na to, w co się ubieram. Wróc - zwraca na to uwagę, a potem kupuje mi to, w co jej zdaniem powinnam się ubierać. Wyciągam rzeczy z reklamówki. Po co mi spódnica? Przecież nawet ich nie noszę. A ta? Równie dobrze mogłabym wcisnąć się w pacholek drogowy i wrzeszczeć: „PATRZCIE NA MNIE, TU JESTEM, HALO!”.

To, że ubrania pojawiły się w moim pokoju, jest trochę lepsze od wyjścia na zakupy. Mama ma zwyczaj wykrzykiwać moje imię na cały sklep, wymachiwać ubraniami i komentować, które stroje podkreślą lub ukryją poszczególne

części mojej figury. Wynika z tego jedna jedyna korzyść: jeśli zgodzę się na wybrany przez nią strój, mogę potem iść do lumpeksu, gdzie kupuję większość noszonych przez siebie ubrań, na przykład swetry oversize typu „boyfriend” – czyli po prostu męskie – i lekko podniszczone buty. Mama nienawidzi lumpeksu, więc mnie tam podrzuca, a zakupy robię sama.

Wypełzam z łóżka, wkładam spódnice i top, po czym wlokę się do kuchni, żeby jej pokazać, jak wyglądam.

- Och! - Mama składa ręce jak w hinduskim pokłonie. -
Pasują!

Obracam się i dygam.

- Możesz mnie zawieźć do lumpeksu? - pytam.

- Będziesz to nosiła?

Jasne, że nie, wyglądam jak przerośnięty trzmiel, ale muszę udawać, że to niewykluczone.

- Może ze swetrem? - odpowiadam.

- Dobrze - wzdycha. - Podrzucę cię po drodze do sklepu.

Zjadam śniadanie i przebieram się w swoje zwykłe ciuchy. Żółto-czarne wdzianko wraca do reklamówki i trafia do szafy, której już nie opuści. Gdy wsiadamy do auta, na ekranie mojego telefonu pojawia się wiadomość od Jenny.

Jesteś mi potrzebna. Musimy pogadać.

Z trudem powstrzymuję się od odpisania. Od uwierzenia, że naprawdę mnie potrzebuje. Wiem, że wcale nie – po prostu przywykła, że jestem, kiedy nie ma nikogo innego. O ironio, częściowo właśnie z tego powodu uważa mnie za żalostną. Nie,

Jenna, nie da się zjeść ciastka i zostawić go na później. Wkładam telefon do kieszeni.

- Wszystko w porządku u Jenny? - pyta mama.

- Super.

Nie chcę wieszać psów na Jennie, żeby moja mama nie zadzwoniła do jej mamy zapytać, czy wszystko w porządku. Nasze mamy nie przyjaźniły się ze sobą, bo pani Tanner miała bardzo stresującą pracę, a teraz jest dyrektorką jakiejś firmy w Wisconsin. Moja mama chyba nie rozmawiała z nią od przeprowadzki, a ja nie zamierzam tego zmieniać.

Podjeżdżamy do lumpeksu, olbrzymiego magazynu z wielką przeszkloną witryną, w której stoją manekiny ubrane jak na wesele i biznesowe spotkania. Zawsze mnie kusi, żeby się tam zakraść i trochę podkręcić ich stylizacje za pomocą kapeluszy, biżuterii, okularów czy szalików - wszystkiego, czego sama nie mam odwagi nosić.

- Przyjadę po ciebie za godzinę - mówi mama. - Chyba że potrzebujesz mojej pomocy.

- Wszystko w porządku. - Szybko wysiadam z auta i wchodzę do lumpeksu.

Tak jest lepiej, przynajmniej mama nie krzywi się na widok każdej wybranej przeze mnie rzeczy. Mijam dział damski i idę prosto do dużych męskich swetrów, które najwięcej zakrywają i występują w najmniej rzygliwych kolorach. Żadnych fioletów ani koralii.

Swetry w stylu „boyfriend” są zawsze modne, prawda? Hallie Bryce nosi je czasem do legginsów i balerinek. I do swoich niesamowitych nóg, rzecz jasna.

Znajduję szary kardigan – będę mogła udawać przed mamą, że włożę go do neonowego wdzianka. Zakryłby prawie całą spódnicę, a do tego jest z kaszmiru. Trafiony, zatopiony!

Telefon buzuje w mojej kieszeni. Wyciągam go i widzę nową wiadomość od Jenny.

Nieważne.

Byłam jej „potrzebna” przez dziesięć minut? Wpycham telefon do kieszeni i wracam do stojaka, po czym wybieram jeszcze dwa swetry – granatowy pod szyję i oliwkowy. Ściskając trzy wieszaki w dłoniach, ruszam do kasy. Razem zapłacę za swetry niecałe piętnaście dolarów. Kusi mnie, żeby napisać do Jenny, bo ona też kocha swetry oversize i na pewno zazdrościłaby mi szarego kaszmiru. No ale przecież „nieważne”.

Telefon znowu wibruje, nie chcę na niego patrzeć. Nawet nie próbuj tego czytać, powtarzam sobie, więc oczywiście czytam.

Chciałam spytać, co myślisz o tym stroju.

Pod spodem jest jeszcze jeden dymek z „...”, więc czekam, wgapiona w telefon. Jenna wie, że nie nadaję się do rozmów o ciuchach, zwłaszcza jeśli chce wyglądać uroczo. Jestem pewna, że nie dlatego do mnie napisała. Pojawia się kolejny tekst.

Jossie i Tiff go wybrały.

Wpatruję się w urocze imiona dziewczyn, które mnie zastąpiły w życiu Jenny. Potem przychodzi zdjęcie, na którym widnieje Jenna z Superlaską i Drugą Superlaską, znanymi również jako Jossie i Tiff. Ten widok boli niczym otwarta rana posypana solą. Pozują jak trio seksownych wojowniczek anime. Moją uwagę przyciąga jednak to, co mają na sobie – czyli w zasadzie strój, który właśnie kupiła mi mama. Czarne topy (każdy trochę inny) i neonowe spódnice. Spódnica Jenny jest wściekle różowa, Superlaski neonowożółta, a Drugiej Superlaski jaskrawoniebieska. Do tego włożyły kanciaste sandały na platformach i skarpetki w biało-czarną kratę.

Ledwie rozpoznaję Jennę, zwłaszcza kiedy pisze:

Tristan jest zachwycony, więc wszystko gra.

Jenna zawsze miała gdzieś, co chłopaki myślą o jej ubraniach. Prędzej celowo włożyłaby na siebie coś, co ich zdaniem nie było seksowne, niż tak się ubrała. I te ciuszki dopasowane do przyjaciółek? Przewracała oczami, kiedy dziewczyny przychodziły do szkoły prawie identycznie ubrane. „Nie potrafią niczego wybrać samodzielnie?“, powiedziałyby dawniej.

Wygląda na to, że zmieniła się w kogoś zupełnie innego.

Znowu wkładam telefon do kieszeni i płaczę się po dziele z butami, chociaż ich nie chcę. Kuszą mnie masywne czarne sandały na platformie, podobne do tych, które miały na zdjęciu Jenna i jej nowe przyjaciółki. Czuję się tak, jakby wszystkie trzy się ze mną drażniły: „Nie możesz ich nosić! Nie jesteś dość fajna!“. Zahaczam palcem o paski sandałów i niosę je do

kasy. Obok niej wystawiono akcesoria na Halloween, głównie dla dzieci, takie jak pizamy o ogromnych stopach, lwich, niedźwiedzich albo smoczyc. Są tu jednak również peruki we wszystkich kolorach tęczy. One też mnie kuszą.

Wybieram fioletową i pomarańczową, po czym wkładam jedną na drugą. Trochę przypominają moje photoshopowe włosy na zdjęciu East 48.

Na stole z halloweenowymi akcesoriami jest tabliczka z napisem: „Wszystko po 3\$”, więc biorę obie peruki. W plastikowym pojemniku widzę okulary za półtora dolara. Przeglądam je i wybieram takie w grubych białych oprawkach o kształcie kocich oczu, i jeszcze okulary „hipnotyczne”, z wymalowanymi na szklach czerwono-białymi spiralami. Potem dorzucam jeszcze trzy pary i garść bransoletek z wielkiej misy, na której napisano, że są po ćwierć dolara. Mam całkiem zajęte ręce i nie mogę już niczego dołożyć.

Jestem zdenerwowana, podchodząc do kasy, bo zawsze się denerwuję podczas płacenia. Ekspedientki bywają gadatliwe, a ja nie chcę wyjaśniać, po co mi masywne sandały, dwie kolorowe peruki, pięć par zwariowanych okularów i tuzin bransoletek, a do tego jak zwykle nudne swetry. Właściwie sama nie jestem pewna, dlaczego je kupuję, poza tym, że mam dość bycia sobą. Chcę być kimś innym i nie wiem, czy wystarczy mi już tylko obserwowanie – a nie „obserwanie” – życia innych.

Ekspedientka ledwie mnie zauważyła, więc niepotrzebnie się przejmowałam. Po prostu podlicza zakupy, wpycha je do torby, bierze ode mnie pieniądze i mówi: „Dziękuję, do widzenia”.

Siadam na ławce przed lumpeksiem i w oczekiwaniu na mamę starannie układam warte czterdzieści trzy dolary siedemdziesiąt pięć centów zakupy tak, żeby ukryć swoje dziwactwa pod swetrami.

W zasadzie robię to każdego dnia.

Po powrocie do domu biegnę do swojego pokoju, wypłaszam Kat i zamykam drzwi na zasuwkę. Zbieram włosy w pęczek i próbuję je upchnąć pod fioletową peruką, ale sterczą ze wszystkich stron i wygląda to tak, jakbym miała wielką narośl na czubku głowy. Przeglądam szufladę w poszukiwaniu rajstop, których nigdy nie noszę, i odcinam nogawkę, żeby zrobić z niej myckę. Kiedy już uda mi się przygładzić włosy i upchnąć je w nogawce, mierzę obie peruki naraz – najpierw pomarańczową, na nią fioletową. Wyglądają idiotycznie, jak dwie włochate gałki lodów.

Zdejmuję je i przyglądam się kolorowym pasmom włosów tak długo, aż w końcu wiem, jak upodobnić je do tego, co sobie wyobraziłam. Starannie odcinam kosmyki pomarańczowej peruki i przyklejam je do fioletowej, jak doczepki. Po jakimś czasie zaczyna to przypominać włosy narysowane przeze mnie w Photoshopie, tyle że teraz to prawdziwe (sztuczne) włosy.

Pochłonięta tworzeniem swojego dzieła, ledwie zauważam, że mama woła mnie na obiad. Przyczepiam ostatni pomarańczowy kosmyk do fioletowej peruki, otwieram szafę i kładę perukę na bucie, żeby klej wysechł w spokoju, po czym zamykam drzwi.

Tata wchodzi do domu w chwili, gdy idę korytarzem.

- Witaj, skarbie. - Wydaje się zmęczony.

- Cześć, tato.

Siadamy do stołu. Mama przynosi jedzenie.

- Co tam słyhać? - Nakłada sobie piure ziemniaczane i wręcza mi miskę. - W porządku.

- Poszłyśmy na zakupy. - Mama sugeruje, że robiłyśmy je razem. - Powinnaś przymierzyć nowy strój i pokazać się tacie.

- Muszę? - Rzucam mu błagalne spojrzenie.

- Nie musisz - odpowiada z uśmiechem.

Mama zaciska usta, jak zawsze zirytowana, że tata znowu stanął po mojej stronie.

- Gdyby to zależało od was dwojga, nikt nie ruszyłby tu palcem. - Zbiera talerze, chociaż dopiero zaczęliśmy jeść.

- Nora, skarbie. - Tata kładzie rękę na jej ramieniu, ale mama się odsuwa i zanosí jedzenie do kuchni.

Tata i ja jemy, mama nie wraca.

- Może jednak pokażesz mi ten strój? - pyta w końcu tata.

Wzdycham ciężko.

- Przecież masz to gdzieś.

- Ale twoja matka nie ma. Korona ci z głowy nie spadnie, jeśli go przymierzysz.

- Proszę bardzo. - Rzucam serwetkę na stół i odsuwam krzesło. Zawsze jest tak samo - tata bierze moją stronę i natychmiast ustępuje, kiedy mamie robi się przykro. - A jej korona z głowy nie spadnie, jeśli przestanie mnie traktować jak Barbie do przebierania.

Ojciec na moment zamyka oczy, po czym kładzie złożoną serwetkę obok talerza. Nic już nie powie, ale będzie rozczarowany, jeśli nie spełnię jego prośby. Wobec tego idę do

pokoju i wkładam neonową spódnicę i czarny top. Kiedy wracam do jadalni, mama uśmiecha się szeroko na mój widok.

- Uroczo, prawda?

Tata mruga kilka razy, wpatrując się w spódnicę. Najwyraźniej ma wątpliwości co do jej uroku.

- Tak, bardzo ładnie - potwierdza.

- Nieważne - mamroczę.

Wracam do pokoju i staję przed dużym lustrem. Próbuję wyobrazić sobie siebie na tamtym zdjęciu, razem z Jenną i Superlaskami. Przybieram pozę, robię seksowną minę. Wyglądam jak totalna kretynka.

Wkładam sandały na platformach, żeby sprawdzić, czy to pomoże. Nie pomaga.

- Skarbie, dokończysz obiad?! - woła mama z korytarza.

- Nie, dziękuję. Już nie jestem głodna.

- Proszę bardzo - mamrocze mama.

Otwieram szafę, żeby sprawdzić, co z peruką. Klej wysechł, więc ją przymierzam, najpierw upchnąwszy włosy pod myckę. Jest lepiej, ale nie idealnie. Potrzebuję trochę więcej punk rockmenki i mniej klaunowatej hipiski. Biorę z biurka nożyczki i przycinam włosy, aż uzyskuję efekt nierównej eksplozji barw wokół twarzy. Unoszę pojedyncze pasma i układam je za pomocą ultramocnego lakieru mamy.

Jenna umarłaby ze śmiechu....

Odpycham od siebie tę myśl, wracam do pracy. Do ukrywania się, tworzenia kogoś, kogo nie rozpoznałaby nawet Jenna. Nie-Vicky.

Kiedy kończę, staję przed lustrem, tym razem w peruce.

Moje nogi wręcz oślepiają bladością, żadne skarpetki by nie pomogły, nawet gdybym je miała. Przypominam sobie „modne legginsy”, które mama dała mi na urodziny, więc przeszukuję szufladę pełną nietrafionych ciuchów, aż w końcu znajduję legginsy w czarne i białe zygzaki. Wkładam je i znowu przyglądam się swojemu odbiciu.

W zestawieniu z szaloną peruką i legginsami spódnica wydaje się za grzeczna. Ściągam ją z siebie i zaczynam ciąć. Na pierwszy ogień idzie szew; potem tnę materiał na grube paski aż do talii, tak że spódnica przypomina teraz hawajską spódniczkę. Modyfikuję również czarny top. Kiedy jednak stoję wyprostowana przed lustrem, uświadamiam sobie, że z boku wystaje kawałek ciała. Usiłuję obciągnąć top, ale nie udaje mi się ukryć kilku centymetrów skóry obok pępka. To idealne miejsce na tatuaż (którego nikt nigdy nie zobaczy), więc rysuję niezmywalnym mazakiem symbol jin-jang.

W internecie piszą, że takie tatuaże trzymają się dłużej, jeśli posypie się je talkiem dla dzieci i spryska lakierem do włosów, więc tak właśnie robię. Potem wkładam sandały na platformach, wsuwam na przedramię cały rękaw z bransoletek i na koniec szukam czegoś odpowiedniego w eklektycznej kolekcji lumpeksowych okularów. Może te z oczami Boba Kanciastoportego? Albo z pacyfą? A może lustrzanki w tęczowe cętki? W końcu stawiam na pierwszą wybraną przez siebie parę kocich okularów o grubych białych ramkach. Na cześć Kat.

Wyglądam niesamowicie.

No dobra, i trochę śmiesznie, ale w stylu „Albo się wybijesz,

albo w domu zgnijesz”. (Lub też, jak w moim wypadku, „Nawet jak się wybijesz, to i tak w domu zgnijesz, bo jesteś śmierdzącym tchórzem, który boi się opuścić swoje cztery ściany”).

Stawiam telefon na regale i uruchamiam samowyzwalacz. Na kilku pierwszych zdjęciach odchodzę od aparatu, bo trzy sekundy to za mało na przybranie pozy. Przesuwam na dziesięć sekund, żeby zdążyć dobiec pod przeciwległą ścianę, zanim aparat się uruchomi, i robię parę zdjęć swojej sylwetki, od stóp do głów.

Nuda.

Jestem zbyt sztywna, zbyt przerażona. Zbyt podobna do siebie.

Uświadamiam sobie również, że dolna część mojej twarzy jest odsłonięta i rozpoznawalna. Zmieniam to dzięki szmince znalezionej w pudełku zazwyczaj nieużywanych kosmetyków do makijażu, które dała mi mama. Teraz mam jaskrawoczerwone usta, nieco większe niż moje. Znowu nastawiam samowyzwalacz i próbuję. I jeszcze raz, i jeszcze.

Pozuję, skaczę, macham, obracam się, chwieję, pochylam, wyginam, okręcam, uśmiecham i śmieję. Cmokam. Przyciskam wargi do wnętrza dłoni i pokazuję ślad szminki do aparatu.

Robię dziesiątki zdjęć, aż brakuje mi tchu od biegania w tę i z powrotem, żeby nastawić samowyzwalacz. Po załadowaniu fotografii do komputera przeglądam je i ledwie się rozpoznaję. Gdyby nie mój pokój w tle, nikt by się nie domyślił, że to ja. Czuję się dobrze, jak przy tamtym zdjęciu z East 48, chociaż nie opuściłam pokoju.

Za to opuściłam siebie.

Tym razem jednak nie mam komu wysłać zdjęcia, nie mam kogo oszukać, że jestem fajniejsza, bardziej interesująca czy wyjątkowa niż w rzeczywistości. Po drugiej stronie nie czeka Jenna, żeby wykrzyknąć: „OMG!”.

Nikt nie czeka.

Wobec tego wchodzę na Instagram, gdzie zawsze są jacyś ludzie, zamiast jednak zalogować się jako Kat, zakładam nowe konto pod nickiem Observi. Może chcę, żeby Jenna je odnalazła i domyśliła się, że to ja, a może chodzi mi o dowód, że istnieję poza własnym pokojem. Przeciagam jedno ze zrobionych przed chwilą wariackich zdjęć do Photoshopa i zastępuję pokój czystym białym tłem. Potem ładuję zdjęcie na swój profil.

Oto ja - zero postów, zero obserwujących, zero obserwowanych.

Postanawiam napisać post, żeby sprawdzić, czy zdobędę obserwujących, chociaż taka perspektywa wprawia mnie w popłoch. Mieliby mnie obserwować całkiem obcy ludzie? Śmieję się z siebie, bo przecież sama to robię w wypadku Hallie, Adriana i nawet Raja. Nie wiedzą, że ich obserwuję, bo nie dołączyłam oficjalnie do obserwujących, co oznacza, że ktoś mógłby obserwować mnie i też bym o tym nie wiedziała.

Ale ja działam pod przykrywką. Znowu patrzę w lustro. Nikt mnie nie rozpozna, jestem anonimowa. Jestem tworem wyobraźni, nie prawdziwym człowiekiem, a skoro tak, nie mogą mnie skrzywdzić.

Czy mogą?

Znowu przeglądam swoje nowe zdjęcia i ciągle wracam do pierwszego, na którym odchodzę od aparatu. Może jestem tchórzem, skoro nawet nie chcę pokazać swojej nieprawdziwej twarzy, ale to zdjęcie uchwyciło pustkę, którą teraz czuję. Bawię się fotografią w Photoshopie, aż wokół mnie pozostaje tylko czyste białe tło. Jestem niczym papierowa laleczka do wycinania. Potem szukam idealnego miejsca, w którym chciałabym się teraz znaleźć.

Na koncercie lub w tłumie poczułabym się jeszcze bardziej samotna, więc idę gdzieś, gdzie ludzie docenią moją samotność, nawet mi jej pozazdroszczą. Znajduję zdjęcie pustej plaży o zachodzie słońca. Fale łagodnie uderzają o brzeg, odbija się w nich pomarańczowy blask tropikalnego nieba. Opuszczam siebie w fioletowo-pomarańczowej peruce na plażę – maleńka, znikająca w oddali sylwetka.

Po chwili zamieszczam zdjęcie na koncie. Niesamowite, jak szybko ten widok wpływa na mój nastrój, czuję się, jakbym naprawdę była na plaży. Jakbym była gdzie indziej, była kimś innym. Zdejmuję kostium Observi, chusteczką ścieram czerwoną szminkę z ust i wpełzam do łóżka. Skulona pod kołdrą, ostatni raz patrzę na konto swojego alter ego, gdzieś tam w internetowej pustce. Zero lajków, zero komentarzy. To bezpieczne miejsce, ale podświadomie pragnę, żeby ktoś mnie zauważył.

Klikam na „...”, i, kciukiem, na „Edytuj”. Potem dodaję jedno jedyne słowo:

#samotność

Rozdział 6

Coś mnie budzi ze snu, ale jestem zbyt senna i dezorientowana, żeby wiedzieć, co konkretnie. Spoglądam na zegarek, jest druga w nocy. Kiedy zaczynam przysypiać, dostrzegam za zamkniętymi powiekami błysk światła, jakby reflektora przejeżdżającego auta albo błyskawicy w oddali. Nie słyszę ani silnika, ani grzmotu, więc uchylam powiekę i rozglądam się po pokoju. Światło znowu błyska... z mojego telefonu.

Jenna?

Rzucam się w kierunku telefonu, nie pamiętając o niczym. Mrużę oczy, żeby przyzwyczać się do jasności ekranu, po czym przekonuję się, że to nie od Jenny. I to nie esemes, tylko powiadomienie z Instagramu.

Ściślej mówiąc, kilkanaście powiadomień.

Zaraz, dlaczego Instagram wysyła mi powiadomienia? Nagle przypominam sobie, że parę godzin temu założyłam nowe konto.

Siadam na łóżku i przesuwam ekran. Observed dostaje lajki. I mam obserwujących! Jest ich dwunastu, o nickach takich jak samotnyyy czy nieladnainiekochana. Przypominam sobie hashtag, który dodałam tuż przed położeniem się spać. Klikam na *#samotność* i... o... mój...

Jest trzynaście milionów sto pięćdziesiąt tysięcy sześćset

pięćdziesiąt postów z hashtagem *#samotność*.

Przewijam zdjęcia i widzę swoją fotografię - Obserwi na plaży - wśród morza innych zdjęć ludzi w różnych stadiach samotności. Fotografie przemieszane są z czymś, co wygląda na inspirujące cytaty. Klikam na jeden, żeby sprawdzić, co warto cytować w kwestii *#samotność*.

Nie polegaj za bardzo

Na nikim.

Nawet twój cień Cię opuści

Gdy ogarnie Cię mrok.

O Boże, przygnębiające. Po chwili klikam na inne cytaty.

To smutne, gdy czujesz się sam

W pokoju pełnym ludzi.

Jestem więźniem własnego umysłu.

Nikt mnie nie potrzebuje, nie chce, nie kocha.

Najwyraźniej trafiłam na właściwych ludzi i trochę mnie przerażają. To znaczy, utożsamiam się z nimi, ale ich przemyślenia to te, które usilnie staram się ignorować. Czytanie ich wszystkich w jednym miejscu przypomina podejście do krawędzi urwiska. Upadek w otchłań to tylko kwestia czasu.

Dlatego się wycofuję i wracam do swojej strony, do jedyne go posta. Ma siedemnaście lajków. Moje zdjęcie spodobało się siedemnastu osobom na tyle, że kliknęły na czerwone

serduszko. Nie jestem pewna, co to znaczy. Podoba im się moja samotność?

Wyłączam telefon, żeby nie budziły mnie błyski ani powiadomienia, i próbuję zasnąć. Nie jest to łatwe, bo mam świadomość, że ludzie mnie obserwują - czy też raczej obserwują Observi.

Ale siedemnaście osób? Zapewne nie rozmawiałam z tyloma przez ostatni rok, nawet nie jestem pewna, czy taka liczba ludzi zna moje imię. I chociaż ta konkretna siedemnastka go nie zna, ci ludzie poznali część mnie, której nie widział nikt inny. Lubią we mnie coś, z czego istnienia nawet nie zdawałam sobie sprawy.

Pokrzepiona tą dziwną więzią, zasypiam tak głęboko, że rano mama musi walić do drzwi, żeby mnie obudzić. Nawet nie jestem zirytowana, cieszę się, że sprawdzę, co u Observi. Czekam z tym jednak, po śniadaniu mówię rodzicom, że mam masę pracy domowej. To prawda, ale zamierzam spędzić dzień na zajmowaniu się czymś innym.

Po raz pierwszy w życiu czuję, że mogę stać się częścią czegoś większego. Nie będę się kryła i podglądała. Observi musi pokazać się światu. Ja nigdy bym tego nie zrobiła.

Gdy siedzę w pokoju i surfuję po internecie, zadaję sobie pytanie - gdybym mogła spędzić ten dzień z dowolną osobą, kto by to był? Dokąd bym się wybrała?

Przeciągam zdjęcia do pustego folderu. Hogwart. *Titanic*. *The Tonight Show*. Budka gwardzisty przed pałacem Buckingham. Skok na spadochronie nad Wielkim Kanionem. Wielki Mur Chiński. Kosmos. Rozmaite czerwone dywany.

Nie kocham się w nim, ale uważam, że jest supermądry i fajny, więc na pierwszy ogień idzie Neil deGrasse Tyson. Stoi u steru kosmicznego statku, a za nim eksploduje kosmos. Wybieram jedno z wczorajszych zdjęć, na którym podskakuję i robię entuzjastyczną minę, po czym wklejam się za pomocą Photoshopa na kosmiczne zdjęcie Neila. Jestem drugim pilotem jego statku.

Mija sporo czasu, zanim zacznie to wyglądać w miarę realistycznie. Nie spodziewam się, aby ktoś uwierzył, że zdjęcie jest prawdziwe, ale chcę, żeby wyglądało, jakby mogło być, choćby tylko dla mnie.

Kiedy wchodzę na Instagram, żeby wrzucić zdjęcie, okazuje się, że mam dwunastu nowych obserwujących – razem dwudziestu czterech – i trzynaście nowych lajków. Wstrzymuję oddech, sprawdzając, czy kogoś rozpoznam. To wszystko nieznane mi nicki, niektórzy identyfikują się z depresją i smutkiem, wykorzystują je w swoich nickach, takich jak smutnamarzycielka czy deprechajestdodupy.

Nie ma tu jennaelizabethtanner ani marissadimarco, ani nikogo, kogo znam, więc znowu mogę oddychać. Wybieram zdjęcie i piszę:

W nieskończoność i jeszcze dalej!

Już mam zamieścić post, kiedy zaczynam się przejmować prawem autorskim i tym, czy wolno wykorzystać cudze zdjęcie bez pozwolenia. W sumie ludzie robią to przez cały czas, co nie znaczy, że tak można. Myślę jednak, że producenci *Kosmosu* byliby zadowoleni, bo to promocja serialu i forma

sztuki. Pewnie się cieszą, że ludzie dzielą się takimi zdjęciami ze znajomymi. Jeśli ktoś się będzie skarżył, natychmiast usunę zdjęcie.

Mimo to wciąż trzymam palec nad „Opublikuj”. Zaraz to zrobię, zaraz podzielę się z innymi zdjęciem, na którym mnie widać – w kostiumie, ale jednak. Zamykam oczy i klikam niebieską ikonkę, wstrzymując oddech, aż wyskakuje post.

I czekam.

I jeszcze trochę.

Nic się nie dzieje – zero lajków, zero komentarzy. Najwyraźniej Neil deGrasse Tyson nie jest szczególnie popularny wśród ludzi z hashtagem *#samotność*. Znowu patrzę na post. Coś z nim nie tak? Nie jest dość fajny, interesujący czy zabawny? Jakie to głupie, że obchodzi mnie, czy internetowi spodoba się moje zdjęcie. Przecież to ja podpatruję innych, więc powinno liczyć się tylko moje zdanie.

A jednak źle się czuję, że ludziom nie spodobało się moje zdjęcie. W nocy tych dwunastu obserwujących i siedemnaście lajków poprawiło mi humor. Czuli więc ze mną i moim zdjęciem. Teraz mnie olali.

Mało mi odrzucenia w prawdziwym życiu, muszę sobie jeszcze dokładać to wirtualne?

Nagle słyszę brzęknięcie telefonu. Ożywiam się i sprawdzam powiadomienia.

smutnamarzycielka *Superfryzura. Ciekawe, dokąd się wybierzesz następnym razem.*

I znowu się uśmiecham. Ten jeden miły komentarz, wyraz

zainteresowania, poprawia mi humor. Może innym ludziom potrzeba mnóstwa przyjaciół, całych hord fanów, mnie wystarczy jeden.

Odkładam telefon i wyciągam pracę domową na poniedziałek. Przez cały czas myślę o komentarzu smutnejmarzycielki. Dokąd się wybiorę? Do Hogwartu, to chyba oczywiste. Marzę o tym od dziewiątego roku życia. Już nawet nie pamiętam, ile razy sprawdzałam, czy w skrzynce nie czeka na mnie zaproszenie ze Szkoły Magii i Czarodziejstwa. I do tego zawsze chciałam jeździć na hipogryfie.

Kończę matematykę i bez przekonania uczę się do testu z biologii, po czym zaczynam szukać Hardodzioba. Szybko znajduję popularne ujęcie z filmu, na którym Harry Potter szybuje na hipogryfie nad Jeziorem Hogwartu.

Przeglądając wczorajsze zdjęcia Observi, znajduję takie, na którym trzymam ręce w górze jak na rollercoasterze. Robię zbliżenie, wycinam swoją sylwetkę i wklejam ją do ujęcia z filmu. Kiedy kończę, wygląda to tak, jakbym siedziała tuż za Harrym i uśmiechała się szeroko, kiedy kopyta Hardodzioba prawie dotykają tafli jeziora.

Niemal czuję pióra hipogryfa pod swoimi nogami, wiatr rozwiewa mi włosy. Wniebowzięta, śmieję się i wiwatuję wraz z Harrym. Kiedy mama woła mnie na obiad, postanawiam poczekać z publikacją zdjęcia, bo chcę zobaczyć, jakie wywoła reakcje.

Pośpiesznie zjadam i wymawiam się stosami pracy domowej. Natychmiast po powrocie do pokoju wrzucam zdjęcie na profil i przez chwilę gapię się w ekran, żeby sprawdzić, czy

ktokolwiek je zauważy.

Nikt nie zauważa.

Wobec tego zamieszczam kolejne zdjęcie, i jeszcze jedno. Observi gada z Jimmym Fallonem w *The Tonight Show*. Pęta się po czerwonym dywanie na rozmaitych ceremoniach. W podartej neonowej spódnicy jestem wyjątkowo nieodpowiednio ubrana, wobec czego stawiam na fotobomby. Łatwo je zmontować za pomocą Photoshopa, więc nie poprzestaję na jednym. Jennifer Lawrence. Will Smith. Gina Rodriguez. Neil Patrick Harris. Eddie Redmayne. Chris Rock. Gael Garcia Bernal.

To sam szczyt życia cudzym życiem, przynajmniej dla mnie. Observi może pojawić się wszędzie i robić, co chce, nie opuszczając mojego pokoju.

- Vicky? - O jedenastej mama puka do moich drzwi. - Skarbie, bardzo ciężko pracowałaś. Pora spać.

Zaciemniam ekran komputera i gaszę lampę, żeby myślała, że się położyłam.

- Dobranoc! - wołam.

- Przytulisz mnie? Prawie cię dzisiaj nie widziałam - skarży się za drzwiami.

- Ale ja już leżę, mamó. - Staram się mówić tak, jakbym była zbyt śpiąca, żeby wstać i otworzyć drzwi, a nie siedziała ubrana przy biurku i gapiała się w komputer.

- No dobrze.

Zapada cisza, nie dobiega mnie odgłos oddalających się kroków. Mama nadal stoi pod drzwiami, słyszę jej westchnienie. Już mam zawołać: „Kocham cię”, ale wtedy

mówi: „Miłych snów” i odchodzi.

Mam prawo być zmęczona, jednak czuję się tak, jakbym przez ostatnie dwie godziny skakała przed kamerami na czerwonym dywanie. Chyba jestem stworzona do życia cudzym życiem. Dzięki temu mam wrażenie, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Przeoglądam dwanaście zdjęć zamieszczonych dzisiaj. Nie licząc smutnejmarzycielki, tylko jedna czy dwie osoby polubiły zdjęcia, które poza tym przeszły bez echa. Powinnam mieć to w nosie, ale Observi jest cudowna, śmiała i pełna życia. Zasługuje na uwagę! Klikam na niektóre z popularniejszych kont i szybko sobie uświadamiam, gdzie popełniłam błąd. Nigdzie poza pierwszym zdjęciem nie dodałam hashtagu.

Dlatego znaleźli mnie tylko samotnicy.

Już mam dodać **#kosmos** **#neildegassetyson** **#nauka** **#harrypotter** **#więzieńazkabanu** **#tonightshow** **#czerwonydywan** **#fotobomba** i wszystko, co tylko przyjdzie mi do głowy, kiedy nagle dociera do mnie, że... nie. To nie ja i nie Observi.

Zostawiam wszystkie zdjęcia takie, jakie są – jaka ja jestem. Samotna i niezauważana. Wyłączam komputer, przebieram się w piżamę i kładę do łóżka. Telefon na nocnym stoliku dziś mnie nie obudzi.

Rozdział 7

W poniedziałek rano pośpiesznie wyłączam budzik w telefonie i z przyzwyczajenia zaczynam się zastanawiać, co wrzuciła dla mnie Jenna. Widzę powiadomienie z Instagramu, więc zakładam, że to od niej, ale już po chwili dociera do mnie rzeczywistość. Nic od Jenny, za to Observi ma całe stado nowych obserwujących. Jakoś mnie odnaleźli mimo braku hashtagów.

Obok zdjęcia z *Kosmosu* jeden z pierwszych użytkowników *#samotność* zostawił komentarz z tagiem jakichś ludzi, a oni z kolei zostawili komentarze z tagiem ludzi o kosmicznych nickach. Ktoś napisał komentarz obok zdjęcia Hardodzioba i otagował kogoś o nicku fanatykdumbledorea, który to otagował pięć innych osób. Teraz rozmawiają ze sobą w komentarzach i rzucają tagami na prawo i lewo.

Jeszcze bardziej niewiarygodne jest to, że mam tylu nowych obserwujących. Pojawili się w nocy, jest ich siedemdziesięciu trzech – zaraz, siedemdziesięciu czterech. Nie policzyłam komentarzy pod wszystkimi zdjęciami, ale pod *Kosmosem* jest dwadzieścia siedem, a pod Hardodziobem osiemnaście.

Oddycham trochę za szybko, ucieszona, ale i lekko przerażona. Ludzie naprawdę obserwują moje konto, interesuje ich to, co robię. Opuszczam nogi na podłogę i pochylam się z głową między kolanami. Oddychaj, Vicky.

Oddychaj. Trzymam telefon przed zwieszoną głową i z niedowierzaniem wpatruję się w ekran. Wyskakuje następny obserwujący, i jeszcze jeden. Upewniam się, że nie rozpoznaję żadnych imion ani nicków ze szkoły. O ile się nie mylę, to całkowicie nieznani mi ludzie. Mimo to mój oddech uspokaja się dopiero po dłuższej chwili.

Patrzę, jak liczba obserwujących wzrasta, gdy poranne światło powoli rozjaśnia pokój. Siedemdziesiąt sześć... siedemdziesiąt siedem... siedemdziesiąt osiem...

To niewiarygodne. Nie mogę przestać się zastanawiać, czy Jenna lubiłaby mnie bardziej, gdyby wiedziała, że jestem tą dziewczyną?

Przygotowuję się do szkoły, po czym wychodzę na przystanek. Wyłączony telefon leży na dnie torby. Świadomość, że tam jest, że Observi krąży po świecie i znajduje „przyjaciół”, sprawia, że moje serce bije szybciej ze zdenerwowania. Biegnę na lekcje, martwiąc się, że ktoś ją widział i zaraz mnie rozpozna.

Gdy wchodzę na historię, Lipton uśmiecha się do mnie. Natychmiast dochodzę do wniosku, że wie. No bo dlaczego by się do mnie uśmiechał? Kiedy siadam, gotowa wpaść w panikę, wychyla się w moim kierunku i mówi:

- Jak tam oblężenie Jerozolimy?
- Super! - Wyrzucam z siebie. - Oblężniczo.

Śmieje się, a ja mam ochotę wpełznąć pod jakiś kamień. Nie wiem, jak ludzie radzą sobie z jednoczesnym panowaniem nad myślami i emocjami. U mnie jedno albo drugie zawsze wymyka się spod kontroli.

- Na pewno nie chcesz dołączyć do teamu Termopile? - Pokazuje kciukiem na Adama. - Sama masz mnóstwo roboty, a nam też przydałaby się pomoc.

Adam rzuca mi niechętnie spojrzenie, jasno dając do zrozumienia, że w ogóle nie interesuje go moja pomoc. Jestem pewna, że mnie nienawidzi.

- Sorry, już się przygotowałam. - Szybko odwracam wzrok i zaczynam przerzucać kartki podręcznika.

- Niemożliwe - oznajmia Lipton. - Adam i ja prawie nic nie zrobiliśmy, a siedzimy nad tym po jakieś dwie godziny co wieczór.

Podnoszę wzrok na jego miłą, szczerą twarz, a potem zerkam na Adama, który dalej się do mnie krzywi. Mózg mi się wyłącza, gapię się tylko i mrugam.

- Mówiłem ci, stary - prycha Adam.

Niby co mu mówił? Spoglądam na przestrzeń pomiędzy moją ławką a ławką Liptona, która stoi zbyt blisko i jednocześnie zbyt daleko.

Lipton wzrusza ramionami i podaje mi oddarty kawałek kartki.

- Na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie - mówi.

Biorę kartkę, na której napisał swoje imię i numer telefonu. Zauważa, że gapię się na papier, jakbym jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała, i dotyka mojego ramienia.

- Wszystko w porządku? - pyta.

Nagle uświadamiam sobie, że nic nie jest w porządku. Czuję, że mam łzy w oczach, dławi mnie gula emocji, które usiłuję od siebie odepchnąć. Chcę udawać, że nic złego się nie

dzieje, ale tego wszystkiego jest za dużo: wyjazd Jenny, to, że ona uważa mnie za żalostną, zaprzyjaźnia się z nowymi ludźmi i popisuje się tym przede mną, nadzieja, że dzięki Observi ludzie zaczną postrzegać mnie w innym świetle, a jednocześnie wszechobecny strach przed zauważeniem. Jestem jak butelka gazowanego napoju, którą za mocno potrząsano, w każdej chwili mogę eksplodować.

A Lipton próbuje odkręcić nakrętkę.

- Dlaczego jesteś dla mnie miły? - niemal warczę, po czym zamykam usta, zanim wydostanie się z nich coś jeszcze.

Lipton szeroko otwiera oczy i szybko cofa rękę.

- Eee... Przepraszam.

Mrugam w pośpiechu, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy.

- To alergia - mówię. - Po prostu... Staram się nie kichnąć.

Przyciskam pięść do ust i skupiam się na powstrzymaniu tego, co usiłuje się z nich wydostać i bardziej przypomina krzyk niż kichnięcie.

Lipton dziwnie na mnie patrzy, po czym daje mi spokój, i bardzo dobrze. Koncentruję się na oddychaniu, żeby nad sobą zapanować. To idiotyczne, że tak łatwo i niespodziewanie tracę nad sobą kontrolę. Każda emocja, każdy lęk czają się tuż pod powierzchnią. Tak bardzo skupiam się nad chronieniem się przed bólem, że nie mam pojęcia, jak reagować na życzliwość.

Jakoś udaje mi się przebrnąć przez resztę porannych lekcji i w końcu wpadam do redakcji księgi, zadowolona, że dotrwałam do lunchu. Nikogo nie ma, więc przejmuję

komputer w kącie. Marissa przykleiła do niego post-it: „V., zajmij się zdjęciami ze zjazdu absolwentów”.

Otwieram folder zatytułowany „Zjazd” i przeglądam zdjęcia. Są ich setki - mecz, tańce, parada, platforma na kółkach ze wszystkimi kandydatkami na królową zjazdu, machającymi z gracją godną królowej Elżbiety.

Znowu widzę Marissę z włosami upiętymi w elegancki kok. Wygląda pięknie, a do tego jest wszędzie i robi wszystko. Wybieram zdjęcie, gdy koronują ją na królową, a Adriana na króla. Żadne z nich nie patrzy do aparatu, tylko wymieniają spojrzenia i się śmieją. Na widok takiej fotografii człowiek od razu żałuje, że nimi nie jest.

Szukam innych zdjęć, które wzbudzają we mnie podobne emocje. Fotografii ludzi, którymi nigdy nie będę, chwil, których nigdy nie przeżyję. Cheerleaderka na szczycie piramidy. Rząd dziewczyn siedzących obok siebie na trybunach. Ożywieni członkowie szkolnej orkiestry z uniesionymi trąbkami. Dorzucam do tego obowiązkowe zdjęcie przyłożenia, takie, na którym widać niczym niezmaconą radość na twarzy gracza, gdy dobiega do celu.

Nic na to nie poradzę, że wyobrażam sobie Observi na każdym z tych zdjęć. Trzyma pod ramię przyjaciółki stojące jedna obok drugiej, przybija piątkę po świetnym przyłożeniu. Boję się, że Marissie nie spodoba się to, co wybrałam, ale Marvo mówił, że mam dobre oko. Jego słowa to dla mnie ostatnia deska ratunku - maleńka i spróchniała, pływa wśród rekinów, ale i tak utrzymuje mnie na powierzchni.

Tak się czuję przez większość czasu - staram się zachować

spokój i ani drgnąć, żeby rekiny mnie nie zauważyły i nie zaatakowały. Postanawiam przeszukać Instagram pod kątem hashtagów typu *#niepatrznamnie* *#ocalmnie*. Po tym, co widziałam na *#samotność*, powoli zyskuję pewność, że nie jestem jedyna.

Przyglądając się zdjęciom, zauważam samotnych ludzi w tłumie i się na nich skupiam. Znajduję coraz to nowe osoby i wkrótce ekran wypełniony jest zbliżeniami ludzi kryjących się na widoku - ludzi, którzy obserwują, ale nie biorą udziału. Ludzi takich jak ja.

Drzwi za mną skrzypią. Odwracam się od komputera, kiedy wchodzi Marvo i Beth Ann. On się uśmiecha, ona nie. Próbuję w pośpiechu pozamykać zdjęcia, ale zrzucam z biurka myszkę. Jeśli się pochylę, żeby ją podnieść, zobaczą tych wszystkich obserwatorów na ekranie.

Zrywam się z krzesła i staję przed Marvem i Beth Ann, zasłaniając monitor.

- Hej! - wykrzykuję. - Cześć! Co słychać? Przyszliście popracować nad księgą? No jasne, że tak, głupie pytanie. No bo po co mielibyście tu przychodzić, prawda?

O Jezu.

Patrzę na mnie szeroko otwartymi oczami, a serce omal nie wyskakuje mi z piersi. Marvo zerka na Beth Ann i znowu na mnie.

- Ona mówi - oznajmia.

Śmieję się rozpaczliwie, sztucznie, marząc, żeby ktoś mnie zabił. Beth Ann marszczy brwi i zaczyna przeszukiwać stertę papierów na swoim biurku.

- Pewnie, że mówi.

- Całymi zdaniem - zauważa Marvo.

- Nie czepiaj się jej.

- Wcale nie...

- Owszem, tak - warczy na niego Beth Ann, jeszcze bardziej gorączkowo przeszukując stos papierów.

- Nie bądź taką...

Beth Ann z groźną miną wyciąga rękę i piorunuje go wzrokiem.

- Jeśli nazwiesz mnie tym słowem...

- Jakim słowem? - uśmiecha się Marvo. - Złościca?

- Oboje wiemy, że nie to zamierzałeś powiedzieć. Jeśli nie chcesz stracić jaj, lepiej tego nie mów.

Marvo zasłania dłońmi swoje części intymne i cofa się do drzwi.

- Moje jaja i ja już sobie idziemy - oznajmia.

- Czekaj!

Beth Ann podchodzi do niego, łapie go za koszulę i całuje. Na moich oczach. A Marvo oddaje pocałunek. Beth Ann go obejmuje, on ją też, a ja... ja gapię się na nich jak wariatka.

Zanim mnie przyłapią, odwracam się do komputera i chwytam myszkę, która zwisa z biurka. Przełączam komputer w stan uśpienia, więc ekran ciemnieje, i opadam na krzesło. Nie dlatego, że mam ochotę tu zostać, ale dlatego, że pokój wiruje i nie chcę robić z siebie jeszcze większego pośmiewiska, mdlejąc w trakcie wymiany pocałunków pomiędzy Marvem i Beth Ann.

A zresztą blokują drzwi.

Siedzę nieruchomo w nadziei, że zapomną o moim istnieniu, chociaż nadal widzę ich kątem oka.

- Daruj sobie - mówi Beth Ann.

Wyślizguje się z objęć Marva i w pośpiechu wraca do swojego biurka.

- Ty zaczęłaś - śmieje się Marvo.

- Bo... - Wzdycha ciężko. - Muszę znaleźć ten głupi esej. Przysięgam, że go tu zostawiłam.

Marvo pomaga jej szukać, przegląda teczki i papiery na jej biurku. Gdy rozlega się dzwonek, Beth Ann jęczy.

- Znajdziemy go - mówi Marvo. - Uspokój się.

- Nie każ mi się uspokajać!

- Okej. - Marvo ściska głowę dłońmi.

Zarzucam plecak na ramię i wstaję, żeby wyjść. Nie chcę się spóźnić na lekcję i nie chcę im przeszkadzać. Odwracam wzrok i powoli zmierzam w stronę drzwi. Wtedy widzę, co przypięto do tablicy ogłoszeniowej. „Kryzys uchodźców w 1939 roku”, napisany przez Beth Ann Price.

Zatrzymuję się i wyciągam rękę, po czym odkasłuję.

- Czy o to chodzi? - pytam.

Beth Ann odwraca się i biegnie do tablicy.

- O Jezu, tak! - Chwyta mnie za ramiona. - Chyba cię pocałuję.

Odpina swój esej i przyciska go do piersi. Marvo podnosi ją i okręca, a jej czerwone trampki fruną w powietrzu. Czerwone conversy, za kostkę. Patrzę, jak się kręcą, a potem podskakują.

Mają symbol jin-jang na gumie z przodu.

Beth Ann jest tamtą dziewczyną, która pytała w łazience, czy wszystko ze mną w porządku. Nic dziwnego, że poprzednio tak się gapiła na moje buty. Wypadam z pokoju i jestem już w połowie korytarza, kiedy wydaje mi się, że ktoś woła: „Vic!”. Nie odwracam się, zresztą pewnie mi się tylko wydawało albo chodziło o Victorię Ewing czy Victora Santosa, albo nawet jakiegoś Nicka czy Ricka. Nie ma nic bardziej upokarzającego niż odwracanie się, kiedy wołają kogoś innego.

A mnie nigdy nikt nie woła.

Rozdział 8

Dopiero na ostatniej lekcji przypominam sobie, że przełączyłam komputer w stan uśpienia, ale go nie wyłączyłam. Jeśli ktoś przy nim usiądzie, zobaczy, jak powybierałam przypadkowych samotników, i dojdzie do wniosku, że naprawdę jestem dziwna. Gdy tylko dzwoni dzwonek, biegnę do redakcji zamiast do autobusu.

Bez tchu otwieram drzwi. O dziwo, wszechświat jest dziś dla mnie łaskawy, w pomieszczeniu nikogo nie ma – jednak obok klawiatury stoi puszką napoju, a kiedy dotykam myszki, widzę przed sobą pusty ekran.

Ktoś już pozamykał zdjęcia, co oznacza, że widział, co robiłam. Odsuwam krzesło od biurka i zrywam się, żeby pobiec do autobusu, po czym wpadam wprost na Marva.

Chwyta mnie za ramiona, żebym się nie przewróciła.

– Spokojnie.

– Sorry. Nie słyszałam, jak wchodzisz – dyszę i się odsuwam.

– Zostajesz po lekcjach?

Kręcę głową i przenoszę spojrzenie na zegar nad drzwiami.

– Poprzednio też uciekłaś. Nie słyszałaś, jak cię wołałem?

– Nie, bo... autobus – mówię. – Muszę zdążyć na autobus.

Marvo lekceważąco macha ręką.

– Mogę cię pod...

– Nie, to znaczy dziękuję, ale nie, w porządku, zdążę. –

Ruszam do drzwi.

- Hej, Beth Ann i ja chcieliśmy powiedzieć ci już wcześniej, że w sobotę jest impreza u Marissy. Wszyscy z redakcji są zaproszeni. Powinnaś przyjść, będzie fajnie.

- No tak. Okej, spróbuję - odpowiadam, świadoma, że samotne chodzenie na imprezy znajduje się na samym szczycie listy jeszcze bardziej przerażającej niż Lista Grozy. - Sorry, muszę lecieć.

- Leć, leć! - Unosi ręce, jakby się poddawał. - Do zobaczenia, Vi.

Wypadam za drzwi. Vi?

Wcześniej mówił do mnie „Vic”, a teraz nagle jestem „Vi”? Vi jak w Observi. Staram się przełknąć strach, który chwyta mnie za gardło.

Czy Marvo widział Observi? Irracjonalna, paranoiczna część mojego mózgu zaczyna się niepokoić, że hasło do komputera w redakcji jest jakoś połączone z moim kontem na Instagramie i każdy może się włamać i sprawdzić, co robiłam.

Szybko odpycham od siebie te myśli, bo autobus odjeżdża za dwie minuty, co oznacza, że muszę biec, i to jak najszybciej. A nie potrafię. To znaczy umiem biegać i nie jestem w najgorszej formie, ale nie mogę tak pędzić korytarzami, bo zwróciłabym na siebie uwagę.

Wobec tego idę bardzo szybko, ale najspokojniej, jak się da. Gdy docieram do wyjścia, autobusy właśnie zamykają drzwi i pierwszy z nich odjeżdża. Zatrzymuję się gwałtownie i ciężko oddycham. To nieznośna chwila niezdecydowania. Czy mam podbiec do swojego autobusu, ryzykować, że kierowca mnie

nie zauważy i będę musiała albo walić do drzwi, albo stać i wyglądać jak debilka, kiedy odjedzie? Czy mam po prostu stać tutaj i wyglądać jak debilka, i ryzykować, że jednak mnie zauważy i zacznie trąbić, żebym wsiadła?

To sytuacja bez wyjścia, więc rozważam trzecią opcję: mogę ukryć się za pobliskimi krzakami, ewentualnie usiąść na występie obok drzwi szkoły, jakbym specjalnie została.

Niestety - a może stety, nie jestem pewna - nie muszę podejmować żadnych decyzji, bo nagle ze szkoły wypada Lipton z okrzykiem:

- Czekaście! Zatrzymajcie autobusy!

Mija mnie, przystaje i się odwraca.

- Też się spóźniłaś na swój autobus? - pyta.

Z trudem kiwam głową.

Lipton rzuca się w moim kierunku, łapie mnie za rękę i ciągnie do autobusów.

- Który numer?

- Trzy... Trzynastki - jąkam się.

Biegnie do trzynastki, nadal mnie wlokąc i rozpaczliwie machając, i krzyczy:

- Stać!

Autobus stojący przed moim rusza, ale docieramy do trzynastki, zanim odjedzie. Lipton uderza mocno dłonią w drzwi. Kierowca nas zauważa i pociąga za dźwignię, a wtedy drzwi się otwierają.

Mam ochotę zniknąć, wskoczyć pod trzynastkę. Pamiętam, że kiedyś jakiś dzieciak pośliznął się i wpadł pod autobus, który przejechał mu po nogach. Nawet to wydaje mi się lepsze

niż wejście do środka teraz, kiedy wszyscy się gapią.

Lipton szczerzy się do mnie, jakby właśnie zdobył Mount Everest.

- Wsiadacie czy nie? - pyta kierowca.

Wobec tego wsiadam i skręcam na pierwsze wolne miejsce pod oknem. Lipton wskakuje do jednego z autobusów z tyłu, ktoś wrzeszczy: „Brawo, Torbacz!”. Wszyscy wybuchają śmiechem, a ja skupiam się na tym, żeby nie rzeźić. Staram się oddychać płytko i cicho.

Najbardziej na świecie chciałabym teraz napisać do Jenny. Osuwam się na fotelu, wyciągam telefon i loguję się na Instagram, ciekawa, co porabiała dziś Observi ze swoimi siedemdziesięcioma ośmioma obserwującymi. Tyle że Observi nie ma już siedemdziesięciu ośmiu obserwujących.

Ma tysiąc siedmiuset dwudziestu trzech.

Mrugając, patrzę na ekran. Tysiąc siedemset dwadzieścia trzy osoby mnie obserwują? To znaczy, że jest ich więcej niż uczniów w Liceum im. Edgara H. Richardsona. Usiłuję sobie wyobrazić ich wszystkich, jak siedzą w sali gimnastycznej przed rozgrywkami szkolnymi i aż po brzegi wypełniają trybuny i podłogę. Naprawdę mam tylu obserwujących?

Wyłączam telefon, opieram czoło o chłodną szybę i zamykam oczy.

Jak to się stało? Przecież tylko dodałam się do paru zdjęć za pomocą Photoshopa, co wymaga pewnych umiejętności, ale niekoniecznie tych, które imponują użytkownikom internetu. Nie mam żadnych wyjątkowych talentów, nie jestem zabawna ani szczególnie bystra. Dlaczego mnie obserwują? Nie wierzę,

że jeszcze nie dostałam hiperwentylacji. W zasadzie przepełnia mnie coś zupełnie innego. Czyżby... radość?

Nie, niemożliwe. Nawet nie bardzo wiem, co się wtedy czuje. A jednak trudno mi powstrzymać uśmiech. Observi to hit! Na dodatek jestem bardziej podekscytowana niż przestraszona, a to coś zupełnie nowego. W moim gardle czai się wybuch śmiechu, i to naprawdę głośnego. Kusi mnie, żeby wstać i zacząć skakać po autobusie. Ale Vicky nie skacze po autobusie i nie wybucha głośnym śmiechem.

Tylko Observi tak robi.

Rozdział 9

Po przybyciu do domu i podzieleniu się z matką garścią informacji na temat wydarzeń dnia, wycofuję się do swojego pokoju, trzymając w rękach ogórkowo-mangowo-kolendrowo-limonkowe smoothie, i opadam na krzesło przed komputerem. Przeglądam aktywność na koncie Observi, próbując rozgryźć, jakim cudem wszystko tak szybko się potoczyło. Mam setki lajków i dziesiątki komentarzy. Czytam je w poszukiwaniu wskazówek. W końcu nawet fani Neila deGrasse Tysona czy Jimmy'ego Fallona nie obserwują wszystkich, którzy zamieszczają zdjęcia ich idoli.

Ludzie chyba reagują na moją skłonność do życia cudzym życiem, moją obserwatorność, o ile istnieje takie słowo, a jestem pewna, że nie istnieje. Piszą rzeczy w rodzaju:

OMG, UWIELBIAM TO. Też jestem observi.

i

Kiedy patrzenie, jak inni dobrze się bawią, już nie wystarcza.

Otwieram listę obserwujących i klikam na jednego za drugim. Ich posty i zdjęcia są zazwyczaj typowe – selfie, koty, książki, buty, cytaty, rysunki, jedzenie. Co jakiś czas trafiają się niemal nagie zdjęcia, przez co czuję się nieswojo, jakbym

zaskoczyła kogoś, kto właśnie się ubiera. Natychmiast się przełączam.

Po sprawdzeniu w ten sposób mniej więcej czterdziestki obserwujących uświadamiam sobie, że jest ich zbyt dużo, żebym przyjrzała się wszystkim. Wobec tego szukam znajomych nicków. Wyteżam wzrok, żeby sprawdzić, czy na liście jest jennaelizabethtanner, rzecz jasna, ale również marvoficencja, czyli nick Marva. Jeśli obserwuje Observi, będę wiedziała, że nie przez przypadek nazwał mnie Vi.

Gdy docieram do dołu listy, mam przekrwione oczy, ale na szczęście nie znalazłam ani Marva, ani Jenny. W tym czasie pojawili się nowi obserwujący. Nadal nie wiem, dlaczego ani jak Observi przyciąga tyle osób, więc wracam do komentarzy.

I wtedy się dowiaduję.

Ktoś otagował moją oscarową fotobombę Jennifer Lawrence tagiem *#jenniferlawrence*, a użytkownik o nicku Jennifer Lawrence napisał:

Fotobomba na czerwonym dywanie. Coś w moim stylu.

Klikam na jej stronę i widzę, że naprawdę repostowała mój post i powiedziała swoim pięćdziesięciu ośmiu tysiącom czterystu siedemdziesięciu dwóm obserwującym, żeby mnie dodali. Serce zaczyna mi walić na myśl, że aktorka Jennifer Lawrence mnie obserwuje, ale tuż potem zauważam, że trzy inne Jennifer Lawrence też skomentowały to zdjęcie.

Szukam w Google'u hasła „Jennifer Lawrence Instagram” w nadziei na znalezienie oficjalnej strony czy czegoś w tym rodzaju. Wyskakuje mi kilka Jennifer Lawrence, a tuż pod nimi

artykuł o tytule: *Jennifer Lawrence wyśmiewa media społecznościowe*, z którego się dowiaduję, że Jennifer Lawrence powiedziała: „Jeśli kiedyś zobaczycie rzekomo moje konto na Facebooku, Instagramie czy Twitterze, możecie być pewni, że to nie ja”.

Oddycham z ulgą. I jestem pod wrażeniem, bo Jennifer Lawrence to być może jedyna osoba na świecie, która nie korzysta z mediów społecznościowych i ma je gdzieś. Zastanawiam się, jak to jest tak zupełnie się nie przejmować cudzą opinią. Chyba częściowo o to też chodzi w *Observi* – o uchwycenie tej pewności siebie.

Wylogowuję się, usuwam historię wyszukiwania i odpycham się od biurka. Smoothie, które zrobiła mama, kiedy przyszłam ze szkoły, wciąż stoi przede mną, całe rozwarstwione. Mieszam je słomką i wbijam w nie wzrok.

- Vicky, jesteś tam? - Walenie do drzwi wytrąca mnie z zadumy nad szklanką.

- Co?

Biegnę w skarpetkach do drzwi, uchylam je i patrzę na matkę.

- Wołałam cię! - Na jej twarzy maluje się zniecierpliwienie.

- Jenna dzwoni.

- Jenna? - Zerkam na plecak, gdzie nadal bezpiecznie leży moja komórka. - Na który telefon?

Mama przewraca oczami.

- Na stacjonarny, głuptasie. Porozmawiaj z nią.

- Ja... - Mózg mi się lasuje. Mogę myśleć tylko o jednym - dlaczego wciąż mamy stacjonarny, skoro wszyscy już się go

pozbyli? A potem – niby co powiem Jennie? – Ja...

Mama popycha drzwi i chwyta mnie za ramię, po czym ciągnie w stronę kuchni.

– Co się z tobą dzieje? Od kilku dni tkwisz w tym pokoju jak pustelnica. Twoja najlepsza przyjaciółka chce z tobą porozmawiać, więc rozmawiaj.

Ściąga z blatu słuchawkę i wpycha mi ją w dłoń. Czuję się tak, jakbym trafiła na scenę przed wielotysięczną widownią. Matka patrzy na mnie spode łba, z rękami na biodrach, więc przykładam telefon do ucha. Otwieram usta, jednak nic się z nich nie wydobywa.

Mama wyrywa mi telefon.

– Jenna? Poczekaj chwilkę, kochanie, Vicky zaraz z tobą pogada.

Wyłącza mikrofon, a jej głos, taki słodki podczas rozmowy z Jenną, zamienia się w syk.

– O co chodzi? Próbuję wykazać cierpliwość i zrozumienie, Vicky, naprawdę. Ale teraz nie rozmawiasz nawet z najlepszą przyjaciółką?

– Nie, bo się na mnie gapisz – odpowiadam.

– W porządku! – Wyrzuca ręce w powietrze. – Wyjdę, ale musisz sobie poradzić z tym... z tą... absurdalną nieśmiałością. Wstydlivością czy co to tam jest. Jeśli chcesz funkcjonować w normalnym świecie...

Odkurzacze zombie już ryczą w mojej głowie. Przyciskam dłoń do uszu i odwracam się od matki, od telefonu i Jenny, i ruszam do swojego pokoju.

Mama chwyta mnie za rękę i ciągnie z powrotem do kuchni.

Kiedy docieramy do stołu, popycha mnie na drugą stronę i sadza na taborecie. Potem bierze mnie za rękę, którymi zatykam uszy.

- Teraz zostawię cię samą. - Mówi cicho i naprawdę spokojnie. Zbyt spokojnie. - Weźmiesz słuchawkę i porozmawiasz z przyjaciółką. Myślisz, że dasz radę?

Powoli kiwam głową.

- Doskonale. - Podaje mi telefon. - Będę w salonie. Potem możemy o tym porozmawiać.

Czekam, aż sobie pójdzie, a wtedy biorę głęboki wdech i naciskam przycisk, żeby włączyć mikrofon. Nie jestem jednak gotowa, nie wymyśliłam, co mam powiedzieć. Wszystko, co przychodzi mi do głowy, jest do niczego. Czy Jenna zdaje sobie sprawę, jak zazdrosna się czuję, gdy widzę ją z tymi dziewczynami w prawie identycznych ciuchach? I dlaczego ubiera się tak, żeby spodobać się chłopakowi, którego ledwie zna? O co w tym chodzi? No i najgorsze: jak mogła powiedzieć o mnie to, co powiedziała? Nie dam rady słuchać, jak zaprzecza, jak próbuje mnie przekonać, że tak naprawdę wcale nie uważa mnie za żalowaną, choć to oczywiste, że uważa.

Powoli przystawiam telefon do ucha i słyszę jej głos po drugiej stronie:

- Halo? Vicky? Jesteś tam? Nie wierzę, że nawet nie chcesz ze mną porozmawiać. Wolisz siedzieć w pokoju i rozczulać się nad sobą? Jesteś taka... uch, Tristan miał rację. - Milknie, a potem wzdycha. - W ogóle tam jesteś?

Oddycham głęboko.

- Jestem - mówię w chwili, gdy się rozłącza.

Rozłączyła się w trakcie rozmowy ze mną.

Przez chwilę słucham ciszy. Może tylko wyłączyła mikrofon, jak wcześniej mama. Wkrótce jednak dobiega mnie głośny sygnał i wiem, że połączenie zostało przerwane. Wiem też, że matka podsłuchuje. Zmusi mnie, żebym zadzwoniła do Jenny, jeśli nic nie powiem.

Więc powiem.

- Przepraszam. Ciągle zapominam naładować komórkę - mówię. - Wszystko w porządku?

Milczę i udaję, że Jenna odpowiada, że coś nie jest w porządku.

- To okropne.

Znów milknę, słucham skrzypienia podłogi w pokoju obok.

- U mnie wszystko okej. Zostałam zaproszona na imprezę u Marissy DiMarco w ten weekend. Będzie Adrian Ahn.

Wyobrażam sobie jej reakcję i się śmieję, nawet nie tak sztucznie.

- Muszę kończyć - mówię. - Mam sporo zadane.

Nagle dociera do mnie, co powiedziała, zanim się rozłączyła. Tristan miał rację. Czuję się tak, jakby mnie walnęła pięścią. W czym miał rację? Że jestem żalosna?

- Okej, cześć - szepczę.

Nadal przyciskam telefon do ucha, kiedy do kuchni wchodzi mama i głaszcze mnie po głowie.

- Widzisz, to wcale nie było takie trudne, prawda? - W jej głosie znowu słychać słodycz, przez co mam ochotę wrzeszczeć. - Co się z tobą dzieje? O co chodziło?

- Ja...

- Przecież to tylko Jenna. Wiem, że jesteś nieśmiała, ale bez przesady.

Nic nie mówię, bo niby co mam powiedzieć? Że boję się rozmowy z jedyną osobą, z którą zawsze mogłam porozmawiać, bo próbuję udawać kogoś, z kim naprawdę chciałaby pogadać? Usiłuję ubrać tę myśl w sensowne słowa, ale mama przechodzi do następnego tematu.

- Niechcący usłyszałam, jak mówiłaś o przyjęciu u Marissy.

Siedzę nieruchomo i mam nadzieję, że głowa mi nie eksploduje, podczas gdy matka mówi do mnie - o mnie.

- ...to wspaniale. Będiesz mogła włożyć nową spódnicę...

Nową spódnicę, którą pocięłam na strzępy. Powoli wsuwam palce we włosy i zaczesuję je tak, że opadają mi na twarz.

- ...i czarny top. I te kolczyki, które ci kupiłam...

Nadal głaszcze mnie po głowie z tyłu, nieświadoma, że zasłoniłam się włosami.

- ...widzę, że się otwierasz, i tak się cieszę.

Tyle że wcale mnie nie widzi. Nieuważnie głaszcze mnie po potylicy i wygląda przez okno, za którym najwyraźniej mieszka Vicky z jej marzeń.

- ...twój ojciec bardzo się ucieszy.

Powtarza to za każdym razem, gdy ona się cieszy, bo wtedy nie brzmi to tak, jakby chodziło tylko o nią. Ojcu naprawdę jest wszystko jedno, czy chodzę na imprezy, czy siedzę w domu. Sam nie cierpi spędów.

Mama głaszcze mnie po raz ostatni i idzie do lodówki. Nie widzę jej za woalem włosów, ale słyszę, jak wyjmuje rzeczy

i układa je na blacie.

- Co słyhać u Jenny? - pyta.

Rozważam różne szczere odpowiedzi. Jenna ma chłopaka. Jenna uważa, że jestem żalosna. Jennie jest zdecydowanie lepiej beze mnie.

- Zmieniła fryzurę - mówię w końcu. - Jej matka nawet nie zauważyła.

Rozdział 10

Próbuję odrabiać lekcję, ale głównie czytam wciąż jeden i ten sam akapit, aż nadchodzi pora kolacji, która okazuje się torturą. Mama nie przestaje gadać o imprezie u Marissy. Tata próbuje zmienić temat, ale informacja o nowym wypasionym ekspresie do kawy w jego biurze zupełnie nie interesuje mojej matki.

- Przygotowuje rozmaite smaki - mówi tata. - Karmelową mokkę. Francuską wanilię.

Mama uśmiecha się do niego wyrozumiale, po czym odwraca się do mnie.

- Myślisz, że będą tam jacyś rodzice? - pyta.

Zamieram w trakcie jedzenia i odsuwam widelec od ust.

- Na imprezie?

- Tak, na imprezie. - Wydaje z siebie ni to śmiech, ni to parsknięcie.

- Eee, nie. To impreza dla licealistów, nie dla trzeciej klasy podstawówki.

- Powinnam wpaść i przywitać się z Robertą - oznajmia mama.

Patrzę na nią spode łba. Tata przygląda się jej znad okularów. Mama wzdycha.

- Chyba trochę niegrzecznie będzie wyrzucić cię przed drzwiami i odjechać - mówi. - Wolno mi przynajmniej

zaparkować?

Tata się śmieje, ja nie.

- Może lepiej zostanę w domu? - proponuję. - Tak naprawdę nie chcę...

- Nienienie. - Mama grozi mi palcem. - Nawet o tym nie myśl. Idziesz na tę imprezę i kropka.

Mrugam, patrząc na prawie pełny talerz. Ilu rodziców zmusza swoje dzieci do chodzenia na imprezy? Czy to normalne? Zanoszę talerz do zlewu i wracam do pokoju. W połowie korytarza słyszę krzyki mamy.

- Będzie super, zobaczysz!

Zamykam drzwi nieco gwałtowniej niż zwykle i mocnym pchnięciem kciuka blokuję zamek.

Jenna by się z tego śmiała. „Lepiej się opanuj”, poradziłaby mi.

Nigdy nie umiałam strzelić porządnego focha, wypaść z pokoju tak jak ona, miotając oskarżenia na niesprawiedliwość tego czy owego - na przykład niemożność zamówienia pizzy albo zły stopień za wyjątkowo błyskotliwy esej. Wkurzała się i w moim imieniu, kiedy mnie pomijano lub wyśmiewano, wrzeszczała i tupała nogą. Zawsze lepiej się po tym czułam, chociaż sama nigdy się nie wkurzałam.

Teraz jednak nie ma jej tutaj i nie może się za mnie rozzłościć. Aż się zwijam z napięcia, jak sprężyna, która nie może się rozwinąć, więc kładę się na łóżku i gapię w sufit. Zasłużyłam na ten sufit. Nudny i biały. Mogą mi to napisać na nagrobku po mojej śmierci. Nudna i biała. Rozczulam się nad sobą, tak jak mówiła Jenna. Rozczulam się i kontempluję

nudną biel mojego sufitu.

Jak mogę się wściekać na Jennę za to, że uznała mnie za żalosiwą? Przecież jestem żalosiwa. Wolę się ukrywać w swoim pokoju, zamiast iść na imprezę, a to pewnie definicja żalosiwości.

Ale ja i Jenna świetnie się bawiliśmy bez chodzenia na imprezy.

Zrywam się i sięgam do dolnej szuflady komody, gdzie trzymam większość ubrań kupionych przez matkę. Wyglądają jak tęcza, bo mama usiłuje przekonać mnie do noszenia kolorów. Szperam w szufladzie i wyciągam koszulę w czerwono-białe paski. Mama uznała ją za uroczą i we francuskim stylu, mnie bardziej kojarzy się z *Gdzie jest Wally*.

Przymierzam ją do neonowożółtej spódnicy i legginsów w zygzaki, dodaję dwubarwną perukę i „hipnotyczne” okulary... i jest po prostu ohydnie.

Ale zdecydowanie nie nudno.

Wyglądam jak Wally na prochach. Widzisz, Jenna? Wcale się nie rozczulam. Pora, żeby Observi zabawiła się w Wally'ego.

Sztuczka z talkiem dla niemowląt i lakierem do włosów podziałała, tatuaż z jin-jang prawie nie wyblakł. Zamieniam pokój w studio fotograficzne, wieszając na ścianie prześcieradło, które zajmuje też część podłogi. Białe tło ułatwi wycinanie sylwetki i wklejanie jej na rozmaite zdjęcia. Nastawiam samowyzwalacz na dziesięć sekund i robię kilka zdjęć przodem, a potem idę w lewo i w prawo, jak Wally. To męczące, bo ciągle muszę biegać do telefonu i go nastawiać. Lepiej jednak sobie radzę z pozowaniem i oświetleniem.

Przeoglądam zdjęcia i przegrywam najlepsze, a potem szukam w internecie idealnego obrazu, w który mogłabym się wtopić. W końcu wybieram tłum na wielkim plenerowym festiwalu muzycznym. Na błotnistym polu zgromadziły się setki ludzi. Nawet nie wiem, kto gra, ale Observi świetnie wpasowuje się w morze ludzi, idzie w kierunku sceny, doskonale widoczna w czerwono-białej koszulce. Poprawiam i sejuję zdjęcie, wysyłam je na swój mejl, a potem wyciągam z plecaka telefon, żeby wrzucić fotkę na Instagram. Komórka pokazuje nowych obserwujących, lajki i komentarze. Przesuwam ekran do góry, potem znowu, i wciąż widzę powiadomienia. Przy każdym przesunięciu mówię do siebie: „To już ostatnie”, ale tak nie jest. Otwieram Instagram i choć boję się spojrzeć, umieram z ciekawości. Nie mogę uwierzyć.

Observi ma trzy tysiące siedmiuset pięćdziesięciu pięciu obserwujących.

Myślałam, że kilku się pojawi, ale dwa razy tyle co poprzednio? Więcej niż ma Hallie Bryce! Wybucham głośnym śmiechem, bo nie wiem, jak zareagować. Mogę tylko gapić się na ekran i patrzeć, jak liczba obserwujących rośnie na moich oczach.

Nadal nie rozczulam się nad sobą, Jenna!

Przypominam sobie, że miałam zamieścić zdjęcie *Gdzie jest Wally*, więc wrzucam je na Instagram. Piszę krótki post i brawurowo dorzucam parę hashtagów:

#zobaczmnie #niesama #gdziejestwally

Pierwszy lajk pojawia się po niespełna pięciu sekundach.

Potem jeszcze trzy, i dziesięć. Po kilku minutach ludzie zostawiają komentarze: „Widzę Cię!”, a ja czuję się lepiej. Wkładam piżamę i chowam kostium Observi z powrotem do szuflady, a później obserwuję komentarze, dopóki mama nie zapuka, żeby życzyć mi dobrej nocy. Wylogowuję się i wpełzam do łóżka.

Leżę i nie śpię naprawdę długo, próbując przekonać samą siebie, że zdobycie tysięcy obserwujących, którzy mnie widzą, zastąpi mi utratę jedynej osoby, która naprawdę mnie zauważała.

Nie budzę się na czas, bo nie spałam aż do czwartej rano i nawet nie pamiętam, że wyłączyłam alarm. Mama odkrywa, że jestem nieprzytomna na dziesięć minut przed odjazdem szkolnego autobusu. Wręcza mi batonik zbożowy i soczek (głowę daję, że jej zdaniem nadal mam osiem lat), gdy biegnę do drzwi. Przez niemal całą jazdę do szkoły martwię się, że ktoś wyśmieję mój głupi soczek.

Gdy docieram na lekcję historii, liczę na to, że opuszczę głowę, zrobię, co trzeba i będę miała spokój. No i oczywiście widzę na ławce złożoną kartkę z moimi imieniem wypisanymi ozdobnymi literami.

Siadam i kładę kartkę na kolanach. Lipton wpatruje się w elektroniczną tablicę, jakby usiłował rozwiązać widniejącą na niej pracę domową. Bardzo się stara udawać, że jest tym niezwykle zajęty.

Rozkładałam kartkę i widzę, że to fotokopia z książki o krucjatach. Kilka akapitów pod nagłówkiem „Obleżenie

Jerozolimy” podkreślono żółtym markerem, a na marginesie widnieje notatka: „Zobaczyłem to podczas przygotowań i pomyślałem, że Ci się przyda – L.”.

Podnoszę wzrok, a Lipton uśmiecha się szeroko i pokazuje mi uniesione kciuki. Rozglądam się ukradkiem, czy ktoś to widział, ale nikt nie zwraca na nas uwagi. Wobec tego też się uśmiecham i szepczę bezgłośnie: „Dzięki”, a on uśmiecha się jeszcze szerzej.

Twarz mi płonie. Bo zachowuję się jak idiotka.

Zerkam w dół, żeby włożyć kartkę do plecaka, i zauważam, że Lipton ma nogawkę spodni wsuniętą w czerwoną skarpetkę. Przypomina mi się, jak kiedyś wyszłam z domu z chusteczką higieniczną przyczepioną do pleców. Na szczęście Jenna powiedziała mi o tym, zanim wsiadłam do autobusu.

Powinnam mu powiedzieć.

Ale to by było krępujące jak diabli. Wobec tego zamiast coś mówić, spycham ołówek z biurka, żeby spadł i potoczył się w kierunku stopy Liptona. W innych okolicznościach nigdy bym tego nie zrobiła, bo wszyscy by się gapili i uznali mnie za oferwę, ale teraz są zajęci i gadają, i nikt poza nim tego nie zauważy. Lipton natychmiast schyla się po ołówek, waha się, po czym prostuje i z niepewnym uśmiechem mi go wręcza.

Odpowiadam mu takim samym uśmiechem i widzę, jak Lipton się czerwieni. Znowu patrzy przed siebie, ale opuszcza rękę i wyciąga nogawkę spodni ze skarpetki.

Na przerwie obiadowej pierwsza pojawia się w redakcji. Gdy napocznym kanapkę z szynką i serem, wpada Marissa.

- O, świetnie, dostałaś moją wiadomość - mówi. - Gdzie Bethvo?

Zamieram z kanapką przy ustach. Rano, wybiegając na autobus, wrzuciłam telefon do plecaka i w ogóle o nim nie myślałam.

- Marvann? - Marissa marszczy nos. - Przyjdą?

Mrugam i powoli wzruszam ramionami. Marissa opada na swój fotel na kółkach.

- Jak Boga kocham, nikt nie zwraca na mnie uwagi - narzeka.

To mnie zdumiewa. Marissa jest chyba najpopularniejszą uczennicą w liceum. Odkładam kanapkę.

- Zaczniemy bez nich. - Obraca się twarzą do mnie, otwiera kołonoatnik na kolanach i bierze do ręki długopis. - Jakies pomysły?

- Eee...

- Po prostu nie chcę, żeby ta księga była dokładnie taka sama jak wszystkie poprzednie. Chcę czegoś innego.

Kiwam głową.

- Czegoś więcej niż zwyczajowe zdjęcia klasowe albo ze spotkań klubów czy meczów plus fotki z zaskoczenia, wiesz?

Znowu kiwam głową.

- Może jakieś dzieła uczniów czy coś w tym rodzaju? - Zapisuje to sobie w notatniku.

Nie kiwam głową, bo zaczynam się czuć jak samochodowa maskotka, za to przybieram myślący wyraz twarzy, czyli przygryzam wargę i marszczę czoło. Rozmowy w cztery oczy są mniej przerażające niż odzywanie się w klasie, ale Marissa

mnie peszy, a do tego boję się, że z moich ust wydostanie się któryś z pomysłów Observi.

Drzwi się otwierają, wchodzą roześmiani Marvo i Beth Ann, a ja oddycham z ulgą.

- W końcu - mówi Marissa. - Dostaliście moją wiadomość?

Marvo wyciąga telefon z kieszeni i czyta esemes, bez wątpienia po raz pierwszy.

- No, dostałem - potakuje.

- Bateria mi padła - oznajmia Beth Ann. - Co robimy?

- Burzę mózgów. - Marissa klika długopisem. - Chcę księgi, którą zapamiętają wszyscy. Czegoś, czego jeszcze nie było.

Marvo i Beth Ann siadają i też robią myślące miny. Nagle Marvo zrywa się z miejsca i zaczyna krążyć po pomieszczeniu.

- Co powiecie na to, żeby Photoshopem dodać gołych ludzi do tłumu na meczu, koncercie chóru i w ogóle do różnych zdjęć w księdze? - pyta. - Nikt tego nie zauważy przed publikacją, a potem wybuchnie bomba. Będzie jak w *Gdzie jest Wally*, tyle że na golasa.

Natychmiast podnoszę głowę.

- Kto będzie tym golasem? - śmieje się Beth Ann. - Ty?

- Czemu nie? - Marvo wzrusza ramionami.

- Bo cię zawieszą? Wszystkich nas zawieszą - oznajmia Marissa.

- Założę perukę, czapkę czy coś. Dolepię wąsy i nikt się nie zorientuje, kto to. - Puszczą perskie oko.

Do mnie.

Wstrzymuję oddech. Jakie jest prawdopodobieństwo, że Marvo przypadkowo pomyślał o photoshopowaniu kogoś

przebranego w scenę rodem z *Gdzie jest Wally?*

Marvo szaleje, pokazuje pozy, w których można by sfotografować Golasa. Statua Wolności. Niesamowity Hulk. *Myśliciel*. Beth Ann ryczy ze śmiechu.

- Nie zapomnij o tym. - Przybiera słynną pozę Travolty z *Gorączki sobotniej nocy*.

Zrobiłam takie zdjęcie Observi, ale chyba go nie wykorzystałam. Teraz już nie wykorzystam.

- No jasne. - Marvo naśladuje jej pozę, a potem robi następną, która luźno kojarzy się z Waszyngtonem przekraczającym Delaware. - I to.

- Mógłbyś włożyć na głowę trójgraniasty kapelusz i nic więcej.

Marvo ze śmiechem udaje, że uchyla niewidzialnego kapelusza przed Beth Ann i sugestywnie porusza brwiami.

- Do usług, milady.

- Super. I wszystkich nas wywalą - mamrocze Marissa. - Albo aresztują.

- Wyprzemy się - oświadcza Marvo. - Nie mieliśmy pojęcia, że ktoś włamał się do redakcji i Photoshopem dodał nagich ludzi do zdjęć w księdze. Nikt nie musi wiedzieć, że jest wśród nas geniusz Photoshopa.

Wszyscy odwracają się i patrzą na mnie.

- Jesteś geniuszem Photoshopa? - pyta Marissa.

- Eeee... - Kręcę głową i czuję, jak palą mnie policzki.

- W pięć sekund usunęła faka jednego z hokeistów - wyjaśnia Marvo.

- Co nie znaczy, że chce wklejać twoją gołą dupę w każde

zdjęcie w księdze – śmieje się Beth Ann. – To chyba nie jest taki genialny pomysł.

– No coś ty? – Marissa przewraca oczami i poprawia notatnik na kolanach. – Jakież sugestie, które nie zrujniają nam szansy na studia?

Marvo opada na krzesło i uśmiecha się do mnie niemrawo. Beth Ann unosi stopy i stuka czubkami czerwonych trampków z jin-jang.

– A co powiecie na to, żeby nie robić żadnych portretów, tylko fotografować stopy? – pyta. – Każdy zostanie zidentyfikowany i zapamiętany dzięki fantastycznemu obuwiu.

Wsuwam stopy w podniszczonych oksfordach pod krzesło, a Marvo unosi stopę wielkości kajaka.

– Rozmiar czterdzieści siedem, skarbie. Wiesz, co mówią o...

– Błagam – przerywa mu Marissa. – To spotkanie w sprawie książki pamiątkowej, nie debata prezydencka.

Marvo jęczy, a Beth Ann wchodzi mu na stopy, po czym oboje krążą tak po pokoju, jej conversy na jego butach.

Przyglądam się im z kąta, zdenerwowana, że znalazłam się w centrum wydarzeń. Tu pasuje Observi, nie ja. Jeśli odkryją, że to jedna i ta sama osoba, będzie po mnie.

Chyba nie wytrzymam, jeśli stracę także ją.

Marissa zamyka notes i wpycha go do plecaka.

– Nieważne – wzdycha. – Zrobimy te same nudy co zawsze.

– Daj spokój, coś wymyślimy. – Marvo wyplątuje się z objęć Beth Ann. – Daj nam dzień czy dwa.

– Dobrze – odpowiada Marissa. – Dajcie znać, jeśli ktoś

z was wpadnie na pomysł, który nie będzie do niczego.

Mam pewien pomysł, który pewnie jest do niczego, ale doprowadziłby ich niebezpiecznie blisko Observi. Dlatego zachowuję go dla siebie. Spokojnie zbieram rzeczy, a kiedy nikt nie zwraca na mnie uwagi, wymykam się z redakcji.

Dzwonek jeszcze nie dzwonił, więc na korytarzu jest prawie pusto. Cisza wzmacnia ryk, który niemal nieustannie wypełnia moje uszy, mózg, pierś, gdy jestem w szkole i niebezpieczeństwo zdaje się czaić za każdym rogiem. Przez trudny początek dnia ryk się nasila.

Idę w kierunku najbliższej łazienki dziewczyn, po drodze mijając gabinet pani Greene. Drzwi są otwarte, pani Greene siedzi w środku, ale jarzeniówki się nie palą. Gabinet oświetlają tylko migające światełka na ścianach. Wygląda to tak spokojnie, że kusi mnie, żeby wejść. Pani Greene podnosi wzrok, a na mój widok się uśmiecha.

Wbijam spojrzenie w podłogę i biegnę do łazienki.

Moja kabina jest pusta, zamykam się w niej i próbuję uspokoić oddech. Przed wyjazdem Jenny to się prawie nigdy nie zdarzało. Widziała mnie na korytarzu, szturchała i mówiła: „Hej”, i to wystarczyło. Była moim przyciskiem resetu.

Teraz wszystkie drobiazgi się spiętrzają i przytłaczają mnie tak, że ledwie mogę oddychać. Zdaję sobie sprawę z tego, jakie to idiotyczne. Mama wręczyła mi soczek, ludzie rozmawiali ze mną i się uśmiechali, a ja reaguję, jakby goniła mnie wataha obślinionych hien.

Dlaczego każdy drobiazg jest jak wataha obślinionych hien?

Słyszę dzwonek i łazienka wypełnia się ludźmi. Czekaają,

więc nie mogę tu sobie siedzieć, bo zaczną walić w drzwi albo się zastanawiać, co się ze mną dzieje. Spuszczam wodę i idę do umywalki umyć ręce.

Dwie dziewczyny poprawiają fryzury i makijaż przed lustrem. Nawet jeśli mnie zauważyły, nie dają tego po sobie poznać.

- Błę, pryszcz mi się zrobił. Masz korektor? - pyta ta bliżej mnie.

Ma na imię Mallory i siedzi przede mną na biologii.

Druga dziewczyna szpera w kosmetyczce i podaje Mallory niewielką tubkę.

- Tylko nie zużyj wszystkiego - mówi.

Osuszam ręce, kiedy otwierają się drzwi jednej z kabin i wychodzi z niej Hallie Bryce. Sunie do jedynej wolnej umywalki. Mallory i ta druga dziewczyna zamierają w trakcie nakładania korektora, żeby pogapić się na Hallie. Nawet w tej obskurnej łazience jej widok zapiera dech w piersiach.

Hallie suszy ręce, po czym sunie na korytarz. Mallory i jej koleżanka odprowadzają ją wzrokiem. Gdy tylko Hallie znika za drzwiami, patrzą na siebie i mówią jednocześnie:

- O rany!

Ze śmiechem odwracają się do lustra.

- Czy to w ogóle człowiek? - pyta Mallory.

Jej koleżanka kręci głową.

- Niemożliwe. Nikt nie jest aż tak doskonały.

Mallory nakłada korektor na pryszcz.

- Zakład, że jej nigdy nie wysypuje?

- Nienawidzę jej.

- Ja też.

Uświadamiam sobie, że chcę bronić Hallie - Hallie Bryce, która jest piękna, pełna wdzięku, utalentowana i... zupełnie nie potrzebuje mojej pomocy. Ma tysiące obserwujących, innych niż moi, którzy obserwują nieistniejącą postać. Hallie to ludzkie dzieło sztuki i zupełnie jej nie obchodzi, co myślą o niej dwie dziewczyny maskujące pryszczki korektorem w łazience Liceum im. Richardsona.

Mallory i jej koleżanka jeszcze trochę chichoczą i wychodzą, mając w nosie, że słyszałam ich całą rozmowę. Patrząc w lustrze na swoje odbicie, na wielki szary sweter i mysie włosy, ani blond, ani brązowe, gdzieś pośrodku. Jestem betonem i linoleum. Tak samo niewidzialna.

Nikt się nie domyśli, że jestem Observi. Nawet mnie nie widzą.

Rozdział 11

W autobusie do domu kulę się na fotelu, przyciskam kolana do oparcia przede mną, wbijam wzrok w dolną część okna. Walczę z silnym, wręcz bolesnym pragnieniem napisania do Jenny, ale tylko zaglądam na jej Instagram. Ból, zamiast zaniknąć, przemieszcza się z piersi do żołądka. Na ekranie pojawiają się nowe selfie Jenny z Tristanem, pełne radości, uśmiechów i pocałunków. Jenna ma idealną fryzurę, doskonały makijaż i równe kreski na powiekach.

Nigdy dotąd nie używała eyelinera.

Wracam do Observi, która zdobyła już cztery tysiące stu dwudziestu jeden obserwujących. Fotografie z *Gdzie jest Wally* polubiło dwieście trzydzieści siedem osób. Przeglądam ich nicki, wypatruję Marva. Jeśli mnie obserwuje, będę wiedziała, skąd wytrzasnął ten pomysł z *Gdzie jest Wally* na golasa. Nie ma marvoficencji, za to zauważam mnóstwo innych interesujących nicków. Jedna dziewczyna, niewidzialnamimi, wrzuca selfie, z których wcześniej usunęła większość siebie. Pokazuje jedynie swoje ramię, fragment twarzy albo dłoń. Do wszystkiego dodaje hashtagi **#zobaczmnie**, ale używa też **#niepatrznamnie** i **#ignorowana**, **#samotna**, **#porozmawiajzmną** i **#nierozmawiajzmną**.

Świetnie wiem, co ją dręczy.

Klikam na hashtagi, żeby sprawdzić, kto jeszcze tak się czuje. Niektóre posty są trochę niepokojące - te z golizną i te dziwaczne, nadające się tylko do spamu - co właściwie jest zabronione na Instagramie, ale wygląda na to, że kontrolerzy od pornografii są zbyt zajęci, aby wszystko ogarnąć. Omijam niechciane posty i oglądam te, na których ludzie dzielą się swoim bólem w nadziei, że ktoś to zauważy.

Wzdrygam się, widząc skaleczenia, strużki krwi na białych rękach, pocięte i poranione uda. Patrzą na wychudzone ciała, poplamione maskarą policzki.

Ludzie lajkują takie zdjęcia, co wydaje się nie w porządku. Czy właśnie o to chodzi - żeby pogłębić czyjeś cierpienie? A może ci ze zdjęć potrzebują tylko tego, aby ktoś ich dostrzegł, zauważył? Odsłaniają swój najgłębszy ból w zamian za garść czerwonych serduszek.

Niemal dopada mnie poczucie winy, że moje głupiutkie posty przykuwają taką uwagę, podczas gdy ludzie desperacko jej potrzebujący mogą liczyć na tak niewiele. To nie fair, że obserwujący garną się do Observi, a uciekają od cierpiących. Mogę to jednak zrozumieć.

Radość pociąga, a nieszczęście odstrasza.

Czy nie dlatego Jenna woli nowych przyjaciół niż mnie? Cholera, przecież z tego powodu wolę Observi niż siebie. Pomijając pierwszy post, Observi nie bywa sama. Jest dowcipna, dzielna, energiczna... szczęśliwa. Jest wszystkim tym, czym ja nie jestem. Jest ucieczką od nieszczęścia.

Ale to za mało. Nieszczęśliwi na Instagramie potrzebują kogoś, kto się o nich zatroszczy, kto zrobi coś więcej, niż tylko

„polubi” ich ból. Mam ochotę zamachać rękami do Instagramu i zawołać: „Ej! Nie widzicie? Tutaj! Oni was potrzebują!”. Może wszyscy to robimy – czekamy, aż ktoś inny interweniuje. Zupełnie jakby istniała magiczna instagramowa wróżka, która pojawi się znikąd i wszystko naprawi.

Wtedy to do mnie dociera. Może to właśnie ja jestem zaczarowaną instagramową wróżką.

Przez kilka minut oswajam się z tą myślą, otaczam się nią niczym kłębamii dymu z fajki. Czy sobie poradzę? Czy mogę być kimś takim? Nie wiem, dlatego odwracam pytanie. Czy mogę nie podjąć się tej roli i zwyczajnie umyć ręce?

Odpowiedź brzmi: nie, nie mogę.

Dlatego biorę głęboki wdech i zaczynam klikać w okienka komentarzy ludzi, którzy cierpią. Piszę:

Mnie nie jest wszystko jedno.

Widzę Cię.

Jestem tu dla Ciebie.

Rozumiem.

Koniec samotności.

Powtarzam to samo przez całą drogę do domu, na ich stronach, nie na mojej. Liczba moich obserwujących i tak wzrasta. Chcę im powiedzieć: „Nie musicie mnie obserwować!”. Czuję się przez to dziwnie podła, bo przecież z troską wiąże się nagroda. Nie mogę jednak zignorować tych

ludzi. Niektórzy zaczynają mnie prosić, żebym ich dodała do obserwowanych. Chyba w taki sposób oceniają swoją wartość.

Czy w tych czasach wszyscy oceniamy swoją wartość w taki sposób?

Jest ich jednak zbyt wielu, a skoro nie mogę obserwować wszystkich, nie zamierzam obserwować nikogo. Nie chcę, żeby ktoś poczuł się odrzucony, pominięty lub niegodny. Jeśli jednak zostawiają komentarz, odpowiadam. Rozdaję serduszka i uśmiechy.

Robię za mało, ale lepsze to niż nic.

Kontynuuję po kolacji, do późnej nocy. Obserwi przybywa tysiąc obserwowujących. Jeden na trzech ma hashtag *#samotnie*, *#ignorowani* albo *#depresja*. Staram się dotrzeć do wszystkich, ale jest ich coraz więcej, nie mogę nadążyć.

Płacę za swoje wysiłki w środowy poranek, kiedy niemal zasypiam na historii. Lipton szepcze do mnie parę razy, informując mnie, na której jesteśmy stronie w podręczniku albo co kazał zapisać pan Braxley. Uśmiecha się, a ja chcę odwzajemnić uśmiech, ale całą energię poświęcam na przezwyciężanie senności i udźwignięcie dodatkowej porcji *#samotności*, którą dzisiaj noszę.

Po dzwonku zbieram swoje rzeczy.

- Zaczekaj, chciałem cię spytać... - odzywa się Lipton i milknie, przełykając ślinę. - To tylko moment.

Grzebie w plecaku, a ja się zastanawiam, czy przyniósł jeszcze jeden wydruk o oblężeniu Jerozolimy. To byłoby miło z jego strony, tyle że chyba sama powinnam szukać materiałów. Zerka na mnie nerwowo, nie przerywając

poszukiwań.

W końcu podaje mi małą torebkę orzechowych m&m'sów.

- Chcesz? - pyta. - Pan Patton rozdawał je wszystkim na angielskim, ale jestem uczulony na orzechy, więc...

Wpatruję się w żółte opakowanie. Ten upominek wydaje się przypadkowy i trochę dziwaczny, ale Lipton stoi przede mną z pełnym nadziei uśmiechem.

- Hm...

- Chyba że ty też masz alergię. - Lipton cofa rękę, a jego uśmiech przygasa.

Nagle nabieram ochoty na orzechowe m&m'sy, jakby to był największy przysmak na świecie. Chcę, żeby uśmiech powrócił na usta Liptona, więc pośpiesznie wyciągam dłoń.

- Nie mam alergii.

- Super.

Wciska mi torebkę w rękę i znowu się uśmiecha.

Odchodzi, a do mnie dociera, że nie podziękowałam, i robi mi się głupio. Przede wszystkim jednak czuję się zmęczona.

Drzwi do gabinetu pani Greene znowu są otwarte, kiedy je mijam, ale idę dalej. Żałuję, że nie mam odwagi wejść do środka tylko po to, aby tam odpocząć. Pani Greene powiedziała, że mogę. Przyjemnie byłoby zjeść draże tam, a nie na sedesie. Poczęstowałabym ją i wcale nie musiałybyśmy rozmawiać. Siedziałybyśmy tylko w wygodnych fotelach pod rozmigotanymi lampkami i w ciszy jadły fistaszki od Liptona.

Zaskakuję samą siebie, robiąc w tył zwrot. Ruszam z powrotem do jej gabinetu, jednak ktoś mnie już uprzedził.

Drzwi się zamykają, a przez szczelinę dostrzegam szczupłe nogi i nienaganny kok. Tym razem Hallie Bryce nie sunie. Ze zwieszoną głową ciężko osuwa się na fotel. Pani Greene zawiesza na gałce napis „Nie przeszkadzać” i zamyka gabinet.

Wpatruję się w zamknięte drzwi. Dlaczego Hallie Bryce poszła na rozmowę z panią Greene?

Przez resztę dnia o niczym innym nie myślę. Wypatruję Hallie na korytarzu, na wspólnych lekcjach. Kiedy ją dostrzegam, jest jak zawsze wysoka, wyniosła i pewna siebie. Nie okazuje najmniejszych oznak zdenerwowania i w ogóle nie zwraca uwagi na pełne zazdrości szeptki koleżanek, między innymi Mirandy i jej koleżanki z łazienki. Hallie jak zawsze jednak jest sama.

Nigdy dotąd tego nie dostrzegłam.

Koniec końców zjadam orzeszki dopiero w drodze powrotnej do domu, a puste opakowanie rozplaszczam, żeby je zachować, sama nie wiem dlaczego. Może chcę mieć pewność, że tego sobie nie wyobraziłam, że Lipton naprawdę podarował mi swoje draże. Czasami mam wrażenie, że Observi jest bardziej rzeczywista niż moje prawdziwe życie. Dobrze jest wiedzieć, że moje istnienie – w sensie Vicky – nie pozostaje niezauważone.

Przed domem widzę, że mama czeka na mnie na podjeździe. Podchodząc do samochodu, wsuwam torebkę do kieszeni. Mama opuszcza szybę.

- Wybierasz się dokądś? – pytam.

- Do fryzjera – odpowiada. - A ty jedziesz ze mną. Już cię umówiłam.

Jęczę, ale wsiadam. Opór jest bezcelowy. Mama zadręcza mnie fryzjerem co kilka miesięcy, zwykle łącząc to z takim wydarzeniem jak impreza u Marissy. Uważa, że tego typu okazja jest na tyle doniosła, że wymaga dodatkowego zachodu. Wyjście do fryzjera bezapelacyjnie znajduje się na mojej liście. Przesiadywanie w fotelu i odpowiadanie na pytania zupełnie obcej osoby, która dodatkowo dzierży nożyczki, nie ma nic wspólnego z moją wizją miło spędzanego czasu.

Mama wręcza mi niewielki stosik kartek powyrywanych z czasopism. To zdjęcia fryzur.

- Pomyślałam, że chciałabyś wypróbować coś nowego.

Co tak naprawdę znaczy: Chciałabym, żebyś wypróbowała coś nowego.

Przerzucam zdjęcia olśniewających modelek i celebrytek w pięknych uczesaniach - krótkie boby, pojedyncze pasemka opadające na twarz, fryzurki *pixie*.

- Czy my się znamy od wczoraj? - pytam.

Zerka na mnie z ukosa.

- Uważam, że wyglądałabyś świetnie w jednej z tych fryzur.

- Bo teraz wyglądam koszmarnie.

- Wcale tego nie powiedziałam.

- Zasugerowałaś to.

Wzdycha.

- Moim zdaniem lepiej byś się czuła z fryzurą, która nie przytłacza cię tak bardzo.

Zatrzymujemy się przed salonem i wchodzimy do środka. Idę za mamą, bo jestem zestresowana za każdym razem, gdy

się zjawiam w pomieszczeniu, w którym trzeba odpowiadać na pytania o to, czego się oczekuje.

Mama ochoczo wypowiada się w moim imieniu, więc się nie wtrącam. Dopiero kiedy siedzę w fotelu, w czerwonej pelerynie, a mama zajmuje miejsce w poczekalni, odzywam się do Rachel, mojej fryzjerki.

- Tylko skracamy, jeśli można.
- Trzy centymetry? Pięć?
- Wolałabym raczej mniej niż centymetr.
- W ogóle nie będzie widać różnicy - zauważa z uśmiechem.
- Doskonale. - Kiwam głową.

Rachel prowadzi mnie do umywalki, myje mi głowę, a potem zabiera się do przycinania.

- Nie będę próbowała zrobić z ciebie kogoś innego - oznajmia. - Ludzie czasem sobie tego życzą, ale nigdy nie są zadowoleni z rezultatu.

- Dziękuję - mamroczę.

Rachel zabiera się do pracy. Nie mówi nieustannie ani nie wypytuje mnie o szkołę. Po prostu strzyże, a skończywszy, przeczesuje mi włosy palcami.

- Mogłabym je trochę przerzedzić, jeśli sobie życzysz - proponuje. - Tylko ty dostrzegłabyś różnicę. Nie byłyby takie ciężkie.

Myślę przez chwilę.

- Dobrze - zgadzam się.

Sięga po inne nożyczki i tnie jeszcze trochę. Gdy kończy, faktycznie jest mi lżej na głowie, zupełnie jakby sztruks okalający moją twarz zamienił się w szyfon. Rachel suszy mi

włosy i układa je tak, jak to sama zwykle robię, po czym unosi lusterko, żebym zobaczyła tył głowy.

Rzadko kiedy widzę siebie od tyłu i zdumiewa mnie, jak bardzo przypominam Hallie Bryce, kiedy nie nosi koka. Kołyszę głową w lewo i w prawo, a włosy chwieją się łagodnie, tak samo jak u Hallie.

- Wszystko w porządku? - pyta Rachel.

Nie mówię jej, że mimo wszystko przerobiła mnie na kogoś innego, bo już za późno, aby ją powstrzymać. Zaciskam usta i kiwam głową z aprobatą, choć wcale nie jestem pewna, czy fryzura mi się podoba. Rachel zabiera pelerynę, ścięte włosy ładują na podłodze. Wskazuje moje dłonie, które zaciskam na kolanach.

- Mam to wyrzucić?

Opuszczam wzrok i widzę między swoimi palcami torebkę po m&m'sach, którą trzymam kurczowo, jakby od tego zależało moje życie. Nawet nie zauważyłam, że mnę ją w rękach.

- Nie - odpowiadam i pośpiesznie chowam opakowanie w kieszeni. - Nie trzeba.

Wstrzymuję oddech, przechodząc do poczekalni. Przygotowuję się na reakcję mamy, która będzie wydziwiała nad zmianą w moim wyglądzie.

Mama jednak nie wydziwia. Na mój widok przewraca oczami, płaci rachunek i daje Rachel napiwek. Odzywa się dopiero w drodze do samochodu.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę - mówi. - Zapłaciłam czterdzieści dolarów za to, żebyś wyglądała dokładnie tak

samo jak przed wejściem do salonu.

- Co takiego? - Wytrzeszczam na nią oczy.

- Czy ona w ogóle dotknęła cię nożyczkami, czy tylko zafundowała ci wyjątkowo drogie mycie i suszenie?

- Ścięła całą furę włosów - wyjaśniam.

Mama prycha i kręci głową.

W samochodzie opuszczam osłonę przeciwsłoneczną i patrzę do lusterka. Różnica jest kolosalna, ale może Rachel miała rację i tylko ja zauważam zmianę.

Trochę się martwię, że torebka po m&m'sach stanie się dla mnie czymś w rodzaju ukochanej przytulanki, bo następnego ranka wyciągam ją w autobusie i ściskam przez całą drogę do szkoły. Denerwuję się na korytarzach, ale szybko do mnie dociera, że nikt nie patrzy na moje włosy. W ogóle nikt mnie nie widzi.

Wrzucam płaszcz do szafki i w tym samym momencie dzwoni pierwszy dzwonek, więc pędzę do klasy. Pan Braxley już stoi przed tablicą. Kilka sekund później słychać dzwonek na lekcję, wobec czego siadam, próbując uspokoić oddech.

- No dobrze, moi drodzy - odzywa się pan Braxley. - Wasze projekty są zapewne już w bardzo zaawansowanym stadium przygotowań, ale jeśli ktoś ma pytania bądź kwestie związane z projektem lub ze swoją grupą, ewentualnie z brakiem grupy, proszę zgłosić się do mnie po lekcji.

Patrzy prosto na mnie.

Wszyscy się odwracają i gapią. No dobrze, może nie wszyscy, ale Lipton wpatruje się w bok mojej głowy tak intensywnie, że niemal boruje w niej dziurę. Czuję to

wyraźnie.

Zerkam na niego, a on posyła mi promienny uśmiech.

- Twoje włosy wyglądają dziś naprawdę ładnie - mówi.

Mrugam.

Ma wyjątkowo ciepłe spojrzenie i uśmiecha się szeroko. Zauważam uroczą przerwę między jego jedykami. Najbardziej jednak podoba mi się to, że zauważa mnie nawet wtedy, gdy jestem niewidzialna. Czuję mrowienie, które przeszywa mnie od palców u stóp i rąk, od kolan i łokci, docierając prosto do klatki piersiowej. Serce mi łomocze, jakbym przed chwilą pobiła rekord w biegu maratońskim.

Naturalnie zachowuję się tak, jakby cierpiał na zaraźliwą chorobę skóry, i milczę.

- Przycięłaś je? - pyta.

Kręcę głową i robię wielkie oczy.

- Hm. Wyglądają inaczej. - Wzrusza ramionami i znowu się rozpromienia. - Masz ostatnią szansę, żeby dołączyć do drużyny termopilskiej. Gdybyś się zdecydowała, w sobotę spotykam się z Adamem u mnie w domu.

- Ja... eee... nie mogę - mamroczę.

- Szkoda. - Jego uśmiech gaśnie.

Pan Braxley rozpoczyna lekcję, a ja skupiam się na robieniu notatek. Włosy łagodnie spływają mi na ramiona za każdym razem, gdy się pochylam. Nie tworzą tak sztywnej zasłony jak zazwyczaj. Nadal mogę się za nimi ukrywać, ale tego nie robię. Wsuwam je za ucho, żeby kątem oka obserwować Liptona.

Jestem przekonana, że on również na mnie patrzy, i nie mam

nic przeciwko temu. Zastanawiam się, czy wszyscy na Instagramie czują się podobnie, kiedy piszą *#zobacz mnie* i ktoś w końcu ich zauważy.

Rozdział 12

W piątek wieczorem czuję się w sumie nieźle, bo rozmyślam o Liptonie i usiłuję wpaść na jakieś pomysły co do nowego postu Observi. Może coś związanego z surfowaniem albo medytacja w towarzystwie Dalajłamy. Staram się skupić na czymkolwiek, co nie ma związku z jutrzejszą imprezą u Marissy oraz z tym, że się tam nie wybieram, o czym nie poinformowałam mamy. Rodzice poszli do kina, więc słucham muzyki, dzięki czemu całkiem nieźle zagłuszam ryk, który wypełnia mi uszy.

Potem jednak popełniam błąd, zaglądając na Instagram Jenny. Najwyraźniej była na koncercie, bo zamieściła zdjęcie, na którym widać tylko fioletową poświatę ze sceny oraz mnóstwo sylwetek ludzi z uniesionymi wysoko rękami. Jenna nie napisała, gdzie jest ani nawet co to za zespół, ale widać, że to jakaś wielka impreza.

Znacznie większa niż koncert East 48, na którym „byłam”.

W takiej sytuacji daruję sobie Dalajlamę i zaczynam szukać jak największego koncertu. Mam już na sobie neonowożółtą spódnicę, legginsy, czarną koszulkę i kanciaste sandaalki, a do tego perukę, bransoletki i okulary przeciwsłoneczne. Usta pomalowałam na czerwono, narysowałam nowy tatuaż jin-jang. Robię sobie kilka zdjęć na tle białego prześcieradła, podskakując z niewidzialną gitarą.

W niespełna godzinę jestem zadyszana, ale widać mnie na scenie z Foo Fighters na stadionie Wembley. Mniejsza z tym, że byłam zupełnie mała, kiedy tam grali. Jaki sens ma życie cudzym życiem, jeśli nie można się cofnąć w czasie? Wybieram zdjęcie, na którym Dave Grohl ma twarz odwróconą w bok i ustawiam się tak, jakbyśmy patrzyli sobie w oczy. Razem improwizujemy. Puszczam ich kawałek *The Pretender* i zamieszczam fotomontaż z dopiskiem:

Tutaj podróżuję w czasie na koncert #foofighters w 2008 na stadionie Wembley.

Obserwuję wpisy w miarę ich napływania. Fani Foo piszą, na których koncertach chcieliby być i tagują swoich przyjaciół, a także mnie na własnych zdjęciach z koncertów, w których uczestniczyli. Tworzą nawet nowy hashtag:

#observi

Jestem tak rozemocjonowana, że piszczę. Kiedy tworzyłam moje konto, sądziłam, że Jenna może rozpoznać mnie po nicku, bo często mówiłam „obserwać”, a moje imię zaczyna się na Vi. Teraz zrobił się z tego znany hashtag, ludzie go używają... I ja go wymyśliłam? To dziwne i cudowne.

Śmieję się z siebie i nadal patrzę na napływające komentarze. Pojawiają się nowi obserwujący. Co pewien czas klikam na tag *#observi*, żeby zobaczyć nowe wpisy, a kiedy je lajkuję, ludzie się rozplývają i piszą: „OMG DZIĘKUJĘ” i: „observi właśnie polubiła moje zdjęcie, teraz mogę umrzeć szczęśliwa”.

Zamieściłam jedno zdjęcie z Foo Fighters i mam wrażenie, że internauci obnoszą mnie na ramionach.

Kiedy coś podobnego zdarzyło się poprzednio, przy moim poście z Neilem deGrassem Tysonem, musiałam się wycofać, bo zainteresowanie mnie wystraszyło. Tym razem postanawiam sprawdzić, jak daleko mogę się posunąć. Otwieram garść zdjęć, na których leżę na podłodze, z rękami i nogami wyciągniętymi pod takim czy innym kątem. Znajduję w sieci fotografię ze stosunkowo niedawnego koncertu Foo Fighters przedstawiającą jakiegoś gościa bez koszuli, który płynie na rękach oszalałej z zachwytu publiczności. Widać zespół na scenie, fruważą włosy i krople potu. Ideał.

Skupiam się na precyzyjnym photoshopowaniu, żeby wkleić siebie na miejsce faceta bez koszuli. Rozłożona spódnica i obszerna peruka pozwalają mi zamaskować szczeliny między naszymi sylwetkami, które mają nieco odmienne kształty. Aerografem rozmywam ostre krawędzie swojego zarysu, żeby wtopiły się w zdjęcie.

Zadowolona z rezultatu, zamieszczam fotografię i piszę:

Czuję miłość, fani Foo! #foofighters #observi

Kładę się na łóżku i co kilka minut zaglądam do telefonu, żeby sprawdzić, ile lajków zbiera mój post. Fani Foo są wniebowzięci. Ktoś komentuje:

Byłem tam! W realu!

Inni się przyłączają:

Ja też!

Może nie powinnam czuć się tak, jakbym naprawdę była na tamtym koncercie, ale takie właśnie mam wrażenie. Podkręcam muzykę jeszcze bardziej i zamykam oczy. Jest tak, jakbym unosiła się na rękach publiczności. Moja fioletowo-pomarańczowa peruka zmienia się wkrótce w prawdziwe włosy. Ich kosmyki lepią się do mojej spoconej twarzy i szyi. Widzę, jak Dave Grohl miota się po estradzie, przenika mnie dudnienie basów z głośników.

Bum. Bum. Bum. Bum.

- Vicky!

Łup! Łup! Łup! Łup!

- Obudź się!

Skołowana, unoszę głowę. Najwyraźniej trochę przysnęłam, bo rozglądam się po pokoju i dopiero po chwili dociera do mnie, że nie jestem na koncercie. Opuszczam nogi na podłogę i wyciągam rękę, żeby przyciszyć muzykę.

- Vicky! Na litość boską, odezwij się! - To mama łomocze do drzwi.

- Już idę! Nie śpię!

Chwiejnym krokiem idę do drzwi i otwieram, ciężko oddychając.

Mama cofa się na mój widok.

- Co to ma być?...

Spoglądam na siebie, unoszę rękę do włosów.

O, nie. Zapomniałam, że jestem przebrana za Observi.

- Mamo, ja...

- Coś ty zrobiła z nową spódnicą?

- Ja tak... tylko...

- Kompletnie ją zniszczyłaś.

Panika nie pozwala mi dobrać słów, nie umiem nic wymyślić na usprawiedliwienie mojego cudacznego wyglądu.

- I co teraz włożysz na przyjęcie? - Mama zawiesza spojrzenie na moich włosach. - Tylko mi nie mów, że to twoje prawdziwe włosy.

Raptownie unoszę rękę i ściągam perukę, odsłaniając myckę z rajstop, pod którą wepchnęłam całą nową fryzurę. Myckę też zdejmuję i włosy rozsypują mi się wokół twarzy.

- To było... to było na Halloween - dukam. - Na imprezę. U Marva. Tematem jest punk rock. Próbowałam coś sklecić do kupy...

Mama wzdycha.

- To świetnie, że jesteś zapraszana na imprezy, ale czy naprawdę musiałaś niszczyć bardzo dobrą spódnicę? Nie mogłaś pociąć jakichś swoich ciuchów z lumpeksu?

Opuszczam wzrok na wystrzępiony, neonowy materiał, który zwisa mi na biodrach. Czuję się jak mała dziewczynka, przyłapana na przebieraniu się w rzeczy mamy i paćkaniu twarzy jej kosmetykami.

- W sumie... to chyba urocze - ocenia mama. - Jak na imprezę punk rockową.

- Dzięki.

Wyjmuje mi z ręki kolorową perukę i ogląda ją z uwagą.

- Z lumpeksu?

Kiwam głową.

- Naprawdę zamierzasz iść w tym między ludzi?

Wzruszam ramionami. Jasne, że nie zamierzam. Mama świetnie o tym wie.

- Na pewno wszystko dobrze? Bo to jest takie... trochę dziwne, nawet jak na ciebie.

Zwraca mi perukę.

- Tak, dzięki.

Powłócząc nogami, wracam do swojego pokoju i opadam na łóżko. Połowa mojego mózgu nadal należy do Observi, a druga koniecznie chce wrócić na koncert. To trochę przerażające, jak szybko zanurzam się w świecie fantazji. Wrażenie surfowania na rękach tłumu fanów Foo Fighters było jak sen, ale nie znikło, w przeciwieństwie do zwykłego snu. Można by pomyśleć, że towarzyszy mu pamięć sensoryczna. Ciągłe czuję dotyk dłoni ludzi, którzy przynosili mnie nad głowami. To zdarzenie dodało mi sił.

Jako Observi jestem niezwyciężona. A jako Vicky?

Niewidzialna.

Leżę w łóżku, patrzę na ekran telefonu i ponownie otwieram Instagram. Zamiast jednak czerpać moc od fanów Foo Fighters, postanawiam dotrzeć do tych, którzy również czują się *#niewidzialni*.

Są tam, gdzie się z nimi rozstałam. Wszyscy czują się *#ignorowani* i *#samotni*, a do tego proszą: *#porozmawiajzmną*, *#nierozmawiajzmną*, *#zobaczmnie* i *#niepatrznamnie*. Znowu zostawiam komentarze.

Widzę Cię.

Nie jesteś niewidzialny.

Wszystko w porządku?

Wysyłają mi uśmiechy i podziękowania. Pytają, czy i u mnie wszystko dobrze, a ja nie wiem, co odpowiedzieć. Observi ma się dobrze, nawet fantastycznie, a ci ludzie jej potrzebują, bo dzięki niej czują się wyjątkowi.

A ja sama? Wcale nie czuję się tak wspaniale, ale nic nie mówię, bo się boję, że inni odrzucą jej troskę, jeśli się dowiedzą, że to ktoś taki jak ja.

Rozdział 13

Do czwartej po południu w sobotę grono moich obserwujących rozrosło się do ośmiu tysięcy pięciuset dwudziestu trzech osób i powinno mnie to cieszyć, ale głównie staram się nie zwymiotować. Sama myśl o zapukaniu do drzwi Marissy DiMarco i wejściu do domu pełnego znajomych – jej znajomych – przyprawia mnie o mdłości.

Nie idę. Za nic.

Zamierzałam powiedzieć to matce, ale tak bardzo się cieszyła, że tam będę. Nie chciałam jej martwić ani złościć, a teraz nadeszła pora, by wyjść. Impreza zaczęła się parę minut temu i trzeba się zbierać (żeby spóźnić się modnie, ale nie za bardzo). Mama czeka w salonie, a ja stoję przed wielkim lustrem, ubrana w najmniej imprezowe ciuchy, jakie można sobie wyobrazić – workowaty sweter, luźne dżinsy, podniszczone buty. Jak zwykle.

- Gotowa? - woła mama przez korytarz.

Biorę głęboki wdech i otwieram drzwi. Już sobie wyobraziłam tę rozmowę. Mama rzuci mi tylko jedno spojrzenie i powie: „Nie możesz iść tak ubrana”, a ja na to: „Dobrze, więc nie idę”, a ona: „Przebierz się”. Wtedy wrócę do pokoju i położę się na łóżku. W końcu do mamy dotrze, że się nie przebiorę i nie pójdę na imprezę. Będzie rozczarowana, ale uzna, że nie ma się co kłócić, bo minie już

pół imprezy.

Tyle że kiedy wchodzę do salonu, mama mówi tylko:

- Świetnie, idziemy.

Po czym bierze kluczyki i wychodzi na podjazd.

- Nie widzisz, jak jestem ubrana? - pytam, idąc za nią. - Nie mogę iść na imprezę.

- Owszem, możesz, Vicky. I pójdziesz.

- Nie mogę.

Jej twarz łagodnieje.

- Posłuchaj, kochanie. Rozumiem, że jest ci trudno od wyjazdu Jenny i obwiniam się o to, że stałaś się tak bardzo od niej zależna. Sama do tego dopuściłam. Nie możesz jednak ukrywać się w pokoju przez całą wieczność. Jestem pewna, że oprócz Jenny są jeszcze inne osoby, które chętnie zaprzyjaźniłyby się z tobą. Musisz po prostu skorzystać z okazji i je poznać. Im dłużej zwlekasz, tym będzie ci trudniej.

Przełykam ślinę.

- Nie idę - oznajmiam.

Mama garbi się i opiera o drzwi samochodu. Czekam, aż okopie się na swojej pozycji, postawi mi ultimatum czy coś, ale nie robi tego, tylko wzdycha.

- W takim razie jedźmy na pizzę. - Uśmiecha się z wysiłkiem.

- W porządku.

Wsiadam do auta, osłabła z ulgi, że mama nie stawiała większego oporu. Taka łatwa rezygnacja nie jest w jej stylu.

Wycofujemy się z podjazdu, włączam radio. Mama postukuje w kierownicę i nuci pod nosem.

Po kilku minutach zauważam, że nie zmierzamy w kierunku naszej ulubionej pizzerii.

- Nie jedziemy do Pietro's? - pytam.

- Spróbujmy czegoś nowego - mówi.

Jedziemy dalej, ale nie do żadnego ze znanych mi centrów handlowych.

- Gdzie to jest?

- Niedaleko.

Zaczynam się pocić, moje ciało wyczuwa zagrożenie, jeszcze zanim mózg zda sobie sprawę z tego, co się dzieje - że nie jedziemy na pizzę, tylko w okolice domu Marissy DiMarco.

- Mamo, co ty robisz?

- Zabieram cię na przyjęcie - odpowiada.

Chwytam za brzeg fotela, wbijając paznokcie w tkaninę. Nadchodzi fala mdłości. Próbuję skupić wzrok na horyzoncie, jakby to była tylko choroba morską, a matka nie próbowała mnie rzucić rekinom na pożarcie.

- Vicky, musisz stawić czoło lękom - mówi spokojnie mama. - Tylko tak je pokonasz. Wejź tam z uśmiechem i się przywitaj. Wiem, że jesteś nieśmiała, ale dasz sobie radę. To nie taki problem.

Matka powtarza ludziom, że od urodzenia jestem „trochę nieśmiała”. Może dlatego patrzyli przez palce na moje dziwaczne zachowania. Wątpię jednak, żeby nieśmiałość wyjaśniała to, co teraz się ze mną dzieje. To nie to samo, co chowanie się za spódnicą mamy, kiedy byłam mała i bałam się obcych. Teraz czuję się tak, jakbym miała umrzeć, jeśli będę musiała wejść do tego domu. Nie rozumiem, dlaczego mama

tego nie zauważa.

Oddycham z trudem.

- Nie zrobię tego, mamó. Nie dam rady.

Zatrzymuje się przed domem rodziny Marissy.

- No to będziemy tu siedzieć w samochodzie przez trzy godziny.

- O mój Boże. - Zaczynam się hiperwentylować.

- Przestań się nakręcać - mówi mama.

Inne auta też się zatrzymują, wysiadają z nich dzieciaki. Mijają nasz samochód, wchodzą do domu. Zginam się w pół, żeby mnie nikt nie zobaczył.

- Chryste, Vicky, to tylko przyjęcie.

Powoli nabieram powietrza, wypuszczam je, znowu nabieram, znowu wypuszczam. Skupiam się na oddychaniu, próbuję zablokować wszystko inne... aż mama wrzuca bieg i odjeżdża od krawężnika. Krew niemal natychmiast powraca mi do głowy. Niebezpieczeństwo minęło. Wyprostowuję się dopiero wtedy, gdy skręcamy w prawo.

- Przestań się wygłupiać - mówi. - Jedynym sposobem na przezwyciężenie strachu jest stawienie mu czoła.

Mama znowu skręca w prawo. Zataczamy koło, kierując się z powrotem przed dom Marissy.

- Pójdiesz na to przyjęcie - mówi. - Nawet jeśli będę musiała tak krążyć całą noc. To dla twojego dobra. Próbuję ci pomóc.

Nie uświadamia sobie, że pogarsza sytuację. Zachowuje się tak, jakby chciała zrobić wszystko, byle tylko nie przyznać, że coś jest ze mną nie tak.

Znów opuszczam głowę między kolana, uszy wypełnia mi ryk odkurzaczy.

Mama zatrzymuje się przed domem, przez cały czas stukając w kierownicę. Pochyliam się jeszcze bardziej i rozpaczliwie chwytam powietrze.

Znów odjeżdża i skręca. Tym razem wiem, że niebezpieczeństwo nie minęło.

- Proszę, zabierz mnie do domu - szepczę spomiędzy kolan.
- Źle się czuję.

- To wszystko jest w twojej głowie. - Mama ponownie skręca w prawo, zataczamy kolejne koło.

Chcę krzyknąć: „PEWNIE, ŻE TO JEST W MOJEJ GŁOWIE!”. Bo gdzie ma być? Tyle tylko, że inaczej, niż myśli mama. Nie wymyśliłam sobie tego. Serce naprawdę mi galopuje. Oblewam się potem, brak mi powietrza, kręci mnie w brzuchu. Mózg wydaje te polecenia i jestem pewna, że mózg MAM W GŁOWIE.

Prawie zatoczyliśmy już koło. Muszę wymyślić, jak to zakończyć, bo ludzie w końcu zauważą samochód, który zatrzymuje się i odjeżdża, a nikt z niego nie wysiada. Ktoś rozpozna moją matkę i będzie wiadomo, że tu jestem.

Rozpinam pas, kiedy dojeżdżamy do rogu.

- Poczekaj, aż...

- Nie, wypuść mnie tutaj - przerywam jej.

Zatrzymuje się, a ja otwieram drzwi.

- Vicky... - Mama chce zaprotestować, ale wysiadam. Stoję przy samochodzie, a ona się uśmiecha. - O której po ciebie podjechać?

- Załatwię sobie podwózkę.

Trzaskam drzwiami, wchodzę na chodnik i czekam, aż odjedzie. Mama się waha, ale za nią stoją już samochody, więc skręca i odjeżdża. Czekam, aż zniknie za rogiem, po czym odwracam się na pięcie i ruszam w przeciwnym kierunku.

To cud, że w ogóle mogę chodzić. Nawet nie czuję nóg. Szukam miejsca, w którym zdołałabym się ukryć, bo matka pewnie znowu zrobi rundę, żeby sprawdzić, co ze mną. Drzewa przy ulicy są duże. Mogłabym przywrzeć do pnia i przesunąć się na drugą stronę, kiedy mama będzie mnie mijała. Skąd, to wcale nie wyglądałoby idiotycznie.

Zauważam szczelinę w żywopłocie i bez zastanowienia wślizguję się w nią, po czym siadam na trawie po drugiej stronie. Podciągam kolana i nasuwam na nie szarozielony sweter, żeby się skulić i jak najbardziej wtopić w żywopłot. Obawiam się spojrzeć na okolony przez żywopłot dom, bo mogę zwrócić na siebie uwagę. Kładę czoło na kolanach i ukryta za włosami, próbuję zapanować nad oddechem.

Rozmyślałam o słowach mamy, o stawianiu czoła lękom, ale nie wiem, jak miałabym się do tego zabrać. Zawsze unikałam imprez i grup. Nie mam pojęcia, jak to zmienić, zwłaszcza sama, bez Jenny, która przemówiłaby w moim imieniu, gdyby zabrakło mi słów.

Nie wiem, jak długo tak siedzę. W końcu zjawia się ktoś z małym pieskiem, który obwąchuje żywopłot i na mnie szczeka. Właścicielka szarpie za smycz.

- Jasmine! - woła.

Pies skowyczy i odbiega truchcikiem. Wypuszczam

wstrzymywane powietrze.

Nagle coś puszystego ociera mi się o nadgarstek. Odskakuję do tyłu.

- Miau!

To kot, bury z białymi plamami. Wypręża grzbiet ze strachu i stroszy futro.

- Przepraszam. Przepraszam - szepczę i wyciągam rękę, żeby ją powąchał.

Kot powoli przewycięża strach, spaceruje przede mną, a w końcu podchodzi do mojej ręki i ociera się o przegub. Boże, dałabym wszystko, żeby być kotem. Nikogo nie dziwi, kiedy wpadają w popłoch albo pocierają człowieka pyszczkiem, albo ugniatają mu kolana łapkami i chodzą trzy razy w kółko, zanim usiądą. Koty są niesamowicie dziwaczne, a ludzie i tak je kochają.

Ten kot ociera się teraz o moje nogi, wręcz się na mnie pokłada. Uwalniam kolana spod swetra i siadam po turecku, a kot na nie wskakuje, więc go głaszczę. W końcu zaczyna mruścić tak głośno, aż się boję, że usłyszy go ktoś z domu.

Dom.

Całkiem zapomniałam, że tam jest. Zerkam na budynek, przyglądam się oknom, żeby sprawdzić, czy ktoś na mnie nie patrzy, a potem kieruję spojrzenie na taras. Jest tam grill, stół z parasolem, kilka krzeseł z odchylanymi oparciami i... jakiś chłopak.

Siedzi na jednym z krzeseł i czyta książkę. Może gdyby udało mi się wymknąć niepostrzeżenie... O, nie. Unosi dłoń, spodem do mnie, jakby zatrzymywał taksówkę. Powoli wstaje

i idzie w moim kierunku.

Jestem zbyt przerażona, żeby uciekać, a poza tym kot siedzi mi na kolanach. Wbijam wzrok w stopy chłopaka, a kiedy jest mniej więcej w połowie trawnika, zauważam, że lewą nogawkę ma wsuniętą w jaskrawoniebieską skarpetkę.

- To ty - mówi Lipton, zatrzymując się kilka kroków od moich kolan. - Czytałem tu sobie, zajmowałem się swoimi sprawami, a potem podniosłem wzrok i pomyślałem: Czy to Vicky Decker jest na moim podwórzu? I faktycznie, to ty. - Na jego twarzy maluje się pełen niedowierzania zachwyt. - Co tu robisz?

- Tak tylko... głaszałam kota. To pewnie twój?

Lipton powoli kiwa głową.

- Tak, mój. - Gestem wskazuje budynek za sobą. - A to mój dom.

Nadal głaszczę kota, bo nie bardzo wiem, co mogłabym robić.

- A ty... - Lipton porusza brwiami, próbując zrozumieć, dlaczego siedzę na jego podwórzu. - Czy ty... hm...

- Przyszłam na imprezę. - Kiwam głową w kierunku domu Marissy. - Ale nie mogłam... No, wiesz.

Twarz mi się wykrzywia i macham rękami wokół głowy, bo mój pochrzaniony mózg najwyraźniej uznał, że to dopuszczalna forma komunikacji.

O dziwo, Lipton chyba rozumie.

- Aha - mówi. - Też nie jestem imprezowy. Wolę raczej siedzieć na tarasie i czytać. - Wpycha ręce do kieszeni i uśmiecha się do mnie. - I rozmawiać z dziewczynami, które

pojawiają się na moim trawniku i głaszczą kota.

- Zaprosiła cię?

- Nie.

- A poszedłbyś, gdyby cię zaprosiła?

- Nie wiem. - Wzrusza ramionami. - Pewnie nie.

Nagle uświadamiam sobie, że prowadzę rozmowę i wcale nie jestem w tym taka do dupy. On coś powiedział, potem ja, potem znowu on. Nie wysnęło mi się nic dziwnego. Chyba powinnam teraz odpukać w niemalowane drewno, bo właśnie zapeszyłam.

Kot zapewne też to wyczuwa, bo się przeciąga, zeskakuje z moich kolan i odchodzi dostojnym krokiem. Zatrzymuje się jakieś dwa metry dalej, spogląda na mnie i liże łapę.

Strzepuję sierść z kolan. Lipton wyciąga rękę, żeby pomóc mi wstać, a ja wpadam w panikę. Zaraz mnie dotknie, a w zasadzie nikt mnie nie dotyka. Do tego uśmiecha się tak uroczo. Pocę się. A jeśli poczuje mój zapach?

Dlatego, zamiast podać mu rękę, jak zrobiłby każdy normalny człowiek, odpycham się od trawy i robię koziołka. Przewrót w tył. Potem zrywam się na równe nogi jak wariatka.

Lipton cofa się i drapie po brodzie.

- Niezła sztuczka - komentuje.

- Mhm! Lubię być w formie. - Jęczę w duchu, strzepując liście, które przyczepiły mi się do pleców i włosów.

- Wejdiesz? - Teraz drapie się po potylicy. Chyba nie jest pewien, czy zaproszenie mnie do domu było dobrym pomysłem. - Może zagramy w *Minecraft*?

Mrugam. Perspektywa gry na komputerze wydaje się dziwnie kusząca, choć nic nie wiem o *Minecrafcie*. Musiałabym jednak wejść do domu Liptona, pewnie poznać jego rodziców, jakieś rodzeństwo. Nowy sygnał dla gruczołów potowych.

- Nie mogę. - Macham rękami, jakbym zamierzała skoczyć w dal ze stania. - Ale dziękuję, że pozwoliłeś mi głaskać kota i chować się za krzakami. Macie bardzo ładne krzaki. Poleciłabym je każdemu, kto za krzakami szukałby kryjówki. Albo raczej, kto szukałby kryjówki za krzakami. Tak, twoje krzaki idealnie nadawałyby się do szukania za nimi kryjówki, jeśli kryjówki szukałby wrażliwy gramatycznie poszukiwacz kryjówek za krzakami.

Lipton przygryza wargę.

- Okej. - Kiwa głową.

- Okej. Cześć!

Uciekam, zanim z moich ust wysypią się inne idiotyzmy. Przekradam się przez szczelinę w żywopłocie i idę w kierunku domu. Mniej więcej, ponieważ nie śledziłam drogi, gdy tu jechałyśmy. Wystarczy mi jakiegokolwiek miejsce, które nie jest ani domem Marissy, ani podwórzem Liptona.

Chcę tylko się stąd wydostać.

Rozdział 14

Dopiero po prawie kilometrowym spacerze uspokajam się na tyle, żeby mój mózg zaczął prawidłowo funkcjonować. Wtedy przypominam sobie, że mam w telefonie apkę z mapą, która mogłaby się teraz przydać, bo kompletnie nie wiem, gdzie jestem.

Ekran ożywa wiadomościami dla Observi. Za każdym razem wydaje mi się, że to wiadomość od Jenny. Otwieram Instagram i wyłączam powiadomienia. Potem wpisuję mój adres, żeby pojawiły się wskazówki, jak mam trafić do domu.

Trasa ma długość siedem i pół kilometra. Nigdy tyle nie chodziłam. Według telefonu zajmie to godzinę i czterdzieści dwie minuty.

Maszeruję z mozołem, co kilka minut zerkając na mapkę. Muszę mieć pewność, że nie zboczyłam z kursu. Szkoda, że nie ma czegoś takiego jak życiowa apka. Zamiast „Skręć w lewo” i „Skręć w prawo” mogłaby wydawać takie polecenia, jak: „Oddychaj”, „Idź”, „Mów”, „Zamknij się” i „Proszę, serio, przestań gadać”.

Telefon brzęczy i teraz naprawdę myślę, że to Jenna, bo kto miałby do mnie pisać, skoro wyłączyłam powiadomienia z Instagramu?

Dobrze się bawisz?

Uch, mama. Ignoruję ją i idę dalej.

Na pewno nie muszę po Ciebie przyjechać?

Sprawdzam następne wskazówki na apce i chowam telefon do kieszeni, żeby kompletnie zignorować matkę.

Aparat brzęczy.

I znowu.

I jeszcze raz.

Gdy już nie wiem, którądy iść dalej, wyciągam telefon i patrzę na mapę. Ekran jest pełen wiadomości od mamy.

Kto Cię przywiezie?

Chcę wiedzieć, z kim przyjedziesz, Vicky.

Nie chcę, żebyś jechała z kimś po alkoholu.

Apka informuje, że będę w domu za czterdzieści sześć minut. Już rozpoznaję drogę, więc wpycham telefon do kieszeni i puszczam mimo uszu jego pobrzękiwanie. Jest już zupełnie ciemno, a idę drogą bez latarni i chodników. Mijają mnie rozpędzone samochody, nie widząc mojej oliwkowej zieleni na poboczu. Niektóre gwałtownie skręcają i trąbią, inne nawet mnie nie zauważają.

Gdy docieram w okolicę domu, jestem spocona z wysiłku i przerażenia, bo parę razy omal nie wpadłam pod koła. Padam z nóg i chce mi się pić, więc otwieram drzwi wejściowe, nawet nie myśląc o tym, co powiem. Po prostu marzę o tym, żeby paść na łóżko.

Tata siedzi na sofie i ogląda telewizję.

- Cześć, mała. - Patrzy na mnie. - Wcześniej wróciłaś.
W jednym kawałku.

- Coś podobnego - mamroczę.

Przycisza telewizor.

- Mamie spadnie kamień z serca - mówi.

- Spodziewała się, że wrócę w strzępach?

- Martwi się o ciebie - odpowiada tata. - Wiesz, jaka bywa opiekuńcza.

- Tak to nazywasz?

Ojciec marszczy brwi.

- A ty jak?

- Bo ja wiem? Emocjonalną manipulacją? Groźbami karalnymi? Coś w tym stylu.

- Vicky.

- Poważnie, tato. Zmusiła mnie, żebym poszła na imprezę.
Nabrała mnie. Jaka matka...

- Ma dobre intencje - przerywa mi. - Może nie zawsze wychodzi jej to najlepiej, ale się stara. Odpuść jej.

- Ciebie nie zmusza podstępem, żebyś chodził na imprezy.

- Owszem, zdarzało się. - Tata chichocze pod nosem.

- I bierzesz jej stronę?

- Musisz zrozumieć. - Zerka w stronę kuchni i ścisza głos. -
Mama jest towarzyska z natury, a my jesteśmy dla niej jak kosmici. Próbuje nam pomóc zaadaptować się do jej świata, dostosować się do niego.

Kręcę głową.

- ET woli zadzwonić do domu.

Tata się śmieje.

Mama wpada do pokoju, z nosem w komórcę, i nawet nie uświadamia sobie, że wróciłam.

- Gary, ona nie odpowiada. Myślisz, że nic jej nie jest? Powinam po nią pojechać? W ogóle nie trzeba było...

Tata odkasłuje znacząco, a mama podnosi wzrok i mnie dostrzega.

- Och, jesteś już - oznajmia.

- W istocie.

Mama opuszcza telefon.

- Nie odpowiadałaś na esemesy.

- Bo byłam na imprezie.

- No tak. - Kiwa głową. - Jasne. Ale nie widziałam, jak wchodzisz i...

- Nora. - Ojciec bierze ją za rękę. - Nic jej nie jest.

Mama splata palce z jego palcami i daje się pociągnąć na sofę.

- Pewnie, że nic jej nie jest - mówi. - Nic a nic.

Nie, wcale nie.

Chcę to powiedzieć, chcę poinformować mamę, że coś mi jest, że nie poszłam na tę imprezę, bo po prostu fizycznie nie byłam w stanie. Być może potrzebuję pomocy. Prawie mówię to wszystko, mam już słowa na języku, czekają, żeby wydobyć się z moich ust.

Wtedy mama uśmiecha się do mnie.

- Dobrze się bawiłaś? - pyta.

Kiwam głową i mówię jej to, co chce usłyszeć, bo tak rozpaczliwie pragnie wierzyć, że wszystko jest ze mną w porządku.

- Zmęczyłam się tańczeniem - mówię. - Chyba się położę.
Jestem już w połowie drogi do pokoju, kiedy słyszę wołanie mamy:

- Kto cię przywiózł?!
- Lipton Gregory - odpowiadam po chwili wahania.
- O, już ma prawo jazdy?
- Jego mama prowadziła.

Biegnę do pokoju i zamykam za sobą drzwi, żeby uniknąć kolejnych pytań, przez które będę musiała dalej kłamać.

Padam na łóżko, spocona, spragniona i głodna, ale nie chcę już wychodzić. Znajduję w plecaku pół butelki wody, wypijam ją błyskawicznie i wyciągam gumę z szuflady biurka. Może jeśli otworzę Photoshop i wkleję Observi w jakąś ucztę, poczuję się tak, jakbym naprawdę coś zjadła. Na tę myśl od razu głodnieję jeszcze bardziej.

Otwieram telefon i widzę strumień powiadomień - nerwowe teksty mamy i...

Jenna?

Pisała do mnie jak wariatka. Te wszystkie pobrzękiwania w kieszeni, które słyszałam, nie były od mamy, tylko od Jenny. Szybko przewijam do pierwszej wiadomości i czytam.

Cześć, to ja.

Ziemia do Vicky! Zgłoś się!

Jesteś?

No co ty, wiem, że masz telefon. Naprawdę muszę z Tobą pogadać.

Pierwsze wiadomości przysły czterdzieści pięć minut temu. Potem nic przez dziesięć minut i pojawiły się znowu.

Wiem, dlaczego się na mnie wściekasz.

Niechcący wybrałam Twój numer, prawda?

Widziałam w połączeniach. Wychodzące, cztery minuty. Po szkole, w zeszłym tygodniu. Byłam z Tristanem. Słyszałaś naszą rozmowę?

Cokolwiek mówiłam, wcale tak nie myślałam. Chciałam być cool, nic więcej.

Przepraszam.

Gardło mi się ściska. Mam ochotę śmiać się, krzyczeć, wiwatować albo płakać. Nie jestem pewna. Prawdę mam wypisaną czarno na białym. Moja przyjaciółka mnie przeprosza i wystarczy, że do niej napiszę: „W porządku”. I wszystko będzie w porządku, tak jak kiedyś. Może nawet powiem jej o Observi. Padnie, kiedy usłyszy!

Przewijam dalej, żeby odpisać, i widzę następne wiadomości. Piętnaście minut temu napisała znowu.

Czyli tak?

Koniec z nami?

Masz nowych przyjaciół, precz ze starymi?

Bardzo ładnie, Vicky. Dziękuję.

Mam nadzieję, że Ty, Marissa i Adrian będziecie razem bardzo szczęśliwi.

Nie wierzę, że zmarnowałam na Ciebie dwanaście lat.

Wiesz, na ile imprez nie poszłam przez Ciebie? Ilu przyjaciół bym miała? I to dostaję w zamian?

Miłego życia.

W moich płucach nie ma ani odrobiny powietrza. Zginam się wpół i opadam na kolana. „Wiesz, na ile imprez nie poszłam przez Ciebie? Ilu przyjaciół bym miała?” Wspomnienia wracają niczym tsunami, zalewając mnie gigantyczną falą.

Te wszystkie przerwy na lunch, gdy siedziałyśmy same, a dziewczyny podchodziły, proponując jej: „Usiądziesz z nami?”. A ona spoglądała tęsknie na ich stół z jednym pustym miejscem i kręciła głową. Gdy odchodziły, mówiła do mnie: „Za duży tłok” albo: „Zdecydowanie wolę siedzieć z tobą”.

A te wszystkie zaproszenia na imprezy wciskane jej w rękę, żebym nie widziała? Widziałam. Ale Jenna nigdy nie chciała na nie chodzić. „Znacznie lepiej się bawię, kiedy jesteśmy tylko we dwie”, powtarzała.

A ja jej wierzyłam.

Jak mogłam w to uwierzyć?

Rozpłakałabym się, gdyby nie brakowało mi powietrza. Mogę tylko bardzo płytko oddychać. Powoli pogrążam się w ruchomych piaskach, a jakiegokolwiek gwałtowne ruchy tylko przyspieszą moje zejście.

Leżę na podłodze i wodzę oczami po pokoju. Nigdy dotąd nie przyglądałam mu się z tej perspektywy. Widzę wszystkie niedoskonałości. Miejsca, w których drewniana listwa przypodłogowa oderwała się od ściany. Koty z kurzu uwiecznione pod łóżkiem. Zwiniętą w kulkę skarpetkę. Poobijane poprzeczki mojego krzesła przy biurku. Małe motylek od kolczyka, tym bardziej tajemniczy, że prawie nigdy nie noszę kolczyków i nie przypominam sobie, bym go upuściła. Fragment ściany tuż przy podłodze, który nie został pomalowany drugą warstwą farby.

Gdy stoję, wszystko wydaje się idealne. Dopiero kiedy znajdę się na samym dole, dostrzegam wady. Z mojej perspektywy trudno zauważyć cokolwiek innego.

Przyglądam się temu wszystkiemu, aż w końcu moje spojrzenie pada na jasną szczelinę pod drzwiami, przez którą widzę korytarz.

Wydaje mi się, że mrugam raz na godzinę. Przed drzwiami pojawia się para butów. To mama. Nie puka, tylko stoi nieruchomo przez jakąś minutę. Światło u mnie jest zgaszone, więc mama pewnie myśli, że śpię, i odchodzi na palcach. Lampy na korytarzu gasną.

Teraz jest zupełnie ciemno. Musi być mi niewygodnie, tak długo leżeć na twardej podłodze, ale czuję jedynie ból w piersi.

Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Rozglądam się w poszukiwaniu telefonu, jakiegokolwiek znaku życia. Ale przecież wyłączyłam powiadomienia z Instagramu. Mama śpi. A Jenna?

Tym razem odeszła na dobre.

Rozdział 15

Budzi mnie łomot, ale nie walenie do drzwi. Łoskot rozbrzmiewa w mojej głowie. Czuję się tak, jakbym spała z otwartymi ustami przed wentylatorem. Guma, którą wczoraj zułam, zmieniła się w twardą kulkę i utkwiała mi w zębach. Siadam i wypluwam ją w dłoń. Łomot zamienia się w ryk, a moje obolałe ciało zdaje się wyc z bólu.

Pełznę do drzwi i chwiejnym krokiem idę korytarzem do łazienki, po czym odkręcam kran i piję wodę. To pomaga, ale nie bardzo. Poza tym czuję od siebie smród, więc ściągam ubranie, zostawiam je na stercie na podłodze i wchodzę pod prysznic. Woda jest za gorąca, ale ją zostawiam, bo dzięki niej czuję się mniej otępiała. W gęstej parze ledwie widzę swoje stopy.

Stoję pod prysznicem tak długo, jak długo płynie ciepła woda. Potem owijam się ręcznikiem i człapię do pokoju. W domu panuje kompletna cisza. Jest wczesny niedzielny poranek.

Wycieram się, wkładam czyste ubranie i mechate skarpetki. Głaszczę je. Są miękkie i puszyste. Chciałabym mieć strój uszyty z takich skarpetek, wielką skarpetę z otworami na ręce. Nie, lepiej kokon. Wielki, puchaty kokon.

Telefon leży na środku posłanego łóżka. Gdy go widzę, przypominam sobie, dlaczego spędziłam noc na podłodze. Te

myśli znów mnie bołą. Nie chcę nawet wspominać jej imienia. To dziewczyna, której imienia nie wolno wymawiać. Tej, która się nade mną litowała. Która kłamała przez prawie dwanaście lat.

Która wymazała mnie ze swojego życia jednym esemesem.

Niemyślenie o niej sprawia, że chce mi się płakać, a staram się nigdy nie rozczulać nad sobą. Gdybym zaczęła, zalewałabym się łzami od rana do nocy, codziennie.

Siadam przy komputerze, otwieram Instagram i płaczę nad moimi nowymi przyjaciółmi, których dopadła *#depresja*, *#samotność* i *#smutek*. Jest ich cały legion. Wszystkich owinęłabym w miękkie kokony, i siebie też.

Googluję „puchaty kokon”. Na ekranie pojawiają się zdjęcia swetrów i palt, ale moją uwagę przyciągają niemowlęta. Maleńkie noworodki w wygodnych, dzianinowych becikach i dopasowanych czapczkach lub miniaturowych bluzach z kapturami.

Wydają się bezpieczne, z pewnością jest im ciepło. Zmieniam wyszukiwanie na „opatulone niemowlęta” i rozbijam bank z puchatymi becikami. Tak bardzo chciałabym być jednym z tych niemowląt. Pragnę cofnąć się do czasów, gdy wystarczyło spać w powijakach, mieć pełny brzuch, ciepło i sucho, żeby czuć zadowolenie.

Zerkam na łóżko i zastanawiam się, czy na resztę dnia nie owinąć się kołdrą. Czy mama nakarmiłaby mnie z miłością, gdyby znalazła mnie w takim stanie? Wątpliwe. Zapewne ściągnęłaby ze mnie kołdrę i wystawiła mnie na chłód.

„Musisz stawić czoło swoim lękom, Vicky”.

Otwieram Photoshop. W niespełną godzinę jestem otulona w becik. Wystają tylko głowa z pomarańczowo-fioletowymi włosami i okulary z pacyfą, najodpowiedniejsze na tę okazję. Towarzyszą mi słodko śpiące niemowlęta, wszystkie ułożone w rzędzie jak łyżeczki. Wrzucam fotografię na Instagram i piszę:

*W którym znikam. #bezpiecznie #ciepło
#puchatyprztytulnybecik*

Umrę, jeśli ktoś jeszcze użył tego hashtaga, więc sprawdzam. Tak jak się spodziewałam, „Nie znaleziono”. I dobrze. Jeden z moich obserwujących zainicjował hashtag *#observi*, więc jest to mój pierwszy oryginał.

Za to jest ponad milion *#bezpiecznie* i ponad trzynaście milionów *#ciepło*.

Observi ma już dziewięć tysięcy dwustu i dwóch obserwujących. Nie wierzę, że tak niewiele mi brakuje do dziesięciu tysięcy i że napływ ośmiuset obserwujących nie wydaje mi się problemem.

Idę do kuchni, zjadam płatki, wypijam sok pomarańczowy. Po chwili zjawia się mama.

- Co dziś będziemy robić? - pyta radośnie, napełniając czajnik wodą. - Może pójdziemy na zakupy? Zjemy gdzieś fajny lunch?

Niesamowite, z jaką determinacją ta kobieta ignoruje fakt, że nienawidzę zakupów i fajnych lunchów.

- Mam dużo zadane - mówię.

Jej uśmiech znika.

- Oczywiście.

Siedzę z nią, a gdy herbata się zaparzy, zabieram kubek do swojego pokoju. Dzisiejsza misja: dziesięć tysięcy obserwujących albo porażka.

Kilka godzin później nawet już nie pamiętam wszystkich miejsc, do których wysłałam Observi. Trafia na mecz mistrzostw świata w piłce nożnej, na inaugurację pontyfikatu papieża Franciszka, na Wimbledon, leci lotnią, skacze na bungee, tańczy na linie, pasie bydło. Już nie mam awersji do hashtagów. Piszę: *#gol #chwałapanu #gem #set #mecz #jupi #aaa #nalinie #iiiiha #nakoń* i co mi tam jeszcze przyjdzie do głowy.

Liczba obserwujących cały czas wzrasta i do trzeciej osiągam swój cel - dziesięć tysięcy. To jednak za mało. Czuję się pusta, więc ciągle wrzucam zdjęcia. Observi na rozdaniu nagród Tony. Na Złoty Globach. Na Emmy. Otagowuję znanych ludzi. Wbijam się do ulubionego serialu na kanale PBS i zamieniam główną aktorkę na siebie.

Kiedy oczy mi łzawią od gapienia się w komputer, kładę się na łóżku z telefonem i co kilka minut sprawdzam, ilu przybyło obserwujących. Do kolacji jest ich już dwanaście tysięcy ośmiuset. O dziewiętej czternaście tysięcy dwustu. W jeden dzień zyskałam około pięciu tysięcy obserwujących. Instagram już nawet nie pokazuje dokładnej liczby. Jest zbyt duża. Teraz zastępują tysiące literą „k”.

To powinno mnie uszczęśliwić, prawda?

I uszczęśliwia mnie, na krótko. Jeśli jednak tempo przybywania obserwujących spada, choćby na kilka minut,

czuję się odrzucona. Znow jestem Vicky, samotnie chodzę po szkolnym korytarzu. Ukrywam się w kabinie łazienkowej, jem lunch na sedesie. Nieustannie piszę do przyjaciółki, która ma ciekawsze rzeczy do roboty, uważa, że jestem żałosna, i nie może uwierzyć, że straciła na mnie życie.

Czytam komentarze do moich postów, wypatruję kogoś, kto rozumie. Dopiero kiedy dostrzegam obserwującą o imieniu Jenna uświadamiam sobie, że właśnie jej szukam. Mam nadzieję, że znajdzie mnie tu i zobaczy w innym świetle. Ale ta Jenna to nie moja Jenna, której konto jest po prostu jej imionami i nazwiskiem, jennaelizabethtanner. Ta Jenna to justjennafied. Zaczynamy gawędzić przy zdjęciu z puchatym, przytulnym becikiem.

justjennafied *Dlaczego żyjesz cudzym życiem?*

observi *Żeby się uwolnić.*

justjennafied *Od czego?*

observi *Od siebie.*

justjennafied *A co z Tobą nie tak?*

observi *LOL. Wszystko.*

justjennafied *Jesteś lubiana. Zabawna. Pełna życia.*

observi *To nie ja.*

justjennafied *Opiszesz siebie?*

observi *Jestem #nikt.*

justjennafied *Nieprawda. Jaka jesteś naprawdę?*

observi *#sama #samotna #smutna #wystraszona*

justjennafied *Ja też.*

Zastanawiam się, czy naprawdę taka jest, czy tylko tak

mówi, bo chce, żebym poczuła się lepiej. Wtedy nagle widzę rządę wpisów: „Ja też”.

tanyazeebee *Ja też.*

fauxfriendella *Ja też.*

kookiestkimberly *Ja też.*

ambivalentlessly *Ja też.*

shriekingshackup *Ja też.*

Wpisy ciągną się w nieskończoność. Tych ludzi jest tak wielu, a jednak się odnaleźliśmy. Patrząc, jak przy każdym nowym komentarzu pojawiają się ich nicki, ale nie prawdziwe imiona i nazwiska. W końcu dostrzegam podpis, który rozpoznaję.

radhakrishnanraj *Ja też.*

Raj? Ten od selfie? Klikam na nick, żeby dostać się na jego konto, i proszę bardzo. Jest moim obserwowującym. Ktoś ze szkoły mnie znalazł i obserwuje. Ze zdumieniem odchyłam się na krześle.

Też chcę go obserwować. Powinien wiedzieć, że nie jest **#samotny**.

Ale dotąd nikogo nie obserwowałam. Raj ma być pierwszy? To może mnie zdradzić. Jeśli ktoś powiąże mnie z liceum Richardsona, mogą mnie zidentyfikować.

Czy Raj mnie przejrzał?

Serce zaczyna mi łomotać. Przeglądam swoje posty w poszukiwaniu innych jego komentarzy, jakichkolwiek oznak, że wie, kim jestem. Ale znajduję tylko ten jeden jedyny wpis:

„Ja też”.

Trafia mnie to mocniej niż cała reszta, bo Raj jest prawdziwy. Wiem, że inni obserwujący też, ale dla mnie to tylko anonimowe nicki i ukryte twarze. Raja widuję każdego dnia. Chodzi po tych samych korytarzach, oddycha tym samym powietrzem. Mogłabym go dotknąć, gdybym chciała. Mogłabym z nim porozmawiać.

Tyle że nie mogę. Zaczynam się pocić na samą myśl o tym. Jednak świadomość, że ktoś blisko jest równie samotny jak ja, sprawia, że czuję się mniej osamotniona.

Rozdział 16

Przebrnięcie przez lekcje następnego dnia przypomina pływanie pod prąd w błotnistej rzece. Esemesy od Jenny mnie przytłaczają i za każdym razem, gdy widzę Raja na korytarzu, na chwilę przestaję oddychać z obawy, że mnie rozpozna. On jednak porusza się na swój rytmiczny, spokojny sposób, nieświadomy wiadomości: „Ja też”, którą telepatycznie mu przesyłam. To, że nie potrafię zebrać się na odwagę, by do niego zagadać, tylko pogarsza sytuację. Brnięcie przed siebie pochłania całą moją energię. Nie potrafię skupić się na niczym poza tym, co mam pod nosem. Wciąż chowam się po kątach, łazienkach i klatkach schodowych, żeby złapać oddech i przygotować się na następny odcinek korytarza.

Niemal docieram na historię, ale muszę przykleknąć we wnęce i udawać, że wiążę but. Wtedy właśnie słyszę Liptona i Adama. Stoją przy szafce Adama, tuż za rogiem od miejsca, w którym przykucam.

- ...no i zapytałem, czy nie chciałaby przyjść i zagrać w *Minecraft* - mówi Lipton.

- Stary, powiedz, że tego nie zrobiłeś - odpowiada Adam.

- A co w tym złego?

- To takie... jakbyś miał dwanaście lat.

- Ty grasz w *Minecraft*, a nie masz dwunastu lat.

- Tak, ale nigdy nie zaprosiłbym dziewczyny na grę. Co ci

strzeliło do łba?

- Że spodoba się jej *Minecraft*!

- No tak - wzdycha Adam. - Może się wstrzymaj, dopóki nie będziesz wiedział na pewno.

- No to co powinienem zrobić?

Adam prychnie i zamyka szafkę.

- Nie wiem, ale nie to. Zorientuj się, co ją na pewno interesuje.

- Może lubi moje skarpetki? Zawsze patrzy mi na kostki.

- O, Boże. Nie.

- Żartowałem - oznajmia Lipton, ale nie brzmi to zbyt wiarygodnie.

- Postaraj się nie mówić nic głupiego, okej?

- Spróbuję - mamrocze Lipton. - Żadnego *Minecrafta*, żadnych skarpetek...

Idą w kierunku sali, a mnie paraliżuje świadomość, że Lipton być może mnie... lubi? Chyba że próbował zaprosić jeszcze jedną dziewczynę na *Minecrafta* w ten weekend. Jakie jest prawdopodobieństwo?

Z trudem dalej płynę pod prąd, do sali pana Braxleya, zanim rozlegnie się dzwonek. Siadając, wbrew sobie zerkam na Liptona, a on posyła mi obezwładniający uśmiech. Dosłownie obezwładniający, bo tracę władzę w rękach i upuszczam książki. Lipton pochyla się, żeby mi pomóc. Strumienie potu spływają mi po bokach jak woda z wodospadu.

- Hej. - Lipton wręcza mi książkę, która wylądowała u jego stóp.

Odezwij się do niego, odezwij się do niego, odezwij się do

niego.

- Dzięki! - wyrzucam z siebie i biorę książkę. - Dzięki - powtarzam, bo raz najwyraźniej nie wystarcza. - Bardzo dziękuję.

Dobra, dość.

- Proszę - odpowiada Lipton. - Proszę. Bardzo proszę.

Otwieram szeroko oczy, a on się śmieje. Głośno przełykam ślinę.

Lipton się uśmiecha i odgarnia z czoła włosy, które natychmiast opadają z powrotem.

Uśmiechnij się, Vicky. Uśmiechnij się. Rozciągam usta, odsłaniając zęby, ale trudno to nazwać uśmiechem. Najprawdopodobniej przypomina to minę, którą robię u dentysty podczas prześwietlenia zęba. Oczy mi łzawią, bo wciąż zapominam mrugać.

Mrugaj. Mrugaj. Mrugaj.

Lipton odkasłuje, po czym wychyla się w kierunku mojej ławki.

- Zastanawiałem się, czy chciałabyś do mnie wpaść po szkole - mówi. - Żeby pogłaskać mojego kota?

Po drugiej stronie Liptona Adam jęczy i powoli pochyla się do przodu, aż jego głowa z głośnym łupnięciem ląduje na blacie.

- To znaczy, możemy też robić inne rzeczy - duka Lipton. - To, co cię interesuje.

Powiedz „tak”, powiedz „tak”, powiedz „tak”, powiedz „tak”. Mój mózg ryczy prawidłową odpowiedź w głowie. Ale czy słucham?

- Nie mogę - szepczę. - Jestem, eee, zajęta.

Adam znowu jęczy.

- To wcale nie musi być dzisiaj. - Lipton przestępuje z nogi na nogę. - To może być, no wiesz... kiedy zechcesz.

Serce wali mi teraz z całej siły, a ryk w moich uszach jest tak donośny, że nawet nie wiem, co Lipton powiedział i czy dobrze go zrozumiałam. Żongluję w myślach słowami, aby dostrzec w nich sens. W końcu jestem pewna, że powiedział coś w rodzaju: „Dzisiaj albo wcale”. To chyba niemożliwe.

Gapi się na mnie, czeka na odpowiedź. Na jego policzkach wykwitają plamy. O nie. Wprawiam go w zakłopotanie. Wygląda, jakby miał zwymiotować. Nie chcę tego.

- Wcale tego nie chcę. - Mój głos przypomina syk. Zakrywam ręką usta.

- Och. - Lipton wygląda tak, jakbym go spoliczkowała. - Nieważne.

- No dobra, uczniowie. - Pan Braxley zaczyna uczyć.

Chciałabym się skupić na jego słowach, ale jestem zbyt zajęta uspokajaniem tętna i próbami zrozumienia, co się właśnie stało.

Lipton zaprosił mnie na spotkanie.

Oddychaj.

Zaprosił mnie do swojego domu.

Oddychaj.

Żebym pogłaskała jego kota.

Oddychaj.

Wpadłam w panikę i odparłam, że jestem zajęta.

Reszta to jedna wielka, rozmazana plama. Ale chyba źle

poszło, bo Adam rzuca mi mordercze spojrzenia. Lipton zerka na mnie i widzę, że kolano podskakuje mu nerwowo. Tak jak mnie! Nogawkę ma w skarpecie, ZNOWU. Nie rzucałoby się to tak bardzo w oczy, gdyby gustował w mniej kolorowych skarpetkach. Dziś ma na sobie jaskrawożółte.

Naprawdę mi się podobają. Powiedzieć mu? „Podobają mi się twoje skarpetki, Lipton”. Może dzięki temu naprawię to, co schrzaniłam. Czekam na koniec lekcji i pakuję rzeczy. Patrzę, jak Lipton robi to samo, i liczę na to, że znów na mnie spojrzy, a ja wtedy się uśmiechnę i powiem mu komplement.

Ale na mnie nie patrzy. Potem wychodzi, a ja tracę szansę, więc znowu wpadam w panikę.

- Ładne skarpetki! - wykrzykuję w panice.

Nie tak to chciałam ująć.

Odwraca się i patrzy na kostki.

Jeremy Everling śmieje się i pokazuje skarpetki Liptona oraz wpuszczoną w jedną z nich nogawkę.

- Ładne - mówi. - Bardzo stylowe.

Lipton nie schyla się, żeby poprawić nogawkę, tylko się na mnie gapi. Ma jeszcze gorszą minę, niż gdybym go spoliczkowała. Teraz wygląda tak, jakbym zabiła mu psa czy coś.

- Niefajnie - mówi Adam, kręcąc głową.

Patrzę, jak odchodzą. Sala pustoszeje. Ryk odkurzaczy zmienił się w szum i nagle uświadamiam sobie, co zrobiłam. Było tak, jakbym próbowała jechać w gęstej mgłę i nie wiedziała dokąd. Teraz mgła się uniosła i widzę, gdzie źle skręciłam, ale jest za późno. Spadam z urwiska.

Nigdy nie odnajdę drogi do Liptona, do Jenny, do nikogo.
Utkwiłam tu, na dnie wąwozu, znowu sama.

Rozdział 17

Przez resztę tygodnia chodzę do redakcji, wybieram zdjęcia, usuwam wulgarne gesty, dłubiących w nosie i drapiących się po krocach. Przycinam, porządkuję, kiwam głową, uśmiecham się. Słucham burzy mózgów Marva, Beth Ann i Marissy na temat tego, co zrobić, żeby ta księga została zapamiętana po wsze czasy.

Ani trochę mnie to nie obchodzi.

Lipton nie proponuje mi już orzechowych m&m'sów. Nie trąca mnie, kiedy odpływam, nie mówi mi, na której jesteśmy stronie. Nawet na mnie nie patrzy. A ja nie noszę pustej torebki po m&m'sach, bo tylko mi przypomina, co zaprzepąściłam.

Chodzę do szkoły. Wracam do domu. Odrabiam lekcje. Jem. Śpię. I od początku.

Nie sprawdzam, co u Observi. W ogóle nie loguję się na Instagramie. Pewnego dnia na korytarzu Adrian Ahn celowo rzuca we mnie pałką, ale nawet tego nie zauważam, dopóki nie jest za późno. Pałka trafia mnie w ramię i spada na podłogę.

- Przepraszam - mamroczę i idę przed siebie.

Powinnam być zakłopotana, ale nie jestem.

- Vicky! - woła za mną. - Hej!

Hm. Adrian wie, jak mam na imię. Wykrzyczał je na

korytarzu, a ja nic nie czuję. Nic a nic.

To odrętwienie jest początkowo całkiem miłe, bo nic nie wytrąca mnie z równowagi. Nie obchodzą mnie spojrzenia ludzi ani ich śmiechy. Jeśli myślą, że jestem dziwna, głupia albo brzydka, to nawet tego nie zauważam.

Pewnego dnia uświadamiam sobie, że stoję przed drzwiami gabinetu pani Greene. Nie jestem pewna, jak tam dotarłam ani w jakim celu, jednak zanim odejdę, pani Greene podnosi wzrok i patrzy na mnie z uśmiechem.

- Cześć, Vicky - mówi. - Chcesz wejść?

Łatwiej jest wejść, niż wymyślać wymówki, więc wzruszam ramionami i siadam na jednym z jej wygodnych foteli.

Pani Greene wstaje i zamyka drzwi, ale milczy.

Siedzimy w ciszy. Wodzę spojrzeniem po rozciągniętym w gabinecie sznurku rozmigotanych lampek. Spoglądam w jedną stronę i w drugą, w jedną i w drugą. Odnoszę wrażenie, że daję się zahipnotyzować. Zastanawiam się, czy pani Greene rozwiesiła lampki celowo.

- Wyczuwam, że masz jakieś kłopoty - mówi po dłuższej chwili. - Chcesz o tym porozmawiać?

Zastanawiam się. Mam okazję powiedzieć jej wszystko, co mogłoby mi pomóc.

- Nie, dziękuję - mówię tylko.

Przygotowuję się na gadkę motywacyjną, coś w stylu mojej mamy. Pani Greene dotrzymuje jednak słowa i nie zmusza mnie do mówienia. Pracuje przy komputerze, a ja siedzę z zamkniętymi oczami i tylko oddycham.

Oddycham.

Czasem czuję, że to wystarczy. Jestem taka zmęczona. Upewnianie mamy, że wszystko ze mną w porządku, pochłanianie całą moją energią, podobnie jak siedzenie sztywno na lekcjach, kiedy tak naprawdę chcę tylko oprzeć głowę o blat i zamknąć oczy, zachowywanie pozorów i nieplakanie, kiedy Lipton udaje, że mnie nie widzi.

Kiedy w końcu wychodzę z gabinetu pani Greene, widzę przed nim Hallie Bryce. Wita się ze mną, a ja się na nią gapię, czekając na zwyczajowy przyływ paniki. Kiedy nie nadchodzi, też witam Hallie, a ona sunie obok mnie. Za progiem jednak garbi się i opada na fotel, jakby nie mogła już wytrzymać w wyprostowanej pozycji. Doskonale rozumiem, jak się czuje.

Pani Greene bez pośpiechu zamyka drzwi.

Nie ruszam się, nie od razu, bo po raz pierwszy w tym tygodniu pozwoliłam sobie coś poczuć.

I to nie był mój ból.

Szkoda mi Hallie Bryce.

Zaczynam się czuć jak dawna ja. Nie ja w najlepszej formie, kiedy była tu Jenna, ale jak ja sprzed tygodnia, zanim zawałam sprawę z Liptonem. W rezultacie przypominam sobie, jak okropnie się czułam przed odrętwieniem. A ten ból, który wyczuwała pani Greene? Nie jest tak ostry jak wcześniej, ale nie zniknął. Nadal znajduję się na dnie wąwozu, jednak nie chcę już leżeć na ostrych skałach i cierpieć. Chcę się wydostać.

Tylko nie jestem pewna, jak to zrobić.

W sobotni poranek przed Halloween mama pyta:

- Nie idziesz dzisiaj przypadkiem na imprezę?

Patrzę na nią, mrugając.

- Tę, na którą podarłaś spódnicę? U Marca?

Wtedy przypominam sobie niedawne kłamstwo.

- U Marva - poprawiam ją. - Odwołał.

Mama świdruje mnie wzrokiem.

- Albo po prostu nie chcesz iść - oznajmia podejrzliwie.

W zeszłym tygodniu podsłuchałam, jak mówi tacie, że wpadła na Robertę DiMarco i powiedziała, że świetnie się bawiłam na imprezie u Marissy. Pani DiMarco dziwnie popatrzyła na mamę.

- Vicky u nas była? - spytała.

- Tak, sama ją podrzuciłam! - przytaknęła mama.

Pani DiMarco przeprosiła.

- Był taki tłum, przykro mi, że jej nie zauważyłam - odparła.

- Wiesz, jaka jest Vicky - powiedział ojciec. - Pewnie stanęła w kącie, a Roberta jej nie widziała.

- Nie ma imprezy - mówię teraz.

To prawda, przecież ją wymyśliłam.

- A więc bez sensu zniszczyłaś zupełnie nową spódnicę. - Mama wzdycha. - Chyba możesz ją włożyć do obchodzenia domów i zbierania cukierków. Chociaż wątpię, żeby dzieciaki z okolicy wiedziały, kim masz być.

- Nie rozumieją, że jestem punkową? Przecież to dość popularne.

- Nie, chodzi mi o tą... Jak jej tam? Wszędzie jej pełno w internecie.

Zamieram.

- Tę, co ma pomarańczowo-fioletowe włosy i jaskrawożółtą

spódnicę.

Mrugam. I jeszcze raz.

- Przecież wiesz, o kim mówię. Podpisuje się Obserwatorka czy jakoś tak. - Mama podchodzi do komputera w kuchni i otwiera przeglądarkę, a potem Facebook. Klika myszką i odchyła się, żebym zobaczyła z miejsca przy kuchennej wyspie. - Dobierz sobie tylko jakieś zwariowane okulary, bransoletki i będziesz wyglądała jak ona.

Ześlizguję się z taboretu, podchodzę i zerkam jej przez ramię. Observi dosiada hipogryfa z Harrym. Jedna z przyjaciółek matki zamieściła na swojej stronie na Facebooku link do mojego konta na Instagramie i dodała:

Zawsze chciałam to zrobić! Leć, observi!

Mama odwraca się do zdjęcia i klika, żeby je powiększyć. Wpatruje się w nie przez chwilę, spogląda na mnie i znowu na ekran.

- Wiesz... - mówi i ponownie mierzy mnie wzrokiem.

Rozpoznaje mnie. Trzymam się oparcia krzesła, czekając na zawroty głowy, które zwykle przychodzą w takich momentach. Co dziwne, teraz ich nie mam. Czuję tylko ulgę, że wreszcie nie muszę mieć się na baczności.

- Jestem... - zaczynam.

Chcę powiedzieć: „Jestem Observi”, ale nie mogę. Ona musi to powiedzieć. Ona musi mnie zobaczyć. Mamo, **#ZOBACZMNIĘ**. W końcu.

Mama marszczy brwi, wpatrując się w moją twarz. Wyobraża mnie sobie w peruce, w okularach, ze szminką na

ustach. Jestem tego pewna. Observi niemal zawsze się uśmiecha, więc uśmiecham się do mamy, aby wiedziała, że to ja. Mamo, to ja.

Ona też uśmiecha się łagodnie i ponownie patrzy na ekran.

- Naprawdę udało ci się ją skopiować - mówi. - Szkoda, że nie włożysz tego kostiumu na imprezę

- Tak, szkoda - mamroczę. - Pewnie nigdy nią nie będę.

Mama wzrusza ramionami.

- Może w przyszłym roku.

Wracam do pokoju, cała roztrzęsiona. Przecież właśnie tego chciałam, prawda? Zniknąć. Zagubić się. Zostawić za sobą Vicky i doświadczyć życia jako ktoś całkiem inny. Zrobiłam to. Naprawdę zrobiłam.

A jednak nie byłam w sieci od wielu dni. Całkowicie zignorowałam Observi, nawet nie naładowałam telefonu.

Siadam przy biurku i włączam komputer. Loguję się na Instagramie. Po kilku kliknięciach odnajduję drogę do Observi. Nieważne, ilu ma obserwujących, nie będę ich więcej gromadzić. Po prostu potrzebuję miejsca do ucieczki. Miejsca...

Nie szukam tego wzrokiem, ale liczba obserwujących jest na górze strony i...

Nawet nie potrafię...

Opuszczam głowę między kolana, żeby się powstrzymać od hiperwentylowania i od halucynacji. Jestem pewna, że mi się przywidziało. Oddycham, krew ponownie napływa mi do głowy. Prostuję się, otwieram oczy i widzę.

264k

obserwujących

To... to niemożliwe. To musi być jakaś usterka. Przeglądam wszystkie swoje posty i komentarze, próbuję ustalić, co się stało. Jakim cudem skoczyłam z czternastu tysięcy na ponad ćwierć miliona w sześć dni?

Ćwierć miliona.

Googluję „Observi” i widzę jakieś szaleństwo. Tyle tego jest. Najpierw mój Instagram. Potem Twitter. Okazuje się, że mam tam konto, którego nie zakładałam. Klikam na nie i widzę, że ktoś umieścił zrzut mojego zdjęcia jako ikonkę, a teraz tweetuje wszystkie moje instagramowe posty. Ma dwadzieścia trzy tysiące czterystu dwudziestu obserwujących.

Wracam do wyszukiwania. Następny jest link do wideo na YouTube, „OMG Najlepszy Instagram w Historii”. Ma czterysta trzydzieści siedem tysięcy dwieście pięćdziesiąt osiem wejść, a został zamieszczony przez... o mój Boże. To Rymująca Rhea! Mam jej kanał w obserwowanych od dawna, odkąd go założyła, kiedy miała piętnaście lat, a ja dwanaście. To dzika ruda dziewczyna z Anglii, która wszystko rymuje. Czasem na modłę Szekspira, a niekiedy rapuje albo układa własne wierszyki o tym, co jej chodzi po głowie. Ma dwa miliony sto tysięcy obserwujących. Opis tego filmiku to po prostu: „Observi!”.

Drżącym palcem wciskam strzałkę odtwarzania i wstrzymuję oddech.

Rhea ma na sobie piżamę ze stopami. Mówi: „Cześć, kochani!” brytyjskim akcentem, głosem, który kojarzy się z jedną babką z *Doktora Who*. Rozlega się ścieżka

z beatboxu, a Rhea rytmicznie porusza głową.

*- Dzisiaj jestem piżamowa
I taka instagramowa.
Dziewczyna jedna mi się śni,
Ma super nicka: Observi!*

W prawym dolnym rogu wyskakuje małe okienko z postami z mojego Instagramu.

*- Ma zarąbiście puchaty becik,
Otulić się może jak bułką kotlecik,
Jak zechce to sobie na Księżyc polecie
Z Neilem deGrasse Tysonem. O recik!*

Rhea odrzuca głowę, jakby mdlała. Patrząc na nią zafascynowana, gdy rapuje przez niemal wszystkie moje posty, rymując *Gdzie jest Wally?* z „w szalonej roli”, a potem „hipogryf” z „podryw”. Kiedy kończy, kłania się lekko, ale jeszcze nie kończy. Teraz siedzi w piżamie przed kamerą i przemawia prosto do obiektywu. Nie rymuje.

- Być może od jakiegoś czasu oglądacie moje nagrania - mówi. - Jeśli tak, to wiecie, że czasem dopada mnie depresja. Opowiadam o tym, być może za dużo. Wybaczcie. Ale rozumiecie, prawda? - Milknie, jakby czekała, aż widzowie jej odpowiedzą, i pewnie odpowiadamy, ponieważ ciągnie: - Dziękuję, kochani, jesteście niesamowici. Biorę lekarstwo, które mi pomaga, i wy też bardzo pomagacie. Czasem jednak chcę uciec od życia i być kimś innym, być gdzie indziej.

Unosi ręce w uspokajającym geście.

- Nie na zawsze, kochani. Na godzinę czy na popołudnie. Dlatego tak bardzo lubię tę dziewczynę. Ile razy widzieliście jakieś zdjęcie i myśleliście sobie: „O kurde, chciałabym coś takiego zrobić. Ale jej zazdroszczę. Chciałabym tam być. Chcę to poczuć”. A ona tak robi. Robi te wszystkie wariactwa i uwaga, spojler, to nie jest prawdziwe. Każdy to wie. Ale tak fajnie jest udawać i sobie wyobrażać. Uwielbiam to. Po prostu kocham. Ale nie to jest najlepsze - dodaje. - Najlepsze jest to, że kiedy obserwujący mówią o swoim przygnębieniu albo samotności, ona wyciąga do nich pomocną dłoń. Tak jakby dostrzegała potrzebujących i mówiła: „Nie jesteś sam. Ja jestem tutaj”. To wspaniałe. Jestem jej fanką. Zajrzyjcie do niej.

Przykłada palce do ust i posyła buziaka do kamery.

- Kocham cię, Observi - oświadcza.

Oglądam nagranie raz jeszcze, i jeszcze. Serce bije mi bardzo szybko. Zerkam przez ramię, zastanawiając się, czy to jakiś dowcip. Pół miliona ludzi obejrzało ten film, a połowa z nich dodała mnie do obserwowanych. To szaleństwo. Ja tylko wklejam się w cudze zdjęcia, używając Photoshopa. Każdy mógłby to robić, wystarczy kilka lekcji i odrobina praktyki. Nic w tym wyjątkowego.

Czytam komentarze pod filmem, są ich setki, w rodzaju:

OMG KOCHAM JA.

Dzięki. Potrzebowałem tego.

Czasem mogę przeżyć tylko dzięki fantazji.

Cieszę się, że nie jestem sama. A może jestem? Psiakość, jestem.

Potem kilkanaście osób zostawia komentarze, zapewniając tę ostatnią osobę, że nie jest sama. To jak wielki zbiorowy uścisk.

Przez godzinę oglądam nowe filmy Rymującej Rhei, żeby nadrobić zaległości, a także powracam do starych ulubionych nagrań. Rhea rapuje o książkach, muzyce i o ukochanych serialach, ale także o codziennych rzeczach, takich jak praca domowa czy mama, która doprowadza ją do szaleństwa. Rapuje też o depresji. „Nie wierz w kłamstwa, które ci wciska, że żadna osoba nie jest ci bliska...”

Nie mogę uwierzyć, że mnie lubi. Kocha.

No cóż, nie mnie. Kocha Observi. Kocha dziewczynę, którą udaję. Kocha samo udawanie. Kocha to, że odpowiadam obserwującym, którzy są *#samotni* i *#przygnębieni*, czego Vicky nigdy by nie zrobiła. Vicky codziennie widzi Raja w szkole i wie o jego samotności, ale jest zbyt tchórzliwa, żeby cokolwiek do niego powiedzieć.

Jestem do niczego.

Za to Observi ma dwieście sześćdziesiąt cztery tysiące obserwujących i ich liczba rośnie. Wyszukuję Rymującą Rheę na Instagramie i po raz pierwszy klikam „Obserwuj”. Nie ma aż tylu obserwujących na Instagramie, co na YouTube, tylko trzydzieści siedem tysięcy. Śmieję się, bo to idiotyczne, że trzydzieści siedem tysięcy to teraz dla mnie niewiele. Przeglądam zamieszczone przez nią zdjęcia. Zwykle to zrzuty z jej filmów i tekst: „Dziś zamieściłam nowe wideo. Kliknijcie

na link w moim profilu”.

Są tam też zdjęcia jej kota.

Jakby na sygnał, Kat miauczy pod moimi drzwiami, więc ją wpuszczam. Sadowi się na łóżku, a potem zaczyna bawić się czymś na kołdrze. To zagubiona bransoletka Observi.

Podnoszę ją i kładę na łebku Kat jak miniaturowy diadem. Kat zrzuca bransoletkę i bawi się nią jeszcze przez chwilę, całkiem jakby chciała, żebym ja ją włożyła. Wyciągam kostium z szafy, biorę dwukolorową perukę i drapuję ją na łebku kota.

Kat szybko uwalnia się od peruki i na nią syczy.

- No, daj spokój - mówię kojącym tonem.

Rzuca mi niechętnie spojrzenie i się przeciąga, całym ciałem, ogon i tyłek sterczą jej w powietrzu, przednie łapy wyciąga przed siebie, szeroko ziewa, unosząc pyszczek ku górze. Wygląda, jakby uprawiała jogę. Potem zmienia pozycję, wyciąga tylne łapy za siebie, niczym w pozycji „kociej deski”, ale z jedną z tylnych łap w powietrzu. Chwytam telefon i robię zdjęcie. Gdy rozciąga się po raz trzeci, przytrzymuję perukę na jej łebku, żeby było widać ziewanie, a drugą ręką znów robię zdjęcie. Kat wygląda prześmiesznie. Wydaje się bardzo wkurzona.

- Och, biedny kotek.

Biorę ją na ręce i próbuję pogłaskać, ale teraz jest spłoszona. Chowa się pod łóżkiem.

Doskonale wiem, co czuje.

Zsuwam się na podłogę, cmokam i przemawiam pieszczotliwie. Kat podchodzi w końcu na tyle blisko, że mogę podrapać ją po łebku, a potem pozwala się wziąć na ręce.

Pokazuję jej zdjęcia, ładując je z telefonu do komputera. Kat mruczy.

Observi od wielu dni niczego nie zamieściła, ale pod ostatnim postem pojawiło się sporo komentarzy z pytaniem, czy wszystko u mnie w porządku. Niektórzy obwiniają nowych obserwujących o to, że mnie wypłoszyli. Kłócą się między sobą i snują domysły, gdzie zniknęłam i dlaczego. Część twierdzi, że chodzi o nadmiar uwagi. Jakaś osoba sugeruje, że to miało być konto tylko dla moich przyjaciół. Naskakuje na nią tuzin innych, pytając, czy zna mnie osobiście. Kilkoro obserwujących twierdzi, że chodzi ze mną do szkoły, ale mieszkają w Wielkiej Brytanii, Kanadzie lub Singapurze, więc to nieprawda.

Kilka osób najwyraźniej zna mnie lepiej, niż ja znam samą siebie.

realllaubrey *Zrobiła sobie przerwę.*

mieszkamwnorce *Wróci, gdy będzie gotowa.*

donatydla każdego *Pewnie ma pracę domową, jak reszta nas, frajerów.*

Zerkam z niechęcią na obłężenie Jerozolimy i przeciągam ostatnie zdjęcie Kat do Photoshopa. Dwadzieścia minut później Kat tańczy hula na hawajskiej plaży, w mojej peruce, z dodaną Photoshopem pociętą żółtą spódnicą, bransoletkami i okularami przeciwsłonecznymi. Naturalnie, tymi kocimi.

Wygląda wspaniale.

Umieszczam zdjęcie na koncie i podpisuję:

Wybaczcie, nie było mnie, ale spadłam na cztery łapy. Już mi lepiej.

Naprawdę jest mi lepiej. Nie wiem, czy to ze względu na szaleńczą liczbę obserwujących, miłość Rymującej Rhei czy też może dzięki kilkudniowemu odrętwieniu. Dalej czuję ciężar na piersi, ale nie przygniata mnie już tak bardzo.

Wpatruję się w swoją instagramową stronę, w jedynekę nad ikonką „Obserwowani” i zastanawiam się, czy Rymująca Rhea wie, że tylko ją obserwuję. To pewnie dziwnie wygląda, ale obserwowanie ludzi takich jak Raj, Hallie czy Adrian by mnie zdradziło. Klikam wyszukiwanie i sprawdzam część osób, które pokazywała Obserwi. Jest Neil deGrasse Tyson, chociaż nigdy nie zamieszcza żadnych postów i nie jestem pewna, czy to on. Mimo to i tak dodaję go do obserwowanych. Jest jeszcze Jimmy Fallon, który ma siedemset osiemdziesiąt tysięcy obserwujących, dystansując mój skromny fandom o wiele długości. Na PBS jest oficjalna strona *Poldark – Wichry losu*, więc i ją obserwuję. I jeszcze Foo Fighters. Dorzucam jeszcze Neila Patricka Harrisa i Willa Smitha na okrasę.

Nikt z nich nie będzie mnie obserwować, i w porządku. Rymująca Rhea mnie obserwuje, a także ćwierć miliona nieznanych mi ludzi. Oraz Raj. Szukam jego Instagramu i proszę bardzo, jest, razem z codziennym selfie. Dziś Raj włożył jasnoniebieską koszulę z guzikami. Prawie pora obciąć włosy, Raj. Przeglądam jego zdjęcia, jedno po drugim. Wygląda to jak film poklatkowy. Potem wracam do ostatniego zdjęcia.

Tym razem dodał hashtag *#samotność*. Wcześniej tego nie

robił.

Wpatruję się w to słowo, aż przestaje wyglądać na prawdziwe. Przesuwam kursor do okienka komentarza i przez chwilę się zastanawiam.

Potem wstrzymuję oddech i piszę:

observi *Raj, nie jesteś sam. Widzę Cię.*

Rozdział 18

W poniedziałek w szkole upewniam się, że Raj mnie nie widzi, ale obserwuję go z daleka. Wydaje się chodzić nieco bardziej sprężystym krokiem i chociaż się nie uśmiecha, rozciąga usta w zdecydowanie pogodny sposób.

Podchodzę do szafki, chociaż Hallie stoi obok.

- Cześć. - Uśmiecha się do mnie.

- Cześć. - Odwzajemniam uśmiech.

Wyjmujemy rzeczy z naszych szafek, odkładamy płaszcze, a przez cały czas serce wali mi jak oszalałe i oblewa mnie pot. A jednak to zrobiłam. Przywitałam się z Hallie Bryce, już dwukrotnie, i nie umarłam.

Docieram wcześniej na historię, żeby zostawić liścik na ławce Liptona. Odrywam maleńki skrawek papieru, szeroki na kilka centymetrów i długi na centymetr i gryzmołę wiadomość:

Przepraszam.

Zostawiam karteczkę, ale kiedy Lipton wchodzi do klasy, kładzie książki na liściku. Adam jak zwykle marszczy brwi na mój widok, a Lipton udaje, że nie istnieję. Od tamtego okropnego dnia ani razu na mnie nie spojrzął.

Po lekcji liścik nie leży już na ławce. Pewnie przywarł do zeszytu albo do ręki Liptona i zostawił ślad, jak tatuaż, tyle że lustrzany. Lipton przez resztę dnia będzie się zastanawiał,

skąd się wziął napis „mazarpezp” na jego skórze i co to znaczy. Albo zobaczy go w lustrze, gdy wieczorem będzie mył zęby.

We wtorek próbuję ponownie. Tym razem jednak wyłobiliłam napis „Przepraszam” na ściance ołówka, używając jednego z kuchennych noży mamy. Wchodzę do klasy i podrzucam ołówek na ławkę Liptona.

Lipton przychodzi, bierze ołówek i rozgląda się wokół. Jestem niemal pewna, że patrzy również na mnie. Kładzie książki na blacie i delikatnie umieszcza ołówek w pionowym zagłębieniu pośrodku otwartego podręcznika. Ani przez moment nie trzyma ołówka bokiem, żeby przeczytać wyryty napis.

Pan Braxley staje pośrodku Sali i taśmą samoprzylepną przykleja do ściany dużą kartkę papieru.

- To jest terminarz waszych prezentacji - oznajmia. - Będziemy urządzali po dwie tygodniowo, aż dotrzemy do ostatniej. Ponieważ ostateczny termin przygotowania prezentacji przypada w poniedziałek, nikt nie poczuje się poszkodowany. Wszyscy powinniście być gotowi na poniedziałek, prawda?

Ludzie bez przekonania kiwają głowami. Na sto procent nikt się nie przygotował.

- Mimo to pierwsza grupa dostanie premię w postaci dziesięciu punktów - dodaje pan Braxley.

Wszyscy wstają, żeby się zapisać, ale pan Braxley zagania ich z powrotem do ławek.

- Jeszcze coś - mówi z uśmiechem. - Trzeba zasłużyć na

wpisanie się do terminarza. W tym celu należy prawidłowo odpowiedzieć na moje pytania.

Jęczą wszyscy poza Liptonem, który się prostuje. Gdyby to był teleturniej i przed udzieleniem odpowiedzi należało błyskawicznie wcisnąć czerwony guzik, zawisłaby nad nim ręka Liptona.

Mnie paraliżuje podwójny strach: przed uniesieniem ręki i udzieleniem odpowiedzi w klasie, oraz przed znalezieniem się na przerażającym pierwszym miejscu w terminarzu. Samo przedstawienie prezentacji jest przerażające, a wystąpienie na samym początku? Wolalabym natychmiast paść trupem.

Pan Braxley zaczyna powtórkę materiału przed nadchodzącą klasówką i co jakiś czas zadaje pytanie.

- Pierwszy chrześcijański cesarz?

Lipton daje się zaskoczyć i za późno podnosi rękę, więc odpowiada Renee Prusso.

- Konstantyn - mówi.

Pan Braxley wskazuje na terminarz. Renee piszczy i szybko konsultuje się z członkami swojej grupy, po czym biegnie do arkusza i wpisuje się na ostatnim miejscu. Wszyscy jęczą, bo każdy chciał być ostatni, ale ja się cieszę. Ostatnie miejsce jest prawie równie kiepskie jak pierwsze, bo oznacza czekanie, oglądanie wszystkich pozostałych i świadomość, że fatalnie się wypadnie w porównaniu z nimi.

Znowu skupiam uwagę na panu Braxleyu. Mówi o okresie pokoju i dobrobytu, który trwał przez dwieście lat, mniej więcej w dwóch pierwszych wiekach naszej ery.

- Ktoś wie, jak się nazywał ten okres?

Lipton podnosi rękę przed innymi, a pan Braxley kiwa głową.

- Pax Romana - oznajmia Lipton bez tchu.
- Co oznacza?
- Rzymski pokój.

Lipton uśmiecha się szeroko i pędzi do arkusza, ignorując kasznięcie Jeremy'ego Everlinga, które brzmi podejrzenie jak „Skarpetki!”. Wpisuje temat prezentacji gdzieś pośrodku.

Tortury się ciągną. Czasem znam odpowiedź, ale nie potrafię się zmusić do podniesienia ręki. Pod koniec lekcji tylko ja jeszcze się nie wpisałam. Pan Braxley kieruje na mnie wzrok.

- Jeśli nie ma cię w terminarzu... - mówi i wskazuje ołówkiem arkusz.

Pakuję rzeczy i idę do tablicy, kiedy wszyscy inni wychodzą z klasy. Puste pierwsze miejsce w terminarzu zdaje się ze mnie szydzić. *Poniedziałek*. Pierwsza prezentacja. Przedstawienie tematu, którego nawet nie zaczęłam.

Ręka mi drży, gdy unoszę ołówek. Zanim jednak zdążę napisać słowo „Obleżenie”, inna ręka, z własnym ołówkiem, zawisa nad moim ramieniem.

To ołówek, na którym napisałam: „Przepraszam”. Wymazuje „Bitwę pod Termopilami” z trzeciego okienka od końca i pisze tam: „Obleżenie Jerozolimy”. Oszołomiona, robię krok do tyłu, a Lipton umieszcza w pierwszym okienku nazwę swojej prezentacji. Adam czeka w drzwiach i kręci głową.

Lipton i ja stoimy tuż obok siebie. Od dawna nie znajdowałam się tak blisko drugiego człowieka. Lipton ma

delikatny, ledwie widoczny blond zarost na górnej wardze. Na jego prawym policzku dostrzegam dołeczek, który teraz unosi się wraz z krzywym uśmiechem zaciśniętych ust.

Bezgłośnie mówię: „Dziękuję”, bo nie wydobędę z siebie nic więcej w bliskiej obecności tego dołeczka.

Lipton wzrusza ramionami, wtyka za ucho ołówek z napisem „Przepraszam” i wychodzi.

Rozdział 19

Przez resztę poranka błędzę myślami wokół chwili z Liptonem, licząc na jego wybaczenie. Czuję się prawie tak, jakbym płynęła na ramionach tłumu podczas koncertu Foo Fighters. W najgorszym razie udało mi się uniknąć upadku na twarz.

Wiem, że na to nie zasługuję.

W redakcji trwa burza mózgów na temat: „Co zrobić, żeby księga rocznikowa nie była do niczego?”. Marissa chce przełomu, żeby mogła napisać o tym w swoich podaniach na studia i zgarnąć za to nagrody.

- Możemy nie robić ośmiu stron o futbolu? - pyta Marvo, przeglądając zeszłoroczną księgę. - I dlaczego pomponiary dostają dwie strony, a klub gejów i lesbijek tylko jedno beznadziejne zdjęcie? Zapewniam, że w tej szkole jest więcej dzieciaków LGBTQ niż cheerleaderek.

- Tak, ale nie noszą miniówek i nie budują piramid - oświadcza Beth Ann z nieszczerym uśmiechem.

Marvo kręci głową.

- Niektórych dzieciaków w ogóle tu nie ma. Ja w zeszłym roku byłem na pięciu zdjęciach, a ty?

- Na trzech - odpowiada Beth Ann.

Marissa wzdryga się wymownie.

- Na szesnastu - mówi.

Wszyscy patrzą na mnie.

Wzruszam ramionami, jakbym nie pamiętała, że w zeszłym roku nie pojawiłam się na ani jednej fotografii. Celowo zaszyłam się w łazience, kiedy robili zdjęcia pierwszoklasistom.

Marvo przegląda indeks z tyłu książki, gdzie alfabetycznie zapisano wszystkich uczniów, a przy nich numery stron, na których są zdjęcia. Moje nazwisko też tam jest, ale nie ma ani jednego numeru.

Marvo podnosi wzrok.

- W ogóle cię nie było w zeszłorocznej księdze? - pyta, a ja kręcę głową. - To nie w porządku.

- Jest okej - mówię cicho.

- Nie, nieprawda.

Przeogląda księgę i zatrzymuje się na dwustronicowym kolażu najbardziej znanych i lubianych dzieciaków z przyjaciółmi. Wszyscy się obejmują, uśmiechają, śmieją. Marissa jest na co najmniej trzech zdjęciach. Tytuł kolażu to „Przyjaciele!”, jednak oczywisty podtytuł brzmi: „Nie żałujesz, że nie jesteś nami?”.

Marvo wskazuje na dzieciaka z poważną miną, który stoi gdzieś w tle.

- Chcę wiedzieć, kto to jest - oznajmia i pokazuje inną osobę. - I kim jest ona.

W zasadzie pokazuje wszystkie osoby, które powiększyłam, kiedy zdarzyło mi się zostawić otwarte zdjęcia na monitorze.

Cała trójka przez chwilę spiera się o to, jak zidentyfikować dzieciaki, które „chowają się na widoku”, są „nieoszlifowanymi

diamentami” oraz „starannie skrywanym sekretem”. Beth Ann sugeruje, żebyśmy jechali po nich stereotypami, aż dzieciaki się ujawnią. Zerka na mnie.

- Nie wszyscy lubią być w centrum uwagi - mówi.

Marvo chichocze.

- No co? - Beth Ann marszczy brwi. - Nie wszyscy tak bardzo pragną być w centrum uwagi jak ty.

Marvo odchyła się i posyła jej uśmiech.

- Zdziwiłabyś się.

Teraz naprawdę panikuję.

- No to kogo zamieścimy w naszej sekcji osób, które zwykle nie wyskakują przed szereg? - Marissa otwiera kołonoatnik na czystej stronie i w pierwszej linijce wpisuje numer jeden. - Potrzebuję nazwisk.

- Vicky Decker - mówi Marvo.

Wstrzymuję oddech, spodziewając się, że powie „Observi”, ale on tylko się uśmiecha i dodaje:

- Tajna broń redakcji księgi rocznikowej. Na pewno ma jakieś świetne pomysły. Prawda, Vicky?

Marissa spogląda na mnie, gotowa zapisać moje nazwisko. Jeśli Marvo wie o Observi, najwyraźniej nie zamierza mnie wydać. Na razie. Powoli unoszę rękę.

- Nie musisz podnosić ręki, Vicky - mówi Marissa.

Natychmiast opuszczam dłoń i przyciskam ją do brzucha.

- Przepraszam - mamroczę.

- Nie musisz przeproszać.

Niemal przepraszam po raz drugi, ale w porę gryzę się w język.

- No więc... Czy chcesz, żebyśmy o tobie napisali? - pyta.

- Nie - zaprzeczam. - Dziękuję. - Opuszczam spojrzenie na kolana, które podskakują, więc przyciskam do nich ręce. - Pomyślałam, że moglibyśmy się skupić na uczniach, którzy zajmują się czymś poza szkołą. Na przykład Hallie Bryce jest tancerką. - Zerkam na Marissę. - A Adrian Ahn ma kapelę.

Marissa z uśmiechem zapisuje nazwiska.

Myślę o innych dzieciakach, które odkryłam w sieci, sprawdzając tylko, kto obserwuje kogo i przez kogo sam jest obserwowany.

- Elizabeth Gaffey piecze niesamowite babeczki - dodają. - Darla McMann wyprowadza psy rozmaitych ludzi i codziennie musi chodzić piętnaście kilometrów. Becca Eliason lakieruje paznokcie tak, żeby pasowały do książek, które czyta. A Geoffrey Phillips pomaga dziadkowi skonstruować samochód wyścigowy. To fajne.

Marissa wciąż pisze, a ja mówię coraz szybciej.

- Jest jeszcze taka jedna Felicity, zajmuje się graffiti z włóczki. Robi na drutach szaliki i owija nimi drzewa. A Joshua Devon świetnie jeździ na desce. Potrafi robić niesamowite flipy. - Milknę, ale tylko na krótką chwilę. - Lindy Johanssen robi biżuterię z zawleczek od puszek i z agrafek. To brzmi jak jakaś tandeta, ale te rzeczy są naprawdę bardzo piękne i delikatne. A... Raj Radhakrishnan...

Podnoszę wzrok. Marissa już nie pisze. Pewnie za dużo gadam, ale nie mogę przestać.

- No więc, Raj robi interesujące selfie. Codziennie staje w tym samym miejscu, ale oczywiście zmienia ubranie, a co

kilka tygodni chodzi do fryzjera. No i zmienia się położenie przedmiotów w pokoju. To takie... fascynujące - dodaję szeptem.

Marvo odchyła się na krześle i cicho gwizdże.

- Wow - mówi Beth Ann.

Marissa zamyka notatnik.

Nie pamiętam, kiedy ostatnio wypowiedziałam tyle słów naraz, nawet podczas słowotoków. Teraz brak mi tchu, ale jestem dziwnie ożywiona.

Dzwoni dzwonek i Marissa się uśmiecha, ale tak, jakby ktoś trzymał jej pistolet przy głowie i zmuszał ją do odczytania żądań porywaczy.

- Świetne pomysły, Vicky. Będziemy nadal... urządzić burzę mózgow, ale to dobry początek. Naprawdę dobry.

Odsuwa się ode mnie, po czym wychodzi z redakcji. Beth Ann idzie w jej ślady, ale Marvo przytrzymuje drzwi.

- Idziesz, Vic?

Zbieram rzeczy i śpieszę do wyjścia. Czuję się jak kot, którego głaskano pod włos. Jestem gotowa zaszyć się w jednej z moich kryjówek, ale się waham. Zastanawiam się, ile czasu zajmie mi dotarcie do łazienki, a ile do gabinetu pani Greene. Tyle że ktoś może u niej być, więc chyba lepiej iść prosto do łazienki, ale jeśli wszystkie kabiny będą zajęte, to...

- Przejdź się ze mną - proponuje Marvo.

Nawet sobie nie uświadamiałam, że nadal tam stoi. Bierze mnie za rękę, kładzie ją na swoim ramieniu i idziemy. O mój Boże, idę z Marvem korytarzem. Nigdy nie chodziłam po korytarzu z nikim poza Jenną, przynajmniej nie celowo. Inni

szli w pobliżu albo obok mnie przez zaledwie kilka sekund, nie zdarzało się jednak, żeby ktoś chodził ze mną. Zawsze zwalniałam albo przyśpieszałam, żeby zachować należyty dystans.

Tymczasem Marvo idzie ze mną pod rękę i dostosowuje krok do moich nerwowych kroczków.

- Znasz tych wszystkich ludzi? - pyta. - Nigdy nie widziałem, żebyś z kimś rozmawiała.

- Ja... Właściwie nie...

- Ale naprawdę są fascynujący. Włóczkowe graffiti!

Ruszamy dalej, a kumple Marva mówią: „Cześć” i dziwnie na mnie patrzą. Usiłują nas połączyć w parę, a przecież wcale do siebie nie pasujemy i naprawdę muszę iść do najbliższej łazienki.

- ...to znacznie lepsze niż osiem stron futbolu - ciągnie Marvo. - Albo piramidy pomponiar. Piramidy są świetne, rzecz jasna, nie chciałem urazić żadnej cheerleaderki, ale co roku publikować to samo...

Naprawdę próbuję go słuchać, ale nie mam podzielnej uwagi, a teraz myślę wyłącznie o tym, że się pocę i boję się, że Marvo za chwilę wyczuje wilgoć na mojej ręce.

Nagle widzę, że Lipton idzie w naszym kierunku, a na mój widok jego oczy błyszczą. Uśmiecha się i pokazuje dołeczek, jednak potem jego wzrok wędruje do mojej ręki splecionej z ręką Marva i błysk w oku Liptona znika, podobnie jak dołeczek.

Marvo nadal beztrosko gawędzi, ale Lipton odchodzi. Nie mogę znowu na to pozwolić, więc ruszam ku niemu, ciągnąc za

sobą Marva. Docieram do Liptona i łapię go za przegub.

Lipton odwraca się ze zdumieniem.

- Lipton, cześć! Cześć - mówię bez tchu. - To Marvo. Pracujemy razem nad księgą rocznikową. No właśnie. To on.

Nieporadnie zabieram rękę z ramienia Marva. Po chwili zamieszania oczy Liptona znowu błyszczą.

- Cześć. - Kiwa głową w kierunku Marva.

Marvo odpowiada tym samym.

- Cześć.

- Lipton to dobry kandydat do opisania w naszej księdze - mówię do Marva.

Obaj marszczą brwi.

- Gra w *Minecraft*! - oświadczam. - Jest też bardzo bystry i miły. I wiesz, inny niż większość. Taki jak ci, o których rozmawialiśmy.

Marvo wygląda tak, jakby miał lada chwila wybuchnąć śmiechem, i mam nadzieję, że będzie się śmiał ze mnie i z mojego idiotycznego zachowania, a nie z Liptona. Ale się nie śmieje, tylko znów kiwa głową.

- Super - mówi.

Tymczasem twarz Liptona przybrała interesujący odcień czerwieni.

- Miło było cię poznać, stary - mówi Marvo. - Na razie, Vic. Odchodząc, odwraca się i pozdrawia nas od niechcienia.

Przełykam ślinę.

- Przepraszam, to było... Nie chciałam, żebyś...

- W porządku - przerywa mi Lipton szybko.

Zerka na swoje stopy. Zauważam skrawek skarpetki,

zwyczajnej, białej, sportowej skarpetki, a nie typowej dla niego czerwonej, niebieskiej czy żółtej. Smutno mi, że to przeze mnie, że odebrałam mu radość, którą czerpał ze skarpetek.

- Przepraszam za tamten dzień - mamroczę. - Wtedy, kiedy zapytałeś... No wiesz, czybym chciała...

- Poglaskać mojego kota? - Krzywi się. - Jestem idiotą.

- Nie, wcale nie. To ja jestem. Denerwuję się przed ludźmi, a potem... twoje skarpetki i Jeremy...

Zamykam na chwilę oczy, sfrustrowana swoją nieumiejętnością dokończenia zdania. Słowa mieszają mi się tak, jak myśli tamtego dnia.

- To nie była twoja wina - mówi cicho. - Nie powinienem był cię pytać przy wszystkich. To było głupie.

- Ja jestem głupia. - Kręcę głową. - Jeremy jest głupi.

Lipton parska śmiechem.

- O to się nie obwiniaj. W sumie Jeremy dręczy mnie od przedszkola. Mogłabyś powiedzieć, że uwielbiasz moje skarpetki, i to szczerze, a on i tak by się ze mnie nabijał.

- Ale ja uwielbiam twoje skarpetki. - Zerkam na jego stopy.
- Te kolorowe.

- Poważnie?

Kiwam głową z uśmiechem. Na dźwięk śmiechu Liptona czuję, że kamień spada mi z serca.

- To co, widzimy się jutro na lekcjach?

- Tak - odpowiada Lipton. - Do zobaczenia.

Prawie się zderzamy, próbując się ominąć. Lipton robi krok w bok i gestem pokazuje, żebym poszła pierwsza.

Idę prosto do gabinetu pani Greene, bo czuję się dobrze i nie chcę, żeby to minęło. Drzwi są otwarte, światelka się palą. Pani Greene podnosi wzrok i machnięciem ręki zaprasza mnie do środka.

Siadam i oddycham, a pani Greene mi na to pozwala. To prawie jak rozmowa. Prawie.

- Wydajesz się dzisiaj szczęśliwa - mówi po pewnym czasie.

Kiwam głową i pozwalam sobie na lekki uśmiech.

Po raz pierwszy od dawna nie mogę doczekać się jutra.

Reszta tygodnia jest usłana drobnymi chwilami szczęścia, przez co zastanawiam się, czy mam halucynacje, czy też wyobraźnia płata mi figla. Kiedy ręka Liptona muska moją podczas rozdawania zestawów zadań na lekcji, wbijam paznokcie w dłoń, aby się upewnić, że nie śnię.

Pięć minut później przyłapuję się na tym, że z roztargnieniem głaszczę miejsce, w którym mnie dotknął. Jak jakaś dziwaczka.

Kiedy wchodzę do klasy, wciąż znajduję liściki na swojej ławce. Kolejne ksero informacji o oblężeniu Jerozolimy. Maciupenki papierek z napisem „Hej” złożony w jeszcze bardziej maciupenki kwadracik. Zdjęcie kota Liptona z podpisem:

Tęsknię za Tobą. - K.

Oddzieram nieco większy kawałek papieru i odpisuję:

Imię Twojego kota zaczyna się na K?

Lipton odwraca kartkę i też coś pisze, po czym mi ją oddaje.

Tak.

Nie napisał jednak imienia, więc odpisuję:

Powiesz mi, co to za imię?

Przez chwilę przygląda się mojemu liścikowi, postukując ołówkiem o brodę. W końcu pisze coś na kartce, po czym składa ją raz, drugi i trzeci, aż jest supermaleńka.

Rozkłada ją raz, drugi i trzeci, żeby przeczytać wiadomość.

Kicia.

Uśmiecham się. To po prostu zbyt idealne. Opuszcza głowę, znów coś pisze, po czym rzuca mi kartkę.

A Twój?

Marszczę czoło. Skąd wie, że mam kota? Przez krótką chwilę jestem pewna, że widział jego zdjęcie na koncie Observi i wie, że ona to ja. Kiedy nie odpowiadam od razu, Lipton znowu odrywa kawałek kartki, pisze coś, co wydaje się superdługą wiadomością i rzuca mi ją na kolana.

Jak Twój kot ma na imię? Widać, że jesteś kociarą, więc założyłem, że masz kota. Chyba że zdechł. O Boże, powiedz, że Twój kot nie zdechł. Ale palant ze mnie.

Przygryzam wargę, żeby się nie uśmiechnąć, ale kąciki moich warg same się unoszą. Ten liścik przypomina trochę

jeden z moich słowotoków. Czy to możliwe, że inny ludzki umysł funkcjonuje podobnie do mojego?

Odpisuję po drugiej stronie liściku od Liptona:

Nie jesteś palantem.

A mój kot ma na imię Kat.

Lipton czyta i śmieje się głośno, nie panując nad radością. Wszyscy gapią się na niego, pan Braxley też, a ja wstrzymuję oddech. Lipton wrzuca liścik do ust, całkiem jakbyśmy wymieniali się najważniejszymi tajemnicami na świecie.

Adam okazuje niezadowolenie, odstawiając popisowy numer z waleniem głową o ławkę. Pan Braxley bez słowa wskazuje kosz na śmieci przy swoim biurku. Lipton przewraca oczami, idzie tam, wyciąga papier z ust i wrzuca go do śmieci. Wszyscy rechoczą.

Umieram z zażenowania.

Lipton jednak uśmiecha się do mnie, gdy wraca na swoje miejsce, a ja zapominam o całym świecie i odpowiadam uśmiechem. Jest trochę tak jak wtedy, gdy Jenna potrafiła naprawić sytuację, trącając mnie i mówiąc: „Hej”. Nie sądziłam, że ktoś jeszcze ma taką moc, a tu proszę bardzo, pojawił się Lipton.

Czeka na mnie po lekcji. Przez część drogi do następnej klasy oboje milczymy. Nagle Lipton się zatrzymuje, i ja też.

- Mógłbym pisać do ciebie wiadomości - mówi cicho. - Gdybym miał twój numer.

Gapię się na jego lewy łokieć, rozważając tę propozycję. Nie stać mnie na bardziej wzrokowy kontakt. Wiadomości od

Liptona na pewno oznaczałyby mnóstwo szczęśliwych momentów w moim życiu, ale znalazłby się w królestwie Observi, bo już tylko dla niej korzystam z telefonu. Nie wiem dlaczego, ale nie chcę go tam.

Chcę go tu, ze mną, z Vicky.

- Nie chcę, żebyś do mnie esemesował - mówię.

Zanim wyjaśnię, Lipton się garbi.

- Okej, w porządku. Ja...

Mój wzrok wędruje do jego oczu, w których widzę ból i zmieszanie.

- Wolę twoje liściki - dodaję szybko. - Na papierze. Bo są...
Sama nie wiem...

- Prawdziwe - kończy za mnie.

- No właśnie. - Kiwam głową.

- Okej.

Znów ruszamy. Materiał jego kurtki ociera się o mój sweter. Dzięki temu kontaktowi jakoś udaje mi się przebrnąć przez resztę poranka.

Podczas przerwy na lunch otwieram drzwi do redakcji i patrzę na listę osób, które zaproponowałam do opisanie w księdze rocznikowej. Kartka wisi na ścianie już od dwóch dni. Przez cały czas spodziewam się, że Marissa ją zedrze i wyrzuci. Nawet nie będzie mi szczególnie smutno. Na razie lista jednak wisi.

Marva dziś nie ma, zjawiłyśmy się tylko my, dziewczyny. Idę do swojego biurka w kącie i klikam na zdjęcia.

- Widziałaś to? - Marissa zwraca się do Beth Ann, która pochyła się, żeby zerknąć na jej ekran.

- Tak. Fajna. Niezły tatuaż. - Podnosi swój czerwony trampek i demonstruje symbol jin-jang na czubku. - Marvo ją uwielbia. Mówi, że to jedyna osoba, która go rozumie. Wielkie dzięki, ale mniejsza z tym. Pociesza go, kiedy ma te swoje dołki. Oby zamieściła dzisiaj jakiś post, żeby przywłókł swój tyłek do szkoły.

Przestaję klikać w chwili, gdy sobie uświadamiam, że mówią o Observi. Staram się nie gapić na Marissę i Beth Ann. Marvo ma dołki? Trudno mi w to uwierzyć. Zawsze się śmieje, gada, jakby nieustannie stał w świetle reflektorów, ciągle odgrywał jakąś rolę. Inna sprawa, że nie widuję go codziennie. W zasadzie bardzo rzadko go widuję.

- Adrian ma obsesję na jej punkcie - mówi Marissa. - Następnym razem chce ufarbować włosy na fioletowo i pomarańczowo.

Wstrzymuję oddech.

- W sumie to fajne - ciągnie Marissa. - Ale byle kto w peruce i z Photoshopem mógłby to zrobić. Nie wiem, o co tyle hałasu.

- Tak, a ja mogłam napisać książkę o chłopcu czarodzieju, tylko nie wpadłam na to pierwsza, prawda? - śmieje się Beth Ann.

- Nie wierzę, że ma tylu obserwujących - wzdycha Marissa.
- I to w sumie dlatego, że wbija się na cudze imprezy.

- To nie tylko to - mówi Beth Ann. - Czytałaś komentarze?

- Tak, rozumiem. WIDZI mnie. - Marissa przewraca oczami.
- Gdybym tylko potrafiła zmusić Adriana, żeby mnie zobaczył. Któregoś wieczoru gadał jak nakrecony tylko o tym, jak fajnie

by było, gdyby Observi przerobiła zdjęcie z jakiegoś ich koncertu.

Bardzo się staram nie dać po sobie poznać, że panikuję. Adrian chce, żeby Observi pojawiła się na fotografii jego zespołu? Chce ufarbować włosy, żeby przypominały jej włosy? Odwracam się do komputera i udaję, że pracuję, ale tylko siedzę nad jednym zdjęciem i próbuję powstrzymać hiperwentylację.

Marissa odwraca się do mnie na krześle i patrzy z boku. Szybko znajduję jakieś zęby do wybielenia i cienie do rozjaśnienia. Usuwam znak stopu, który wygląda tak, jakby wyrastał komuś z głowy.

- Vicky mogłaby to zrobić, prawda? - Wskazuje głową na monitor. - Potrafiłabyś wkleić kogoś Photoshopem w tłum?

- Co? - Przetykam ślinę. - Ja nie...

- Ale mogłabyś, gdybyś chciała. Prawda?

- Alebym nie...

- Jezu, Vicky. Nie powiedziałam, że to robisz, tylko że mogłabyś. - Odwraca się do Beth Ann. - Kto wie, kim jest ta dziewczyna? To może być ktokolwiek, nawet Vicky. I pół miliona ludzi obserwuje ją jak jakiegoś mesjasza?

Kusi mnie, żeby ją poprawić. Wielbiciele Rymującej Rhei wciąż napływają na moje konto, ale ostatnio miałam tylko około trzystu dwudziestu siedmiu tysięcy obserwujących.

- Mnie nawet nie ma na Instagramie - mówię.

Marissa raptownie odwraca do mnie głowę.

- Mówiłam hipotetycznie.

- Stara, wkurzyłaś się na swojego chłopaka - wtrąca Beth

Ann. - Nie wyzywaj się na Vicky.

Marissa bierze głęboki wdech i dopiero po kilku sekundach wypuszcza powietrze.

- Wybacz. - Uśmiecha się do mnie. - To było niemiłe. Chodziło mi o to, że ktoś, kto chociaż trochę zna się na Photoshopie, mógłby być Observi. Ty sama mogłabyś być Observi.

- Nadal niemiło. - Beth Ann kręci głową. - Sugerujesz, że ktoś taki jak Vicky nie mógłby mieć pół miliona obserwujących. Że zasłużyłaby na to, tylko będąc sławna albo popularna, jak ty.

Marissa zaciska zęby.

- Wcale tego nie sugeruję. Po prostu...

- Właśnie totalnie zgasiłaś naszą Vicky, bo twój chłopak leci na kogoś w internecie, a ty nie możesz powiedzieć, że jesteś od niej lepsza, bo nie wiesz, kim ona jest - mówi Beth Ann. - I to cię superfrustruje, bo przywykłaś, że jesteś lepsza od wszystkich.

Marissa robi się czerwona i wygląda tak, jakby miała się rozplakać.

- Wcale nie uważam, że jestem lepsza od wszystkich czy od kogokolwiek!

Chwyta torbę i wybiega.

Patrzemy za nią. Beth Ann jęczy, po czym kładzie ręce na biurku i chowa między nimi głowę.

- Ale ze mnie wredna małpa - wzdycha.

Nie wiem, co powiedzieć, więc milczę. Wiem, że nienawidzi, kiedy nazywa się ją wredną małpą, ale czy to się liczy, kiedy

sama się tak nazywa? Faktem jest, że była trochę okropna dla Marissy.

Beth Ann prycha i się prostuje.

- Świetnie - mamrocze. - Nawet najmilsza osoba na tej planecie uważa, że jestem wredną małpą.

- Wcale nie...

- Proszę. Przynajmniej jesteś szczerą. Dobrze, że jest tu ktoś, kto nie jest sztuczny do szpiku kości. - Bierze torbę i wychodzi.

Wyciągam lunch i zjadam w ciszy, układając w myślach nową listę. Choć raz nie chodzi o rzeczy, które mnie przerażają. W ogóle nie chodzi o mnie. To lista znanych mi osób, które cierpią albo się męczą na swój sposób.

Hallie

Raj

Lipton

Marissa

Marvo

Beth Ann

Nigdy nie sądziłam, że na tej liście znajdą się osoby, które zawsze uważałam za doskonałe, szczęśliwe, albo takie, które mają wszystko gdzieś. Do tej listy mogę dodać jeszcze jedno imię:

Vicky

Wstyd przyznać, ale to mnie uszczęśliwia. Nie chodzi o to, żebym upajała się cudzym cierpieniem. Po prostu tak długo

znajdowałam się na jednoosobowej liście, że miło jest trafić gdzieś razem z innymi, nawet jeśli nie mają o tym pojęcia. Nie są sami i ja też nie jestem.

Rozdział 20

W sobotę jestem w domu i próbuję znaleźć w sieci coś na temat oblężenia Jerozolimy. Zostałam daleko w tyle, choć Lipton ofiarował mi notatki i swój termin prezentacji. Wytrzymuję jakiś kwadrans, po czym przełączam się na Instagram, żeby sprawdzić, ilu obserwujących mam dziś rano.

Nowa liczba to trzysta czterdzieści dziewięć tysięcy. Zapamiętuję ją i postanawiam zerknąć na komentarze do moich ostatnich postów.

Godzinę później nadal czytam, ale nie czuję się podniesiona na duchu. Obserwatorzy Observi mnie przygnębiają. Powinnam była przewidzieć pojawienie się trolli. Wmówiłam sobie, że stworzyłam miejsce, w którym nikt nie będzie mnie ani wyśmiewał, ani krytykował. Liczyłam na to, że będę bezpieczna w peruce, okularach, wariackich ciuchach i biżuterii.

Ale byłam głupia.

Wygląda na to, że jeśli się osiągnie pewien stopień popularności, nagle znikąd wpełzają hejterzy, żeby człowiekowi dowalić. Niektórzy mają nawet słowo „hejter” w nickach. Mogę zignorować ogólne komentarze typu: „Nie rozumiem”, „To głupie” albo: „Dlaczego? Powiedzcie: dlaczego?”.

Przejmuję się tymi, które skupiają się na mnie, na tym, kim

jestem i jakie podjęłam decyzje. Przez nie kwestionuję swoje dokonania i martwię się, że zrobiłam coś bardzo złego.

hipsterhater *Ten cały tatuaż jin-jang jest lamerski.*

Unoszę koszulę, żeby popatrzeć na symbol, który narysowałam na boku mazakiem. Oczywiście, że to nie jest prawdziwy tatuaż. A może ten ktoś po prostu nie cierpi symbolu jin-jang? Inna osoba pisze:

zsaakkattack *Tak, to trochę banał.*

Stresuję się, bo czy to znaczy, że jin-jang jest totalnie niefajny? Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak mówił, ale też gdzie miałabym słyszeć? Beth Ann jest o wiele fajniejsza ode mnie, a narysowała sobie jin-jang na butach. Możliwe jednak, że Liceum imienia Richardsona nie jest szczytem fajności.

Potem zaczynam się zastanawiać, czy ten symbol nie jest obraźliwy i czy przypadkiem ktoś nie poczuł się urażony. Googluję i natrafiam na dyskusje o tym, czy ludzie, którzy nie są Chińczykami, buddystami, czy taoistami w ogóle powinni nosić znak jin-jang i czy to nie jest kulturowe przywłaszczenie. Nawet nie jestem pewna, co to może znaczyć, i mam wrażenie, że zaraz wybuchnie mi głowa.

Oddycham głęboko. Przeglądam komentarze, żeby sprawdzić, czy ktoś o tym pisze, czy ktokolwiek się poczuł dotknięty. Ale nie. Niektórzy mnie bronią, mówią, że to pozytywny i uniwersalny symbol, i każdy, dla kogo coś znaczy, może go używać.

A dla mnie coś znaczy. To symbol mojej przyjaźni z Jenna,

równowagi między nami, siłą i słabością, wzlotów i upadków. Jego widok daje mi odrobinę nadziei, że jeszcze nie jest po wszystkim, że zdołamy odbudować nasze relacje. Dlatego staram się nie myśleć o hejterach jin-jang. Problem w tym, że nie tylko na to narzekają ludzie.

Jeden z moich pierwszych obserwujących pisze:

anyzabee *Dlaczego nikogo nie dodajesz do obserwowanych? Masz ich tylko ośmiu, w tym jedną kobietę? Do dupy.*

Marszczę brwi. Naprawdę obserwuję tylko mężczyzn? Nie zrobiłam tego celowo. Pierwsza była dziewczyna – Rymująca Rhea. Obserwowałabym Jennifer Lawrence, gdyby miała Instagram. Albo Demelzę Poldark. Krytyka boli, więc znajduję niektóre z moich ulubionych kobiet w mediach społecznościowych. Jest Amanda Palmer, piosenkarka i tekściarka, która gra na ukulele, fajna, nietypowa i nieustraszona. Kiedyś pozwoliła tłumowi fanów napisać autografy na swoim ciele. Chętnie pożyłabym jej życiem przez dzień lub dwa.

Klikam „Dodaj do obserwowanych”.

Próbuję obserwować J.K. Rowling, ale to fałszywe konto, więc obserwuję Emmę Watson. Gdyby Hermiona miała konto, też bym ją obserwowała. Znajduję jednak tylko konta fanów. Dodaję do obserwowanych Malalę, Oprah i Zooey Deschanel. No i Ellen z *The Ellen Show*. Ma prawie czterdzieści milionów obserwujących. Jej posty zdobywają po trzysta pięćdziesiąt tysięcy lajków.

Dziś nie zamieściłam zdjęcia, więc szybko wrzucam Obserwi

na plan *The Ellen Show*. Wygląda to tak, jakbyśmy razem tańczyły. Nawet nie muszę nikogo usuwać Photoshopem, bo Ellen zawsze tańczy. Dodaję hashtag *#ellen* oraz *#tańcz*.

Ktoś ma tak wielkie grono fanów, że przy nim moje wydaje się maleńkie. To krzepiąca myśl. Dochodzę do wniosku, że jej obserwujących jest więcej niż ludzi w większości stanów. Sprawdzam i okazuje się, że mam rację. Fandom Ellen ma rozmiary ludności Teksasu, drugiego pod względem wielkości stanu w kraju. Dzięki temu ciosy we mnie wymierzone wydają się mniej istotne.

Nie na długo jednak.

machomike33 *Jesteś lesbą?*

eeemojjen *Obserwujesz tylko sławnych ludzi, a nie takie nieistotne zera jak ja.*

Blokuję machomike'a33, po czym kiwam głową nad komentarzem eeemojjen, bo to prawda. Obserwuję znane osoby nie dlatego, że moim zdaniem tylko one są godne uwagi. Chodzi o to, żebym zniknęła w ich olbrzymiej liczbie fanów. Nawet mnie nie zauważą. Uświadamiam sobie, że to nie ma sensu w wypadku kogoś z trzystu pięćdziesięcioma tysiącami obserwujących, ale rozsądek nie jest moją mocną stroną.

Gdybym mogła zacząć od początku, obserwowałabym każdą osobę, która na mnie kliknęła. Nie robiłam tego na początku ze względu na swój stan (irracjonalny strach przed obserwowaniem ludzi w mediach społecznościowych). Teraz jest ich tylu, że musiałabym klikać tygodniami, a nie chcę nikogo pominąć.

Nie chcę jednak również, żeby czuli się jak nieistotne zera. Wiedząc, że za chwilę otworzę puszkę Pandory, postanawiam obserwować eeemojijen. „Jen” w jej nicku podsuwa mi pomysł. Otwieram listę obserwujących i szukam wszystkich z „jen” albo „jenna” w nicku. Jakiś głosik w głowie pyta mnie: Po co to robisz? Przecież to nie Jenna, żadna z nich nią nie jest. Mówi mi: Zrezygnuj, ona już cię nie chce. Ale i tak to robię. Czasem robię coś, nie rozumiejąc powodów, i to właśnie jeden z tych przypadków.

Znajduję siedemdziesiąt osiem takich osób i zaczynam obserwować je wszystkie. Ostatnia, którą klikam, to pierwsza, która dodała mnie do obserwowanych, i pierwsza, której kiedykolwiek odpowiedziałam: justjennafied. Kiedy kończę dodawać wszystkie Jen i Jenny do listy obserwowanych, czekam.

Czekam, aż pokażą się nowe Jenny, i faktycznie. Dodaję je do obserwowanych. Mówię swojemu głosikowi w głowie, że w mediach społecznościowych są ludzie, którzy obserwują wyłącznie Justina Biebera. Skoro ja chcę obserwować tylko Jen i Jenny, to co w tym złego? To nic nie znaczy.

Jednak żadna z Jen i Jenn nie jest jennaelizabethtanner. Czuję się rozczarowana, więc jednak coś to znaczy.

Lipton ma w poniedziałek rano prezentację na temat bitwy pod Termopilami. Denerwuję się, jak mu pójdzie. Można by pomyśleć, że to ja mam stanąć przed klasą. Zwykle cieszę się, że wszyscy skupiają się na kimś innym niż ja, ale chodzi o Liptona. Przejmuję się nim. Przynajmniej przewidziałam taką możliwość i przed wyjściem z domu włożyłam pod sweter

drugi podkoszulek, gdyby pot przesiąkł przez pierwszy.

Pan Braxley przedłuża katusze, prowadząc zajęcia przez większą część lekcji i zostawiając prezentację na koniec. Lipton wygląda tak, jakby miał zwymiotować. Zauważam, że włożył fioletowe skarpetki, więc kiedy nikt nie patrzy, pokazuję mu je, a potem unoszę kciuki. Uśmiecha się do mnie bez przekonania, tak bardzo się denerwuje. Adam nie pomaga. Ciągłe tupie stopą o podłogę, jakby przedawkował kofeinę.

Przynajmniej raz to nie ja próbuję trzymać nerwy na wodzy, ale to mogłam być ja. Wówczas radziłabym sobie o wiele, wiele gorzej.

Pan Braxley w końcu każe Adamowi i Liptonowi zaczynać. Zamiast podłączyć pendrive do klasowego komputera, Lipton przyniósł własny laptop. Bał się, że program, w którym przygotował prezentację, nie będzie kompatybilny z oprogramowaniem pana Braxleya i nie chciał ryzykować. Mimo to niemal słabnie z ulgi, kiedy na elektronicznej tablicy pojawia się ogromny napis „Bitwa pod Termopilami”. Adam zaczyna mówić, przeglądając notatki. Przechodzi przez wstęp, który zapewne prowadzi do opisywanej bitwy, i wszystko idzie dobrze, dopóki tytułowa strona nie ciemnieje i nie robi się czarna. W następnej chwili pojawia się wygaszacz ekranu ze zdjęciem Taylor Swift w jaskraworóżowej mini w komplecie z krótkim topem, obszytym srebrnymi cekinami.

Klasa RYCZY ze śmiechu.

Lipton rzuca się do komputera.

- To nie moje! To siostry. Przysięgam! - Uderza

w klawiaturę i zdjęcie znika. - To robota mojej siostry. Korzystamy z jednego komputera!

Klasa pokłada się ze śmiechu. Adam idzie pod okno. Boję się, że będzie tłukł głową o szybę i zrobi sobie krzywdę, ale on tylko stoi i wygląda na zewnątrz.

Pan Braxley chichocze, ale próbuje uspokoić klasę.

- Już dobrze, wystarczy. Cisza - mówi.

Przyzywa Adama z powrotem na podwyższenie przy biurku, żeby kontynuował. Przygryzając wargę, klepie Adama po ramieniu.

- Otrząśnij się - mówi, a klasa ponownie wyje z rozbawienia.

Pan Braxley po raz drugi uspokaja uczniów. Wydaje się zawstydzony, że jego słowa zabrzmiały jak dowcip.

- Przepraszam - mówi. - Adam, Lipton, śmiejemy się z wami, a nie z was.

Nienawidzę, autentycznie nienawidzę, kiedy ludzie tak mówią.

Adam czyta resztę wstępu monotonnym, słabym głosem.

- A teraz przedstawimy wideo, które stworzyliśmy, żeby pokazać bitwę - dodaje.

- Czy ktoś może zgasić światło? - pyta z wysiłkiem Lipton.

Oglądamy materiał.

Odtworzyli bitwę pod Termopilami w *Minecraftie*. Jest jedna wielka armia (Persów) i jedna mała (Greków) u stóp olbrzymich klifów nad morzem. Wszystko jest skonstruowane z bitmapowych cegiełek. Żołnierze mają kanciaste głowy z brodami, prostokątne ciała i kończyny, są uzbrojeni w tarcze i miecze.

Bitwa rozpoczyna się przy dźwiękach złowrogiej muzyki w tle i słowach narratora, przemawiającego dramatycznym, niskim głosem. Nietrudno rozpoznać, że ten głos należy do Liptona i ma brzmieć groźnie. Żołnierze atakują, mieczyki szczękają. Brzmi to tak, jakby kilkadziesiąt osób klikało długopisami. Za każdym razem, gdy żołnierz ginie od ciosu, na ziemię spadają czerwone kawały ciała.

- To tylko draśnięcie - mówi Jeremy piskliwym głosem.

Jego kumple wybuchają śmiechem.

- To powierzchowna rana! - wrzeszczą.

Przerzucają się tekstami z *Monty Pythona i Świętego Graala*, więc pan Braxley każe Liptonowi zastopować i poczekać, aż zapanuje spokój.

- Bardzo chętnie zatrzymam po lekcjach wszystkich, którzy gadają podczas prezentacji - uprzedza. - Everling? Słyszysz mnie?

Jeremy z szyderczym uśmiechem kiwa głową.

Nawet nie chcę się obracać, żeby zobaczyć twarz Liptona. Potrafię wyobrazić sobie najgorsze, ale nawet ja nie wymyśliłabym takiego koszmaru.

Film leci dalej, a narrator Lipton ciągnie głębokim głosem:

- Grecy walczyli mężnie, odpierając o wiele liczniejszą perską armię przez dwa dni, aż...

Staram się ignorować to, że wszyscy się kręcą, próbując zapanować nad śmiechem. Pomijając dziwnie brzmiący szczęk oręza oraz fruwające części ciał, film naprawdę robi wrażenie. Odtworzenie wiernego geograficznie krajobrazu wokół Termopil i wygenerowanie licznych żołnierzyków,

mieczy i strzał musiało trwać wiele godzin.

Dramatyczna konkluzja następuje w chwili, gdy jeden z Greków zdradza i wskazuje Persom tajne przejście, dzięki czemu wkraczają do miasta. Lipton przemawia coraz bardziej ożywionym głosem. Wszyscy w klasie przyciskają dłonie do ust, żeby powstrzymać śmiech, kiedy Leonidas i garstka ostatnich Spartan pada pod gradem malutkich strzał, sypiących się ze szczytu urwiska.

Prezentacja dobiega końca, dzwoni dzwonek. Ludzie wybiegają na korytarz, żeby wreszcie móc zwolnić hamulce i wyśmiać się do woli. Ja pozostaję w ławce. Lipton siedzi gdzieś za mną w milczeniu. Adam podnosi głowę, nadal stojąc na podwyższeniu.

- A nie mówiłem? - mamrocze.

Lipton unika mojego wzroku, kiedy zabiera komputer. Wychodzę powoli. Tego bym chciała, gdyby to mnie dotyczyło. Chciałabym zostać sama, nie mówić o tym i nie słuchać, jak ktoś inny o tym mówi. Wolałabym nawet uniknąć porozumiewawczych spojrzeń i wymownych min.

Dzieciaki na korytarzu nieustannie nabijają się z prezentacji, a mnie korci, żeby do nich podbiec, położyć im ręce na ramionach i kazać przestać. To coś nowego, ta chęć stawienia czoła upokorzeniu, pragnienie powstrzymania go. Kiedy coś takiego przytrafia się mnie, marzę tylko o tym, żeby się ukryć.

Jakoś udaje mi się przebrnąć przez następne dwie lekcje, a potem na początku przerwy na lunch wchodzę do damskiej łazienki, zamiast iść prosto do redakcji. Moja ulubiona kabina

w kącie jest pusta, więc zamykam się i wyciągam telefon. Zanim jeszcze zdążę odblokować ekran, widzę, że Observi miała dziś pracowity dzień. Przechodzę do powiadomień i przeglądam je po kolei.

Połowa z nich jest od osób o imieniu Jen lub Jenna, które dziękują mi za dodanie ich do obserwowanych. Druga połowa to ludzie, którzy nie mają na imię ani Jen, ani Jenna i błagają mnie, żebym dodała ich do obserwowanych.

Jest wiadomość od justjennafied, komentarz do zdjęcia Kat w peruce Observi.

Miły kotek.

Wstrzymuję oddech, bo właśnie to zawsze mówiła Jenna, moja Jenna, kiedy Kat na nią syczała albo nie chciała dać się głaskać nikomu poza mną. Klikam na stronę justjennafied, by poszukać znaków, które świadczyłyby o tym, że to moja dawna najlepsza przyjaciółka. Jak się jednak okazuje, justjennafied założyła stronę zaledwie przed dwoma tygodniami i niewiele zamieściła. Nie ma tam żadnych selfie, tylko zdjęcie zrobione przez brudne okno autobusu, przedstawiające zamazany pejzaż. Znajduję także fotografię nieba z za koron drzew i jeszcze jedną, zatkanego liśćmi rynsztoka. Pod zdjęciami zawsze widnieje jeden z trzech tagów: *#zagubiona*, *#smutna* albo *#brudna*.

To nie może być ona.

Na wszelki wypadek jednak zostawiam justjennafied komentarz, pisząc to, co zawsze odpowiadałam Jennie.

Wie, kto ją karmi.

Dorzucam tag *#justjennafied*, żeby na pewno to zobaczyła wśród setek komentarzy przy tym poście i już mam wyjść z łazienki, kiedy wchodzi dwie dziewczyny. Przytulam plecak do piersi i opieram się o ścianę, żeby je przeczekać.

To okropne. Rozmawiają o tym, co włożą na sobotnią imprezę u koleżanki. To taki dziwny rytuał, w którym strój jednej dziewczyny nie może przyćmić stroju drugiej. Muszą się uzupełniać, ale nie być za bardzo dopasowane. W końcu decydują się na mniej więcej taki sam ubiór w nieco odmiennych kolorach.

Mam nadzieję, że już skończyły, bo muszę iść na lekcję, a za długo siedziałam cicho, żeby nagle wyjść z kabiny.

- Sprawdzę Instagram - mówi jedna.

Z trudem tłumię jęk.

- Ilu masz obserwujących? - pyta druga.

- Dwustu piętnastu.

- A obserwujesz?

- Trzystu dwudziestu ośmiu.

- Ja mam dwustu trzydziestu siedmiu i czterystu osiemdziesięciu pięciu. Muszę przestać obserwować ludzi, którzy mnie nie obserwują.

- Takich jak Observi?

Zachłystuję się powietrzem, ale druga dziewczyna śmieje się, zagłuszając mój świst.

- Tak - mówi. - Albo powinnam zmienić nick na Jen.

- Może nazwij się JenJennaJennyJenniferJenniest.

- To nic nie da. Od weekendu nikogo nie dodała do

obserwowanych. Nawet tych, którzy zmienili nicki.

- Wszystko jedno. I tak ją kocham.

- Ja też.

- Ja też. Ja też. Ja też!

Otwieram szeroko oczy, słysząc to wielokrotnie powtórzone „Ja też”. Zupełnie jakby to było coś modnego.

Jestem tak skupiona na ich rozmowie, że zapominam o plecaku, który wysuwa się z moich objęć. Nie spada na podłogę, ale odgłos szarpnięcia zaalarmował dziewczyny.

- Nie wiedziałam, że ktoś tam jest - mówi jedna cicho.

- Ja też nie.

- Kto tam?

Bardzo chcę powiedzieć: „To ja, Observi!”, ale tylko zbieram rzeczy i otwieramabinę, po czym wlokę się do umywalki.

- Fajnie się podsłuchiwało? - To Mallory, z biologii. Ta sama, która uważa, że Hallie Bryce to nie człowiek.

Zamykam oczy. Udaję, że jestem trzylatką i jeśli ja ich nie widzę, one też mnie nie dostrzegają.

- To nie ma znaczenia - mówi druga. - Ona jest...

Nie słyszę, co dodaje na mój temat i czy w ogóle cokolwiek dodaje. Łatwo jednak się domyślić. Być może wykonuje międzynarodowy gest kręcenia palcem przy skroni, obrazujący wariata. Niewykluczone też, że wyszeptała: „Ona jest nikiem” lub coś w tym stylu.

Wychodzą, a ja gapię się na siebie w lustrze.

Jak mogą kochać Observi, ale lekceważyć mnie i w ogóle kogokolwiek? Są jak te dzieciaki w klasie, które nabijały się z Liptona, nawet przez sekundę nie myśląc, jak on się poczuje.

Na myśl o tym, że mam takich obserwujących, chce mi się wymiotować albo wrzasnąć: „JESTEŚ DO NICZEGO!”.

Tłumię to w sobie, jak zawsze. Oddycham głęboko i, (jak najciszej) tupiąc nogami, idę do klasy.

Rozdział 21

W autobusie sprawdzam Instagram Jenny, mojej Jenny, jennaelizabethtanner. Od ponad dwóch tygodni nic nie zamieściła. Nie pojawiło się nic od jej ostatniego zdjęcia z Tristanem. Przechodzę na stronę justjennafied. Jej pierwszy post ukazał się nieco ponad dwa tygodnie temu. Przełączam raz na jedną, raz na drugą. Jennaelizabethtanner przestała pisać praktycznie tego samego dnia, w którym objawiła się justjennafied.

Irytujący głosik w mojej głowie mówi: A co cię w ogóle obchodzi, co robi Jenna po tym, jak cię potraktowała? Nie mam na to odpowiedzi, poza tym, że próbowałam przestać przejmować się Jenną i, oczywiście, nic z tego nie wyszło. Tego się nie da wyłączyć jednym pstryknięciem. Przez dwanaście lat była moją najlepszą przyjaciółką.

Gdy wracam do domu, mama czeka na mnie z koktajlem owocowym.

- Jabłko, truskawki, mango i odrobina szpinaku - wylicza.

Siadam i gapię się na koktajl. Szpinak w połączeniu z truskawkami nie ma szczególnie apetycznego koloru.

- Nie jesteś głodna? - pyta mama, kiedy ociągam się z wsunięciem słomki do ust.

Problem w tym, że nigdy nie jestem głodna po powrocie do domu. Wciąż mam ściśnięty żołądek po dniu w szkole. Mama

jednak zawsze upiera się, żebym jadła, więc jem, bo mogłaby sobie pomyśleć, że coś jest nie tak.

Dziś jednak mam dość.

- Nienawidzę koktajli owocowych - oświadczam.

- Od kiedy?

- Odkąd robisz je dla mnie codziennie. Jeśli znowu będę musiała jakiś wypić, zacznę wrzeszczeć.

Mama gwałtownie cofa głowę.

- Dlaczego nie powiedziałaś wcześniej? Myślałam, że je uwielbiasz.

- Kiedyś uwielbiałam.

Piorunuje mnie wzrokiem.

- Ale przestałaś.

- Przestałam.

Poniewczasie uświadamiam sobie, jaka jestem nieprzyjemna. Jakoś nie potrafię zachować równowagi między ujawnianiem swoich uczuć i zatrzymywaniem ich dla siebie.

- Przepraszam - mówię.

Mama zabiera sporny koktajl i krząta się po kuchni. Wyciąga rzeczy z lodówki, usiłując wymyślić alternatywną przekąskę.

- Mogę dać ci trochę sera z krakersami albo...

- Nie jestem głodna. - Wstaję i wsuwam krzesło. - Chyba się prześpię.

Mama marszczy brwi. Funkcjonuje w układzie zerojedynkowym - albo mnie kompletnie ignoruje, albo dostaje obsesji na moim punkcie.

- Jesteś chora? Coś się stało? - Kładzie rękę na moim czole.

- Jestem tylko zmęczona. - Odpycham ją delikatnie.

- No to odpocznij - mówi, jakby sama na to wpadła. - Zawołam cię na kolację.

Idę do pokoju i przez chwilę głaszczę kota. „Miły kotek”. Pewnie mnóstwo ludzi tak mówi. To nie znaczy, że justjennafied jest Jenną, tylko że podobało się jej zdjęcie mojego kota. Mimo to loguję się, żeby sprawdzić, czy zostawiła inny komentarz. Jest ich tyle, że niemal nie sposób zidentyfikować, który wysłała konkretna osoba. Nie mogę znaleźć po nicku, więc wracam do zdjęcia Kat i zjeżdżam do swojego komentarza, po czym zaczynam czytać od tego miejsca. Innym też podoba się mój kot. Pytają, jak ma na imię. Piszą: „Nasze koty powinny się spotkać!”. Usiłują skierować mnie na link na swoich profilach, gdzie znajdę zdjęcia ich kotów.

- Jesteś sławna - mówię do Kat.

Lizę mój mały palec językiem ostrym jak papier ścierny. Jeszcze przez chwilę łążę po Instagramie. Niemal przy wszystkich moich zdjęciach są takie komentarze. „Wpadnij na mój koncert, Vi!” albo „Bądź z nami!”, albo „*Seamos amigos, Observi!*”, co chyba znaczy, że chcą się ze mną zaprzyjaźnić. Klikam na kilka linków zamieszczonych na paru profilach, żeby zobaczyć, jakież to rozrywki omijają Observi.

Większość zdjęć to selfie z dwójką, trójką lub dziesiątką przyjaciół, ściśniętych w grupowym uścisku, z uśmiechniętymi, superładnymi twarzami. W prawdziwym życiu ci ludzie nigdy by mnie nie objęli, podobnie jak te dziewczyny w łazience, albo ci ludzie ze stron „Przyjaciele!” w księdze rocznikowej.

Przyglądam się tłu. Co jakiś czas widzę kogoś takiego jak ja, kto stoi sam i obserwuje z boku. Sejuję te zdjęcia na moim komputerze. Kiedy mam ich już kilkanaście, ustawiam swoje małe studio fotograficzne i wkładam kostium Observi. Potem pozuję z wyciągniętą ręką, nieco ugiętą w łokciu, z dłonią zwisającą luźno w nadgarstku, jakby ktoś tam stał, a ja bym go obejmowała. Robię całą furę takich zdjęć, a potem przechylam głowę, jakbym wspierała się na czyimś ramieniu. Pstrykam nawet kilka takich, na których ręka zwisa mi blisko boku, a palce układam tak, jakbym trzymała kogoś za dłoń.

Następnie jedno po drugim oglądam zdjęcia przysłane mi przez ludzi i wynajduję osoby w tle. Dziewczyna, która patrzy ze smutkiem na inne dzieciaki na fotografii. Chłopak, który udaje, że czeka na kolegów. Chłopak z rękami w kieszeniach, oparty o ogrodzenie. Dziewczyna zerkająca zza grzywy włosów.

Wszyscy ci ludzie zasługują na uwagę, ale wiem, jaka bywa przerażająca, gdy się jej nie chce. Wypychanie takich ludzi na widok publiczny, przed niemal pół miliona użytkowników Instagramu? To byłoby dziesięć razy gorsze niż próby matki wknięcia mnie na jakąś imprezę.

Chcę jednak, aby wiedzieli, że ich widzę. Chcę, żeby moi obserwujący szukali takich jak oni - niedostrzeganych i ignorowanych.

Dlatego ich obejmuję, trzymam za ręce, opieram głowę na ich ramionach. Dla ochrony prywatności zamieniam ich w proste sylwetki, każdą w innym kolorze, ale przyciemnione. Wyglądają niemal jak duchy, są niewidzialni i tylko oni sami

mogą siebie rozpoznać.

Przycinam zdjęcia, żeby były kwadratowe, ale poza tym nic przy nich nie dłubię. Nie robię zbliżeń. Chcę, żeby ludzie musieli się trochę przy nich napracować, zanim nas znajdą, tak jak w *Gdzie jest Wally*.

Potem wrzucam zdjęcia na Instagram, wszystkie dwanaście, i je otagowuję:

#wukryciu #zobacz mnie #powiedzcie #rozejrzyjcie się #bądźmy

Szybko wyłączam powiadomienia, bo reakcja na dwanaście zdjęć, zamieszczonych jednocześnie, może być trochę wariacka. Obserwujący, którzy prosili, żebym wykorzystała ich zdjęcia, pewnie się zmartwią, że ściskam inne osoby. Po raz ostatni spoglądam na swoją stronę i na absurdalną liczbę obserwujących, która teraz dochodzi do czterystu dwudziestu trzech tysięcy.

Wyłączam telefon na noc i na papierze piszę liścik do Liptona. Opisuję mu, jak świetna była prezentacja, jak mi przykro, że inni się śmiali, i dodaję, że szóstkę ma w kieszeni i jeszcze, że bardzo chciałam pogadać z nim po lekcji, ale pomyślałam, że pewnie nie miał na to ochoty. Piszę, że jego fioletowe skarpetki wprowadziły mnie w lepszy humor.

Następnego dnia przychodzę na historię trochę wcześniej, żeby zostawić liścik do Liptona na jego krześle. Boję się położyć papierek na jego ławce, bo ktoś mógłby zauważyć i go zabrać. Potem obserwuję karteczkę kątem oka, kiedy schodzą

się ludzie i dzwoni dzwonek.

Lipton nie przyszedł.

Wchodzi Adam, siada na swoim miejscu. Dziś wydaje się mniejszy, zupełnie jakby skróciły mu się ręce i szyja. Mam wrażenie, że się skurczył, bo nie chce rzucać się w oczy.

Witamy w klubie, Adam.

- Dziś zaczynamy od prezentacji, a potem podyskutujemy o tym, czego się dowiedzieliśmy - oświadcza pan Braxley i uniesioną dłonią ucisza chichoty. - Prusso, Hudson, Fenimore. Do roboty.

Renee Prusso i jej przyjaciółki, Maggie i Laura, przez kilka minut krążą po klasie, przygotowując się i nerwowo chichocząc. Przyniosły pendrive, który pan Braxley umieszcza w gniazdku swojego komputera, połączonego z tablicą elektroniczną.

Zapamiętuję, żeby zrobić to samo. Nie używam wygaszacza ekranu, ale jak znam swoje szczęście, na monitorze wyświetliłoby się zdjęcie Observi. Tymczasem na tablicy pojawia się strona tytułowa, sporządzona w PowerPoincie.

Napis głosi: „Czarna śmierć”.

Czcionką Comic Sans.

Nie wybrałabym komiksowej czcionki na prezentację o epidemii dżumy, najgroźniejszej zarazy w historii ludzkości.

Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy ktoś uważa, ale wszyscy garbią się na swoich miejscach, jak zawsze. Adam lekko odwraca głowę ku ławce Liptona, jakby chciał wymienić pełne współczucia spojrzenia, ale zapomniał, że jego przyjaciel nie przyszedł.

Dziewczyny zaczynają prezentację. Jest potwornie nudna. Naprawdę żałuję, że nie mogę wymieniać liścików z Liptonem. A potem przypominam sobie, że dał mi swój numer w dniu przydziału prezentacji. „Na wypadek, gdybyś zmieniła zdanie”, powiedział wtedy. Powoli wyciągam z plecaka podręcznik do historii i znajduję kartkę.

Z telefonem na kolanach i wyłączonym dźwiękiem wstukuję numer i piszę pierwszą wiadomość.

Wszystko okej?

Przez pewien czas patrzę na trzy kropki po jego stronie ekranu. Potem pojawia się tekst:

Kto pyta?

No tak. Ale ze mnie idiotka. Przecież nie ma pojęcia, że to ja. Piszę szybko:

Ja *Vicky.*

On *Vicky Decker?*

Jestem przerażona. Normalnie bym zrezygnowała, ale biorę głęboki wdech i piszę dalej:

Ja *Tak. Przepraszam. Vicky Decker.*

On ...

Milczy bardzo długo. Zaczynam naprawdę żałować, że się przedstawiłam. Może spał. A może nie chce ze mną pisać, a ja mu się narzucam.

Ja *Jeśli nie chcesz pisać, zrozumiem.*

On ...

Ja *Przepraszam, że Ci zawracam głowę.*

On *Nie, nie o to chodzi. Jestem zdumiony.*

On *Ale pozytywnie.*

Nie jestem pewna, jak na to odpowiedzieć, więc otwieram okienko z emotikonami i wybieram uśmiechniętą buźkę, uważając, żeby nie była z pocałunkiem.

Ja :)

On *Zostałaś w domu?*

Ja *Nie, jestem na lekcji.*

On *Nie daj się przyłapać Braxleyowi na pisaniu.*

Ja *Renee, Laura i Maggie robią prezentację.*

On ...

Znowu milczy bez końca i uświadamiam sobie, że przeze mnie rozmyśla teraz o swojej prezentacji. Pewnie bardzo tego nie chciał, więc szybko piszę:

Ja *Kooooooooooooooooozmarne nudy na pudy. Twoja była sto razy lepsza.*

On *Dzięki.*

Ja *To autentycznie najgorsza powerpointowa prezentacja w historii.*

On *Nudne ilustracje?*

Ja *Zero ilustracji.*

On ???

Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, wyciągam telefon, po czym znad ławki robię zdjęcie tablicy. Dziewczyny zwyczajnie przepisały cały tekst w formie punktów i teraz pokazują je kolejno, jednocześnie czytając monotonnymi głosami.

Przesyłam zdjęcie Liptonowi.

On *Czy to Comic Sans?*

Ja *Owszem.*

On **wzdryg**

Ja *Ja też.*

Uświadamiam sobie, że „Ja też” to zwrot Observi i przez chwilę się martwię, że to mnie wyda, ale przecież nie tylko na moim koncie na Instagramie ludzie mówią „Ja też”. Lipton znów pisze:

On *Wszyscy się śmieją?*

Ja *Nie. Śpią.*

Jeremy Everling kręci się na krześle, po czym zerka w kierunku ławki Liptona i kręci głową do Adama, który wzrusza ramionami. Nie mam pojęcia, co to ma znaczyć. Adam pewnie też nie, ale lekko się prostuje.

Ja *Jeremy właśnie popatrzył tęsknie na Twoją pustą ławkę.*

On *Poważnie?*

Ja *On i Adam wspominają Twoją o wiele lepszą prezentację.*

On *Akurat.*

Ja *Jeremy robi miny. Nudzi się jak mops. Wszyscy się*

pokładają.

On *Co jest gorsze, zanudzić ludzi na śmierć czy zrobić z siebie pośmiewisko?*

Znam odpowiedź. Strach przed wyśmianiem zajmuje pierwsze miejsce na mojej liście. Odkąd sięgam pamięcią, zanudzam ludzi, bo jestem przerażona, że mnie wyśmieją. Nie mogę jednak powiedzieć tego Liptonowi.

Ja *Jeden koszmar.*

On *Skoro tak twierdzisz.*

Ja *Twoja prezentacja była świetna. Dużo się dowiedziałam.*

On *Mówisz tak przez uprzejmość.*

Ja *Poważnie.*

On ...

Próbuję wymyślić coś, dzięki czemu Lipton lepiej się poczuje i zrozumie, że mówię szczerze.

Ja *Po niej chcę się nauczyć grać w Minecraft.*

On *LOL. Chyba Cię kocham.*

Ja ...

Mrugam, patrząc na ekran. Naprawdę tak napisał? Żartował. Oczywiście. Dlatego LOL. Prawda? Zanim zdążę wymyślić jakąś niezenującą odpowiedź, Lipton znowu pisze.

On *To znaczy, kocham to, że chcesz wypróbować Minecraft.*

Ja *Albo iść na koncert Taylor Swift.*

On *Aua.*

Ja Żartuję.

On Wiem. To naprawdę był wygaszacz siostry.

Ja Wierzę Ci.

Wzdycham. Uniknęłam katastrofy.

Prezentacja ciągnie się niemiłosiernie aż do dzwonka i okazuje się, że dziewczynom zabrakło czasu na jej dokończenie. Wszyscy się pakują i zbierają do wyjścia, gdy pan Braxley mówi:

- Moi drodzy, prezentacja nie ma polegać na odczytaniu całego wypracowania od początku do końca. Proszę, żebyście zajrzeli do wskazówek, które wam przekazałem, albo porozmawiali z Adamem i Liptonem.

Renee, Maggie i Laura wymykają się z klasy, a Adam wychodzi, jednocześnie pisząc. Uśmiecham się, bo nietrudno się domyślić, jaką wiadomość wysyła teraz Liptonowi.

Idąc korytarzem, w myślach układam esemes do Liptona i zauważam Adriana Ahna dopiero wtedy, gdy ociera się o moje ramię.

- Widzę cię - mówi.

Omam nie wyskakuję ze skóry.

- Słucham?

- Chciałem się przywitać, pokazać ci, że cię widzę. - Przybliża usta do mojego ucha. - Nie jesteś niewidzialna.

Mrugam nerwowo, bojąc się powiedzieć coś głupiego przed zastępem zagorzałych wielbicieli Adriana, na który dzisiaj składa się troje pierwszoklasistów - dwie dziewczyny i jeden chłopak.

Adrian szturcha mnie przyjacielsko.

- Do zobaczenia później - mówi.

Odchodzi, a jego grupie gapią się na mnie. Wiem, co sobie myślą. Dlaczego Adrian Ahn gada akurat z nią?

Sama się nad tym zastanawiam.

Oddycham płytko, rozglądam się niespokojnie. Czy on wie o Observi? Czy oni wszyscy wiedzą?

Wlokę się po korytarzu i za rogiem skręcam do damskiej łazienki. Zamierzam iść tam na tak długo, aż się uspokoję. Poczekam i przekonam się, czy ktoś będzie o mnie mówił. Kiedy jednak mam otworzyć drzwi, widzę, że Adrian trzyma rękę na ramieniu Raja Radhakrishnana. Obaj idą korytarzem. Rezygnuję z wejścia do łazienki i ruszam w ich kierunku.

- Co słyszeć, Raj?

- Świetnie. Jest... okej. - Raj próbuje się uśmiechnąć, ale bezskutecznie.

Adrian przystaje i posyła ostrzegawcze spojrzenie płaczącym się wokół niego dzieciakom, które się rozchodzą. Udaję, że szukam czegoś w plecaku. Adrian odciąga Raja pod ścianę korytarza.

- Pogadaj ze mną, stary - prosi. - Wydajesz się przygnębiony.

Raj kręci głową.

- To nic takiego.

- Weź, stary, widzę, że coś cię gryzie. Co jest grane?

Raj wpatruje się w Adriana, równie zagubiony jak ja. O ile jednak ja wzruszyłam ramionami i odwróciła wzrok, o tyle Raj odpowiada.

- Rodzice się rozwodzą - wyznaje. - Kiepsko to idzie.

- Bardzo się kłóćą?

- Nawet ze sobą nie rozmawiają. Prawdę mówiąc, nikt ze strony ojca z nami nie rozmawia. Krewni, przyjaciele i ich bliscy... Wszyscy winią moją mamę za odejście. Więc teraz jesteśmy zdani na siebie, mama i ja.

- Do dupy. Szczerze współczuję. - Adrian zaciska ręce na ramionach Raja. - Jeśli będziesz chciał z kimś pogadać, daj znać.

Raj kiwa głową, lekko się uśmiecha.

- Dzięki... że zapytałeś.

Cała ta rozmowa musi być dla niego potężnym szokiem. Adrian zapewne nigdy dotąd nie odezwał się do Raja.

Adrian wyciąga z kieszeni jakiś kartonik.

- Może przyjdiesz na nasz najbliższy koncert? - proponuje.
- Chętnie cię tam zobaczę.

Raj uśmiecha się szerzej. Chyba po raz pierwszy wydaje się autentycznie szczęśliwy.

- Jasne, dzięki - mówi. - Będę. Na pewno.

- Super. - Adrian ściąga rękę z ramienia Raja, a drugą wystawia do żółwika, z którego przybiciem Raj kompletnie sobie nie radzi. Adrian się śmieje i klepie go po plecach. - Uważaj na siebie, stary. Wszystko będzie dobrze. Widzimy się.

- Tak, widzimy się, Adrian - mówi Raj.

Kręci głową, jakby właśnie obudził się ze snu. Mogłabym jednak przysiąc, że urósł kilka centymetrów, a i tak był wysoki.

Raj widzi nawet mnie.

- Cześć, Vicky - mówi z uśmiechem, a ja prawie się przewracam.

- Eee... Cześć, Raj.

- Widzimy się - mówi i nieporadnie macha długą dłonią.

Odmachuję i podążam za Adrianem, na tyle daleko, żeby nikt mnie nie wziął za grupie, ale na tyle blisko, aby dostrzec, że zauważa dzieciaki, których nikt nigdy nie zauważa. Mówi: „Widzę cię” do kilkorga, zanim rozlega się dzwonek na następną lekcję.

Biegnę do klasy, zdumiona tym, co właśnie zobaczyłam. Nie mogę uwierzyć, że Adrian tak sobie wziął do serca moje posty Observi. Czuję się jak superbohaterka uprzejmości, czyli chyba najbardziej idiotyczny z superbohaterów.

Nie mogę się nie zastanawiać, czy to się też dzieje gdzie indziej. Czy ludzie są mili w liceach w całym kraju? Na świecie?

To jakieś szaleństwo.

Rozdział 22

Po lekcjach zaglądam na Instagram, który szaleje od tysięcy nowych obserwujących i strumienia komentarzy. *Widzimy się. Widzę cię. Widzimy się! Widzę cię!* Kiedy wracam do domu, mama siedzi przed komputerem. Nie czeka na mnie koktajl owocowy. Mama wskazuje na szafkę.

- Weź sobie coś do jedzenia, jeśli chcesz - mówi.

Nie jestem głodna, ale nalewam sobie szklankę soku. Mama nawet nie podnosi wzroku znad komputera.

- Ta dziewczyna z pomarańczowo-fioletowymi włosami naprawdę robi się znana. Jest w *The Ellen Show* i w ogóle wszędzie.

- To nie jest naprawdę. - Staram się mówić obojętnym głosem. - To wszystko Photoshop.

- Tak, ale Ellen chce, żeby do niej przyszła. Patrz.

Mama puszcza nagranie *The Ellen Show* z YouTube'a i odchyła się, żebym lepiej widziała. Ellen siedzi na planie, obok zdjęcia mojego avatara z Instagramu.

- Widzieliście tę dziewczynę? - pyta Ellen. - Obserwi? Jest wszędzie w internecie. Moi obserwujący mówią o niej od tygodnia. Rozmawiają o tym, jak wyciąga rękę do dzieciaków, które czują się niewidzialne i ignorowane. Do tego zachęca innych, żeby szli w jej ślady.

Teraz na ekranie widnieje fotografia Obserwi tańczącej

z Ellen.

- Wrzuciła to zdjęcie, na którym jest ze mną i razem tańczymy. A ja pomyślałam, no to super, teraz nawet nie pamiętam, z kim tańczyłam. - Publiczność się śmieje. - A producent na to: „Ellen, nie było jej tutaj. To Photoshop”. Wtedy poczułam się trochę jak głupek, bo dziewczyna wydaje się odlotowa. - Znowu śmiechy. Przez cały czas, kiedy Ellen mówi, realizator pokazuje moje instagramowe posty. Na zdjęciach widnieją Neil, Jimmy, Jennifer i Foo Fighters. - No to pomyślałam sobie, a może naprawdę ją zaprosimy? Więc, Observi, jeśli tam jesteś, bardzo chętnie powitamy cię w programie.

Gapię się na ekran, ale już nie oddycham. Mama niczego nie zauważa.

- Założę się, że przyjdzie mnóstwo dziewczyn, udających, że są nią - mówi.

- Tak - zgadzam się. - Bo prawdziwa Observi nigdy by nie poszła do telewizji.

Mama dziwnie na mnie patrzy.

- Dlaczego nie?

- Bo jest anonimowa. Wtedy już by nie była.

- Ale byłaby sławna - zauważa mama.

- Już jest sławna.

- Ale nikt nie wie, kim jest.

- Jest Observi.

Mama wzdycha ze zniecierpliwieniem.

- Kim jest naprawdę. Nikt tego nie wie.

- Może ona tak woli.

Mama się odwraca i patrzy na mnie przez chwilę, a ja myślę: No i już. W końcu. Przejrzała mnie. Ona jednak tylko kręci głową i odwraca się z westchnieniem.

Chwiejnym krokiem idę do swojego pokoju i z dziesięć razy oglądam ten film.

Nigdy nie sądziłam, że dodam „Występ w *The Ellen Show*” do Listy Grozy.

Dwie godziny później mama woła mnie na kolację. Wyciągam telefon z toaletki, co się okazuje poważnym błędem. Powiadomienia spływają lawinowo. Trzymam telefon na kolanach i zerkam na niego, co w końcu budzi podejrzenia mamy.

- Vicky - mówi surowo. - Kto do ciebie pisze?

Na sekundę wpadam w panikę i spodziewam się pytania, czy to Ellen. Chowam telefon pod nogą.

- Nikt.

- Czy to Jenna? Powiedz jej, że jemy, kochanie.

Udaję, że piszę do Jenny, ale zamiast tego otwieram Instagram, wyłączam powiadomienia i się wylogowuję.

- Czy to ci twoi koledzy z autobusu? - draży mama. - Ci, których zdjęcie mi pokazywałaś? Nie powiedziałaś mi, jak się nazywają...

- To nie oni.

Mama kończy przeżuwać jedzenie i ociera usta serwetką.

- Chcę wiedzieć, z kim się komunikujesz w sieci.

- Z nikiem - mówię. - To była gra. To ona wysłała powiadomienia. Wyłączyłam ją.

- Jaka gra?

- Eee... Candy Crush?

Nigdy nie gram w gry na telefonie, a ona o tym wie.

- Daj mi telefon. - Mama wyciąga rękę.

- Co? Dlaczego?

- Jako twoja matka mam prawo - nie, mam obowiązek - zadbać o to, żebyś korzystała z tego urządzenia odpowiedzialnie i bezpiecznie. Pokaż mi telefon.

Przewracam oczami i wręczam jej komórkę. Mama przesuwa palcem po ekranie.

- Hasło?

Kręcę głową.

- Podaj hasło, Vicky.

Zobaczy wiadomości od Jenny i Liptona, a także moje zdjęcia Observi i to z Jenną oraz jej nowymi przyjaciółmi w autobusie. Zrozumie, że je przerobiłam na własne.

- To jest naruszenie prywatności - oświadczam. - Nie podam ci hasła.

Mama wpatruje się we mnie.

- Cóż, ponieważ to ja płacę za ten telefon, zatrzymam go, dopóki tego nie zrobisz. Najwyraźniej jest ktoś, kogo przede mną ukrywasz. To mnie martwi.

- Nie masz się czym martwić. Po prostu oczekuję poszanowania prawa do prywatności.

- Nora - odzywa się tata. - Daj spokój...

- Nie - warczy na niego mama. - Właśnie w taki sposób dzieci wpadają w kłopoty. Wplątują się w narkotyki albo... albo w problemy z chłopakami czy przyjaciółmi. Trzymają to w sekrecie, a rodzice powinni zadawać pytania. To nasz

obowiązek, więc nie mów mi...

- Okej, okej. - Tata kręci głową i odwraca się do mnie. - Vicky, czy mogłabyś podać mamie hasło?

- Nie biorę narkotyków. - Staram się mówić jak najspokojniej. - I nie chcę, żeby mama czytała moje listy.

- Nie będę ich czytała. Chcę tylko wiedzieć, z kim korespondujesz.

Zaciskam zęby i wyciągam rękę, żeby podała mi telefon. Nie wprowadzam jednak hasła, tylko przechodzę do ustawień wiadomości i wyłączam „Pokaż podgląd”. Teraz, jeśli Lipton do mnie napisze, wiadomość nie pokaże się na zamkniętym ekranie, żeby cały świat mógł ją sobie obejrzeć. Wyłączam telefon i oddaję go mamie.

- Myślałam, że wpisałaś hasło.

- Nie.

Tata wzdycha.

- Wygląda na to, że stracisz telefon, mała.

Wzruszam ramionami. Mama wnosi mój telefon do sypialni.

- Naprawdę nie możesz podać jej hasła? - pyta tata.

- Nie - odpowiadam. - Nie mogę.

Znowu wzdycha.

- Musisz wiedzieć, kiedy odpuścić, kochanie - mówi. - Na pewno chcesz walczyć?

- To ona walczy - zauważam. - Ja tylko chciałam zjeść kolację.

Mama wraca do kuchni.

- A to co?

- Nic. - Zanoszę talerz do zlewu. - Nie jestem głodna.

- Szkoda. - Mama nabija tortellini na widelec i wkłada je do ust. - Daj mi znać, kiedy będziesz chciała telefon z powrotem.

Idę do pokoju i włączam komputer, a po wejściu na Instagram omal nie mdleję. Mam osiemset dwadzieścia siedem tysięcy obserwujących, a ta liczba rośnie tak szybko, że kiedy siedzę i się gapię, dobija do osmiuset dwudziestu ośmiu tysięcy.

W tym tempie do rana będzie ich milion. Milion. Obserwujących. To zbyt wielu, żeby ich sobie wyobrazić. Jak wygląda tylu ludzi? Wpisuję do wyszukiwarki: „Jak wygląda milion ludzi?”. Pojawiają się obrazy masowych imprez. Milion osób medytujących z Dalajlamą. Centrum Waszyngtonu, wypełnione morzem ludzi. Wyobrażam sobie, że wszyscy się odwracają, patrzą na mnie... gapią się... i... Oddychaj, Vicky.

Słyszę pulsowanie krwi w uszach. CO MI PRZYSZŁO DO GŁOWY? Nigdy nie chciałam, żeby Observi była taka sławna. Chciałam tylko pokazać Jennie, że nie jestem nikim, że potrafię być zabawna, śmiała i interesująca. Jennie, a nie milionowi zupełnie obcych osób.

Usunę konto i tyle. Będę miała to za sobą i nikt się nie dowie. Gorączkowo szukam okienka „Usuń” w menu na Instagramie. Nie ma jednak nic takiego. Znajduję tylko: „Czasowo zablokuj moje konto”.

Kliknij, Vicky.

Przesuwam kursor nad link. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdybym się wycofała, wróciła do swojego prostego, spokojnego życia. Znowu byłabym sobą, zwykłą Vicky. Całkiem sama.

Nie mogę jednak przestać myśleć o niemal milionie ludzi, którzy zwrócili się do mnie, ale nie dlatego, że noszę wariacką perukę, okulary i photoshopuję się na głupie zdjęcia. Chodzi o to, że pragną być zauważeni, a ja ich zobaczyłam, i teraz widzą ich także tacy ludzie jak Adrian Ahn i Ellen.

Jaki przekaz poszedłby w świat, gdybym odcięła się od swoich obserwujących, choćby czasowo?

Że nie chcę więcej ich widzieć? Że od początku mi nie zależało?

Wiem, jak to jest, i nie chcę, żeby inni też to czuli.

Przesuwam kursor do rogu ekranu i klikam ikonkę, która przenosi mnie na moją stronę. Przeglądam zdjęcia, czytam komentarze i odpowiadam obserwującym.

Otagowuję ich, dziękuję im. Pokazuję, że ich widzę i że nie odchodzę.

Rozdział 23

Podczas piątkowej przerwy na lunch cieszę się jak zwykle, że weekend za pasem i że oderwę się od tego, przez co się tak denerwuję. Uświadamiam sobie jednak, że będę tęsknić za Liptonem i za redakcją. Nie tęskniłam za nikim od czasów Jenny, wcześniej też nie, więc dziwnie się czuję.

Beth Ann, Marvo i ja siedzimy w redakcji, pracując i jedząc lunch, kiedy Marissa z płaczem wpada do pomieszczenia. Najpierw tylko się w nią wpatrujemy, zaszokowani i niepewni, co robić. Potem Marvo podnosi ręce jak aresztowany, na wypadek gdyby ktoś go obwiniał.

Próbuję zebrać się na odwagę i powiedzieć coś na pocieszenie. Beth Ann wzdycha i odwraca się na krześle, żeby spojrzeć na Marissę.

- Co się dzieje? - pyta. - Adrian nadal cię ignoruje, bo ratuje świat, pocieszając samotnych?

- „Ci samotni ludzie, skąd wszyscy oni są?”^[1] - mamrocze Marvo.

Beth Ann wskazuje brodą drzwi.

- Wypad - oznajmia. - Dzisiaj jest damski dzień.

- Niby kto tak powiedział?

- Niby ja. - Patrzy na niego spode łba i w trzy sekundy Marvo znika.

Marissa pociąga nosem.

- W piątki jemy lunch razem, zawsze. W ten jeden jedyny dzień.

- A on cię olał - domyśla się Beth Ann.

Marissa kiwa głową.

- Całkiem mnie ignoruje, a przejmując się tym, wychodzę na samolubną egoistkę, bo on pęta się z jakimś dzieciakiem, który nie ma przyjaciół.

- Fakt. Beznadzieja, że masz takiego miłego faceta.

Marissa marszczy brwi.

- Musi to robić codziennie? - pyta. - Nie może jednego dnia przeznaczyć dla mnie?

- Widocznie jest dużo dzieciaków bez przyjaciół.

- Chcę go odzyskać - oświadcza Marissa. - Najchętniej bez przyklepionego do niego Raja Radhakrishnana.

Beth Ann wybucha śmiechem.

- Raj nie jest taki zły. I wkrótce pojawi się w księdze rocznikowej! - Pokazuje listę na ścianie.

Marissa jęczy.

- Fajnie, kiedy samotnicy mają swój dzień, prawda? - Beth Ann podjeżdża do mnie na krzesło i unosi rękę, żeby przybić ze mną piątkę.

Nie pamiętam, żeby ktoś ostatnio przybijał ze mną piątkę, jeśli w ogóle. Podnoszę rękę, a ona klaszcze w nią mocno, czego się nie spodziewałam. Nasze dłonie uderzają o moje czoło.

- Au!

- O, cholera. - Beth Ann wydaje się przejęta, ale jednocześnie chichocze.

No bo kto nie potrafi przybić piątki bez obrywania w łeb?

- Moja wina - mówię.

- W porządku?

Kiwam głową.

- Najwyraźniej mam skłonność do wypadków przy przybijaniu piątek - wzdygam.

- Jesteś strasznie dziwna - zauważa Beth Ann.

Krew odpływa mi z twarzy. Co ja sobie myślałam, próbując zachowywać się tak, jakbym tu pasowała?

Beth Ann trąca mnie w ramię.

- Ale to komplement - dodaje. - Wiesz o tym, prawda?

Przełykam ślinę.

- Jasne, wiem.

Marissa przygląda się nam z nadętą miną, po czym znów wybucha płaczem. A może się śmieje?

- Powinnam jeść lunch z chłopakiem, a ja siedzę tutaj i gapię się na dwie idiotki - burczy.

- Co? - Beth Ann kładzie dłoń na biodrze. - Chciałabyś przegapić nasz niezwykły pokaz manualnej zręczności? - Próbuje jeszcze raz przybić mi piątkę i ciągle nie trafiamy.

Marissa się do nas przyłącza i zgodnie zanosimy się śmiechem, niezręcznie uderzając dłońmi o dłonie, celowo chybiając i zataczając się po pomieszczeniu. Trudno mi w to uwierzyć i nie mam złudzeń - nie oczekuję, że ta sytuacja przetrwa próbę czasu, ale tu, w tej chwili, jestem w samym centrum zdarzeń. Tym razem żyję własnym, a nie cudzym życiem.

I normalnie oddycham.

Mama przetrzymuje telefon przez cały weekend. Tak naprawdę mi go nie brakuje, bo i tak dzwoniłam wyłącznie do Jenny. Lipton wie, że ma mejlować, a nie pisać wiadomości, a spraw Obserwi mogę pilnować ze swojego komputera. Jednak dziwnie się czuję bez telefonu.

W poniedziałek rano pytam mamę, czy mi go odda.

- Hasło? - pyta w odpowiedzi.

- Nieważne - mówię.

Tę samą rozmowę przeprowadzamy we wtorek. W środę rano próbuję pogadać z tatą, ale on tylko kręci głową.

W czwartek już nie pytam.

Zamiast tego żyję chwilą. Wymieniam liściki i uśmiechy, a do tego nieporadnie próbuję rozmawiać z Liptonem. Zjawiam się w gabinecie pani Greene, kiedy czuję się przytłoczona, tak jak wtedy, gdy Beth Ann próbuje mi przybić piątkę na korytarzu i wszyscy się śmieją, widząc, jaka jestem niezręczna.

Marissa z nieszczęśliwą miną snuje się z kąta w kąt po redakcji, a Adrian siada do lunchu przy jednym stole z dziećmi, które zwykle jadają samotnie. Chcę poprawić jej humor, ale zarazem nie chcę, żeby Adrian przestał się tak zachowywać.

- Mogłabym przespacerować się po stołówce nago i pewnie nawet by nie zauważył - żali się Marissa w czwartek. - Napisałam do Obserwi, żeby spytać, czy nie zamieściłaby zdjęcia East 48 przed ich występem w ten weekend.

- Nie możesz ich pokonać to się przyłącz, co? - mówi Beth Ann.

- No tak. - Marissa ciężko opada na krzesło. - Coś w tym

rodzaju.

Po powrocie do domu widzę, że Marissa zamieściła nowe zdjęcia na stronie East 48. Na większości tańczy i jest w centrum uwagi, ale na jednym stoi w tle, zupełnie sama, i nikt na nią nie patrzy. Idealnie.

Jeśli to zrobię, może Adrian uświadomi sobie, że musi widzieć także ją?

Nie mogę sprawdzić wiadomości, bo komputerowa wersja Instagramu ich nie pokazuje. Mogę jednak udawać, że to zrobiłam. Mogę zamieścić zdjęcie i podziękować Marissie za zaproszenie na koncert. Adrian oszaleje z zachwytu, Marissa będzie wniebowzięta, a Observi okaże się... uczennicą liceum Richardsona?

Nie myślę o ryzyku zdemaskowania. Photoshopowałam się na mnóstwo rozmaitych zdjęć obserwujących, równie dobrze mogę się wkleić na jeszcze jedno. W najbliższych dniach zrobię kilka innych fotomontaży, żeby uniknąć podejrzeń.

Kilka minut później Observi tańczy z Marissą DiMarco w tle koncertu East 48. Teraz muszę wymyślić, jak wysłać zdjęcie z mojego komputera, bo Instagram umożliwia to tylko z urządzeń kieszonkowych. Zawsze jest jednak jakaś apka na wszystko. Szybko znajduję taką, która nie tylko pozwala wysłać zdjęcia z mojego komputera, ale też ustawiać czas zamieszczenia zdjęcia. Ustawiam kwadrans po dwunastej jutro, czyli fotografia pojawi się w czasie przerwy na lunch. Będę wtedy w redakcji i nigdy się nie domyślą, że to ja.

W piątek rano Lipton nie może usiedzieć na miejscu. W czasie lekcji trzy razy upuszcza ołówek, a gdy przytrafia mu

się to po raz czwarty, usiłuje złapać ołówek w locie i niechcący ciska go na środek klasy. Do tego wymienia z Adamem serię głupich min z wytrzeszczonymi oczami, jakby usiłowali udawać jaszczurki.

Czekam na liścik, ale nic się nie pojawia.

Po lekcji Lipton idzie tak blisko za mną, że prawie na mnie wpada.

- Sorry. Sorry - mówi.

- W porządku. - Potykam się, wkładając z powrotem but.

Adam stoi w pobliżu i przewraca oczami.

- Eee... Tak się zastanawiałem... - zaczyna Lipton. - Czy mógłbym zamienić z tobą słowo?

Mówi jak dyrektor, który wzywa mnie na dywanik.

- W porządku. - Moje serce szybciej bije.

Lipton ujmuję mnie za łokieć i prowadzi do tej samej wnęki, w której przykucnęłam, udając, że wiążę sznurowadło. Puszczą moją rękę, po czym przejeżdża dłonią przez włosy, które natychmiast opadają mu z powrotem na oczy.

- Chciałem cię zapytać... - Przełyka ślinę i znów poprawia włosy. - Zastanawiałem się, czy nie poszłabyś na koncert. East 48. - Wyciąga z kieszeni kartonik z reklamą koncertu, pewnie ten sam, który Adrian dał Rajowi, i wpycha mi go do ręki. - Masz. Tu.

- W sobotę? - pytam.

- Tak, w sobotę. Zapomniałem powiedzieć? W sobotę. Jutro.

Uśmiecham się do Liptona. Dzieje się coś dziwnego. Jego zdenerwowanie wydaje się mnie uspokajać. Im bardziej jest zakłopotany, tym pewniej się czuję.

- Adrian Ahn mnie zaprosił - mówi. - To jego kapela. Gra w niej na perkusji.

- Tak - odpowiadam, choć nie mogę uwierzyć, że przyjmuję zaproszenie na koncert.

Może później oprzytomnieję.

Lipton wydaje się skołowany.

- „Tak”, bo wiesz, kto to jest Adrian, czy „tak”...

- Pójdę z tobą na koncert.

- Naprawdę? - Cała twarz mu się rozpromienia.

Kiwam głową w przekonaniu, że uśmiecham się do niego równie promiennie.

- Eee, dobrze. Podjadę po ciebie - mówi. - To znaczy, moja mama pojedzie. Ale będę w samochodzie, oczywiście. Znaczą się, moja mama nas zawiezie. Jeśli to w porządku. Jeszcze nie mam prawa jazdy.

- W porządku - oznajmiam, bardzo spokojna i opanowana. - Widzimy się.

- Okej, świetnie! - Lipton zaczyna się wycofywać. Zaciska dłonie na ramiączkach plecaka jak farmer na szelkach ogrodniczek. - Widzimy się.

Odwraca się i wpada prosto na wodopój, obrywając prosto w krocze. Lekko się przygina, ale idzie dalej bokiem, żeby ominąć przeszkodę. Potem rusza w kierunku łazienki dla chłopaków.

Podchodzi do mnie Adam.

- Wie, gdzie mieszkasz? - pyta.

- Wątpię - mówię.

Śmieje się, a ja wcale nie jestem zdenerwowana. Zapisuję

swój adres i wręczam kartkę Adamowi.

- Przekażę mu. Powinnaś wiedzieć, że pewnie przyjedzie dziesięć minut za wcześnie. Zawsze jest przed czasem.

- Okej. - Jestem zachwycona, że rozmawiam z Adamem i wcale się nie pocę, ale na korytarzu robi się pustawo. Zaraz zadzwoni dzwonek, a nie chcę się spóźnić na lekcję. - Dzięki.

Adam wzdycha.

- Tylko nie pogrywaj sobie z nim, okej? On naprawdę cię lubi.

Patrzę, jak się odwraca i odchodzi, po czym biegnę do klasy. Przerazenie związane z pójściem na koncert dopada mnie dopiero w połowie lekcji. Oddycham i próbuję się skupić na detalach, a nie na ogromie całej tej sytuacji. Zastanawiam się, co włożę, ale w rezultacie denerwuję się jeszcze bardziej.

Dasz sobie radę, powtarzam w duchu.

W myślach wyliczam wszystko, co zrobiłam w ostatnich tygodniach i co jeszcze miesiąc temu wydawało się niemożliwe. Dołączyłam do redakcji księgi. Mam za sobą kilka prawie normalnych rozmów. Żartowałam z kolegami. Może i okropnie, ale przybijałam piątki. Przywitałam się z Hallie Bryce co najmniej sześć razy. Wymieniałam liściki z fajnym chłopakiem, a kilka razy miałam z nim najprawdziwszy fizyczny kontakt. Rozmawiałam z nim, ba, śmiem twierdzić, że wręcz flirtowałam.

Co najbardziej zdumiewające, weszłam do gabinetu szkolnej psycholog, usiadłam i niemal porozmawiałam z nią o tych sprawach.

Przeraża mnie jednak coś, o czym nie mogę przestać

myśleć. Czy to wszystko by się wydarzyło, gdyby Jenna nadal tu była?

Czy nie jest mi lepiej bez niej?

- Pomóż mi znaleźć jakieś nie do kitu - mówi Marvo, patrząc na fotografie rozmaitych ludzi, których część ma trafić do naszej sekcji specjalnej.

Zrobienie zdjęć wszystkim było trudne, dopóki nie wspomniałam o ich Instagramach i nie zaproponowałam, żebyśmy poprosili ich o podesłanie fotografii.

Siedzimy więc przy jego komputerze w redakcji. Wybieramy nasze ulubione zdjęcie włóczkowej grafficiarki, po czym wchodzimy na profil Hallie Bryce.

- Wszystkie są w porządku. Są przeciwieństwem zdjęć do kitu. - Klika kolejne zdjęcia Hallie, po czym przegląda je od początku. - Jak mamy wybrać tylko jedno?

Pokazuję mu swoje ulubione. Hallie jest w parku i trzyma się oparcia ławki jak baletowego drążka. W tle stoi starsza pani z chodzikiem.

- Wygląda na nim idealnie, a ta staruszka z tyłu również rozstawiła stopy, jakby usiłowała się upozować w taki sam sposób - mówię.

- W ogóle tego nie zauważyłem - śmieje się Marvo.

Klikam na inne ulubione zdjęcie, na którym Hallie trzyma nogę pod absurdalnym kątem, ale także patrzy prosto do aparatu. Kiedyś myślałam, że ma wyniosły wyraz twarzy, teraz jednak widzę na niej smutek.

- I to - dodaję. - Jej twarz.

- A, tak. - Marvo kiwa głową.

- Nic dziwnego, że Beth Ann nie chciała dziś przyjść - odzywa się Marissa. - Żebyście słyszeli, jak się rozpływacie nad tym chodzącym ideałem.

Marvo i ja odwracamy się i przez chwilę gapimy na Marisę, po czym oboje wybuchamy śmiechem. Marvo pewnie myśli, że Marissa jest równie doskonała jak Hallie, ale moim zdaniem jest równie niedoskonała.

Marissa nie zwraca na nas uwagi. Nagle wstaje z telefonem w dłoni... i wrzeszczy.

- Co jest? - Marvo zrywa się z miejsca. - Co?

Też podskakuję, chociaż jestem prawie pewna, że znam powód tych wrzasków.

- O co chodzi?

- O Boże, o Boże, o Boże. Zrobiła to. O mój Boże. Patrz. - Podsuwa mi telefon pod nos, żebym zobaczyła zdjęcie Observi na koncercie East 48. - Patrz! Patrz! Tańczy ze mną!

Wskazuje na podpis:

observi *Dzięki za zaproszenie, @marissadimarco.*
#wspierajlokalnąmuzykę #East48

- Wspomniała o mnie! Odpowiedziała mi! - Marissa przestaje podskakiwać i pokazuje zdjęcie Marvowi. - Uwierzycie? Muszę powiedzieć Adrianowi! O mój Boże!

Zostawia torbę i wybiega, unosząc telefon jak Święty Graal. Marvo i ja patrzymy na nią, a potem na siebie.

- Okej, co się właśnie stało? - pyta. - Nawet nie zdążyłem zobaczyć, co tam miała.

Wykrzywiam twarz. Powinien myśleć, że też nie jestem

pewna.

- Wygląda na to, że ta dziewczyna z pomarańczowo-fioletowymi włosami zamieściła na Instagramie coś o koncercie Adriana - mówię.

- Ach, tak. - Marvo kiwa głową. - Hm.

Odwracam się do komputera.

- Wracamy do pracy - mówię.

- Jasne. - Znów kiwa głową, a na jego usta wypełza uśmiech.

- A ty idziesz na ten koncert?

Mogłabym przysiąc, że zna prawdę. Wie, że jestem Observi, poznaję to po jego spojrzeniu.

- Hm?

- Na koncert East 48. Idziesz?

- Eee... Tak. Z Liptonem. Zaprosił mnie, więc...

- Ho, ho, ho, wielka randka. - Marvo wymownie porusza brwiami.

Popycham jego krzesło, a gdy odjeżdża od biurka, znowu wbijam wzrok w zdjęcia. Marvo z uśmiechem przysuwa się ponownie i wskazuje zdjęcie Hallie ze starszą panią.

- To jest to - mówi. - Przecież tak naprawdę chodzi o tych ludzi w tle.

Rozdział 24

Spędzam piątkowy wieczór na przymierzaniu wszystkich swoich ubrań i w końcu dochodzę do wniosku, że nie mam co na siebie włożyć. Dobrze, że mama skonfiskowała mi telefon, bo odwołałabym wyjście. Mogłabym napisać do Liptona mejl i myślę o tym, ale wciąż mam w pamięci ostatnie słowa Adama, więc pytam mamę, czy pójdziemy na zakupy.

- Mam randkę - mamroczę.

Mama prawie eksploduje z zachwytu.

W sobotni poranek idziemy do tych sklepów co zwykle. Ukrywam się przed znajomymi ekspedientkami i skreślam wszystkie znajome ubrania. W końcu trafiamy do sklepu z niedoborem personelu, który zresztą kompletnie nas ignoruje. Wybieram czarny golf, na tyle obcisły, żeby mama czuła się usatysfakcjonowana. Upiera się też przy nowej parze rurek. W chwili słabości pozwalam nawet zaprowadzić się do stoiska z kosmetykami w Neiman Marcusie, gdzie pani w białym fartuchu maluje mi oczy eyelinerem i mascarą. Staram się skoncentrować na oddychaniu, a nie na tym, że twarz nieznałomej kobiety znajduje się kilka centymetrów od mojej i że każdy, kto przechodzi, gapi się na to, co ta kobieta mi robi. Kiedy kończy, mrugam, patrząc na siebie w lustrze. Moje oczy wydają się gigantyczne. Mama kupuje kosmetyki.

W drodze do domu jestem zdenerwowana. Martwię się, że

sweter będzie zbyt obcisły i nie da się włożyć pod niego podkoszulka albo że dzinsy będą dziwnie leżały, albo że w makijażu przypominam klauna.

- Nie mam butów - mówię. - Które buty włożyć?

- Możesz wziąć moje czarne botki - odpowiada mama spokojnie.

Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądają jej czarne botki i czy nie są za bardzo mamusiowate. Gdy wracamy do domu, mama mi je wręcza, a ja dochodzę do wniosku, że są śliczne. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo tak naprawdę nie mam pojęcia. Ufam mamie w kwestiach mody. Boże, co ja wyprawiam?

Znów wszystko mierzę i związuję włosy w koński ogon. Mama spogląda na mnie i zaczyna płakać.

- Jesteś taka piękna - mówi, przykładając palce do ust. - Nigdy nie sądziłam...

- Nigdy nie sądziłaś, że mogę wyglądać pięknie?

- Nie, świetnie wiem, że jesteś piękna, w makijażu czy bez. Po prostu nie sądziłam, że pozwolisz, aby ktoś inny to zobaczył. Zawsze próbujesz się ukryć.

Wypędzam ją ze swojego pokoju, zanim sama się rozpłaczę. Jest dopiero trzecia i nie mogę jeszcze panikować. Zdejmuję nowe ubranie i wkładam stare. Siadam przed komputerem, żeby otworzyć Instagram i nie myśleć ani o koncercie, ani o nowym stroju, ani o randce, ani o tym, co będzie, jeśli Lipton spróbuje mnie pocałować. Szybko otwieram swoją stronę, zanim zabrnę zbyt daleko w tych rozważaniach.

Gdzieś w środku nocy Observi zdobyła milionowego

obserwującego. Wiedziałam, że to się może zdarzyć, i jestem zdumiewająco spokojna. To ze względu na Ellen, mówię sobie, nie na mnie. Kiedy Ellen każe ludziom kogoś obserwować, to obserwują. Rymująca Rhea puściła maszynę w ruch, a Ellen gwałtownie podwyższyła obroty.

Teraz, przy milionie dwustu tysiącach obserwujących, na moim profilu jest niemal tyłu ludzi, co w Dallas w Teksasie albo w całym stanie New Hampshire. Tyle tylko, że moi obserwujący są rozsiani po całym kraju i świecie. Część komentarzy napisali w językach, których nawet nie rozpoznaję.

Staram się nie myśleć znowu o tym, jak wyglądałoby ci ludzie, gdyby zebrać ich wszystkich w jednym miejscu. Przypominam sobie, że przychodzą do mnie pojedynczo, czytam ich komentarze po jednym na raz i odpowiadam na każdy z osobna.

Konfrontacja z jednym człowiekiem nie jest taka straszna.

Sprawdzam post ze zdjęciem East 48. Ma dziewięćdziesiąt osiem tysięcy trzysta lajków i dwa tysiące czterysta komentarzy. Przeglądam je przez następną godzinę. Marissa pewnie poświęciła całą noc na ich czytanie, bo mniej więcej w co dwudziestym informuje wszystkich o sobotnim koncercie. Ma być największy, w miejscu, w którym zwykle się odbywają imprezy o randze krajowej. Jeśli uda się im wypełnić salę, to będzie przełom.

Powinnam była otagować zespół. Edytuję post, a po kilku minutach uczestniczę w rozmowie:

east48rocks *Dzięki za poparcie, Vi! Chciałbym, żebyś*

przyszła na nasz dzisiejszy koncert.

observi *Ja też.*

raychaelbee *Ja też!*

anonymuskateer *Ja też.*

hatemisphere *Ja też!*

marissadimarco *Ja też!!!!*

I tak dalej. Wylogowuję się i usuwam historię wyszukiwania. Tym razem nie powinnam była pisać: „Ja też”, bo w ten sposób rozmyłam znaczenie tych dwóch prostych słów. Obserwujący Observi inaczej je rozumieli. Naturalnie, wszystko zaczęło się od Foo Fighters, kiedy ludzie pisali: „Ja też”, mając na myśli swoją obecność na koncercie. Potem jednak chodziło im o coś innego. „Też się boję”, twierdzili, albo: „Też jestem samotny”. Albo, co istotniejsze:

„Nie jesteś samotny”.

I ja już nie jestem samotna, ale bez Jenny wciąż tak się czuję. Myślę, że może nie chciała powiedzieć tego o marnowaniu na mnie tych wszystkich lat. Może to jakieś wielkie nieporozumienie. Mogłabym do niej zadzwonić albo wysłać mejl.

Ale irytujący głosik w mojej głowie pyta: Niby po co? Już dwukrotnie odwróciła się do mnie plecami.

Po co miałabym się znów narażać na upokorzenie? Zwłaszcza teraz, gdy chyba robię postępy.

Nie mogłabym.

Nie zrobię tego.

Nie mogę.

Ja...

O Boże, nie mogę iść na tę randkę. Co mi strzeliło do głowy, że się zgodziłam pójść na koncert, gdzie otoczą mnie inni? Tłumy są najgorsze. Tylu ludzi, tyle możliwości, żeby się upokorzyć.

Zaczynam się pocić, pokój wiruje. Nie mam papierowej torby, więc przykładam dłonie do twarzy, żeby w nie oddychać, po czym, nadal siedząc na krześle, opuszczam głowę między kolana. W tej pozycji znowu oglądam wady swojego pokoju, aż w pewnej chwili słyszę sygnał przychodzącego mejla na komputerze.

Wyprostowuję się zbyt szybko i pokój znowu wiruje. Kiedy przestaje, sięgam po myszkę i otwieram pocztę przychodzącą. To list od Liptona.

Nie mogę się doczekać, kiedy Cię zobaczę. Jestem okropnie zdenerwowany. Właśnie źle włożyłem buty. Proszę, nie śmieć się, jeśli będę miał ubranie tył na przód, kiedy po Ciebie przyjadę. Czuję się tak, jakbym stracił władzę w kciukach. Au, właśnie wyklutem sobie oko szczoteczką.

Śmieję się głośno, a moje zdenerwowanie ustępuje. Nie do końca, ale wystarczy. Odpisuję:

Dzięki, potrzebowałam tego. Do zobaczenia wieczorem!

Idę do łazienki, nadal roztrzęsiona, i patrzę na siebie w lustrze. Fachowo nałożony makijaż oczu całkiem się rozmazał. Zmywam go, po czym trzy razy próbuję nałożyć ponownie, zanim zacznie wyglądać prawie tak dobrze jak wtedy, gdy wychodziłam ze sklepu. Mama woła mnie na

kolację i staram się jeść, jednak mam ściśnięty żołądek. Przynajmniej tym razem mama mnie nie nęka. Przepraszam i wychodzę, żeby się ubrać. Wkładam nowe ciuchy i botki mamy. Dodaję nawet kolczyki i bransoletkę Observi, licząc na to, że w pojedynczej nikt nie rozpozna.

Potem przychodzi pora i mama krzyczy:

- Przyjechali!

Wyglądam przez okno i widzę minivana na podjeździe. Oddycham. Rozlega się dzwonek, a mama woła mnie po imieniu i otwiera drzwi.

Po raz ostatni spoglądam na siebie w lustrze. Przyglądam włosy, których nie trzeba przyglądać. Mocniej związuję koński ogon i kładę dłoń na gałce u drzwi.

- Vicky! - krzyczy mama. - Gregory po ciebie!

O Boże, poważnie tak powiedziała?

Kiedy wchodzę do salonu, Lipton tłumaczy:

- Mam na imię Lipton, proszę pani, a na nazwisko Gregory.

- A tak. - Mama teatralnym gestem uderza się w głowę. - Wiedziałam. Pewnie jestem zdenerwowana przez waszą randkę. - Chichocze.

Chcę umrzeć, ale jestem zbyt zajęta gapieniem się na Liptona i powstrzymywaniem szczęki przed opadnięciem na podłogę.

Obciął włosy.

Zniknęła fryzura pod garnek, a na jej miejsce pojawiły się najładniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałam na facecie. Superkrótkie z boków i z tyłu, ale nadal dość długie z przodu, jakby celowo rozczochrane i...

- Twoje włosy. - Nie chciałam powiedzieć tego głośno. - Super wyglądają.

- Twoje też. - Uśmiecha się i widzę, że przerwa między jedynekami oraz dołeczek są na swoich miejscach. - Naprawdę ładnie wyglądasz.

Mama uśmiecha się do nas, a w jej oczach lśnią łzy.

Chwytam płaszcz i torebkę, do której przez godzinę pakowałam wieloletni zapas miętówek i chusteczek oraz dodatkowy podkoszulek, zwinięty i wepchnięty do plastikowej torebki z suwakiem, na wypadek gdybym przepociła T-shirt, który mam na sobie. Wnioskując z tego, co się dzieje, być może stanie się tak, zanim jeszcze dotrzemy na koncert.

- Chodźmy - mówię.

Lipton przytrzymuje mi drzwi, a nawet delikatnie kładzie rękę na moim krzyżu, żeby mnie poprowadzić.

- Wolisz usiąść z przodu czy z tyłu? - pyta.

Jestem trochę zdziwiona, bo myślałam, że usiądziemy razem.

- Może być z tyłu - mówię.

Na chwilę zamyka oczy, a następnie otwiera drzwi. W środku jest dziewczynka, po przeciwnej stronie. Wygląda na osiem lat.

- To moja siostra Tammy - mówi Lipton. - Na pewno nie chcesz usiąść z przodu? Ja mogę siedzieć z tyłu.

Tammy się uśmiecha, kiedy na nią zerkam.

- Jest w porządku - odpowiadam.

Ładujemy się do środka. Pani Gregory odwraca się i przedstawia, wyciągając rękę, którą ściskam. Mam nadzieję,

że nie zauważa wilgoci na mojej dłoni. Potem młodsza siostra Liptona wyciąga do mnie rękę.

- Bardzo miło cię poznać - mówi. - Lipton gada o tobie przez cały czas. Powiedział, że...

- Tammy! - uciszają ją jednocześnie Lipton i jego matka.

- Jejku, jejku - mamrocze. - Wcale nie chciałam powiedzieć nic złego.

- W ogóle nic nie mów - cedzi Lipton przez zaciśnięte zęby.

I tak rozpoczyna się najbardziej niezręczna przejażdżka samochodem w historii ludzkości. Lipton i ja nie możemy ze sobą rozmawiać, a jego siostra pokazuje gest zamykania ust i wyrzucania kluczyka. W ten sposób tylko mama Liptona wypełnia ciszę namiastką rozmowy.

- Vicky, słyszałaś kiedyś ten zespół?

Przełykam ślinę. Zdawkowe pogawędki z rodzicami (i w ogóle z kimkolwiek) nie są moją mocną stroną.

- Tak - potwierdzam z wysiłkiem. - Ale nigdy na żywo. Tylko na YouTube.

Znowu zapada cisza. Lipton włącza radio. Leci Taylor Swift, więc natychmiast je wyłącza.

- Lubię tę piosenkę! - jęczy Tammy.

- Wszyscy jesteśmy boleśnie świadomi twojej fascynacji Taylor Swift - odpowiada Lipton.

- Lubisz ją? - Tammy patrzy na mnie. - Jeśli ją lubisz, Lipton z powrotem włączy radio.

Zastanawiam się, jak z tego wybrnąć. Taylor Swift nie jest moją ulubienicą, ale nastawianie siostry Liptona przeciwko sobie już na samym początku nie wydaje się mądre.

- Podobają mi się niektóre jej piosenki - odpowiadam wymijająco.

- Lubi ją! - Tammy wyciąga rękę i wali w bok fotela Liptona.

- Włączaj!

Lipton odwraca się do mnie i unosi brwi. Mogę tylko wzruszyć ramionami, więc włącza radio, a Tammy zaczyna podskakiwać w rytm muzyki. Kiedy piosenka dobiega końca, siostra Liptona przybliżyła swoją twarz do mojej.

- Będiesz dziewczyną mojego brata? - pyta.

Ze zdumienia otwieram usta.

- Ja... eee...

- Tammy - odzywa się karcąco matka Liptona. - Dość.

- Przepraszam, że żyję - prychna Tammy.

Wiem, że Lipton umiera z zażenowania, i czuję skruchę, że jest mi to na rękę, ale tylko dzięki temu panuję nad niepokojem. Gdyby był gładki i wygadany, tak jak wygląda, pewnie bym zemdląła. A tak, proszę bardzo, wciąż siedzę prosto.

Docieramy na miejsce parę minut później i Lipton od razu wyskakuje z samochodu, żeby otworzyć mi drzwi. Podczas wysiadania udaje mi się uniknąć żenujących sytuacji, choć jestem pewna, że Tammy cmoka za moimi plecami.

Lipton piorunuje ją wzrokiem i trzaska drzwiami.

- Bardzo cię przepraszam - mówi. - Nie miałem pojęcia, że pojedzie z nami moja siostra. Tata musiał iść do pracy i...

- Nie ma sprawy - zapewniam go.

Oboje się odwracamy, patrzymy na klub i dopiero wtedy dociera do nas, że kolejka ludzi okrąża budynek i ciągnie się

wzdłuż ulicy.

- Kupiłeś bilety? - pytam.

Lipton kręci głową.

- Wątpię, żeby wcześniej w ogóle sprzedawali bilety. Mam tylko to. - Wyciąga kartonik, który dostał od Adriana.

Ustawiamy się w kolejce i powoli się przesuwamy wraz z innymi.

- Nie wiedziałem, że są tacy popularni - mówi Lipton.

- Ja też nie.

Dziewczyna przed nami mierzy wzrokiem najpierw mnie, potem Liptona, a na koniec wznosi oczy ku niebu i odwraca się do przyjaciółek.

Lipton pochyla się i szepcze mi do ucha:

- Jestem źle ubrany czy co?

- Jesteś dobrze ubrany - odpowiadam.

Mogłabym dodać, że bardzo dobrze. Ma nowe obcisłe dżinsy, które idealnie do niego pasują, ciemnoszarą koszulę i czarną bosmankę.

Jest początek listopada, zrobiło się bardzo zimno. Wkładam ręce do kieszeni, cała się trzęsę. Lipton przysuwa się i obejmuje mnie ramieniem, po czym powoli przyciąga mnie do siebie. Na moich ustach pojawia się uśmiech. Lipton to zauważa i szczerzy się do mnie radośnie. Czuję, że robię się czerwona.

Przynajmniej już nie jest mi zimno.

Kolejka, która przestała się przesuwać, w ogóle nie zaprzęta moich myśli. Jesteśmy tylko my dwoje, ja i Lipton. Czuję przez płaszcz ciepło jego ramienia, dotyk jego piersi na

moim ramieniu, jego oddech na moich włosach.

Wiem, że Lipton nie zrobi ze mnie innego człowieka, nie zdoła magicznie zdusić wszystkich moich lęków ani zapobiec irracjonalnym stanom lękowym. Teraz jednak, w tej chwili, w jego ramionach, czuję się niemal normalna – przynajmniej na tyle, na ile wyobrażam sobie normalność.

Nagle ktoś wychodzi z klubu i oznajmia, że budynek jest wypełniony i że komendant straży pożarnej nie pozwala wejść nikomu więcej.

- Bardzo mi przykro - mówi. - Zespół wróci na trzy dodatkowe koncerty, terminy zostaną podane za kilka dni na stronie grupy.

Wszędzie rozlegają się okrzyki rozczarowania, kilka dziewczyn zaczyna szlochać, a niektóre postanawiają zadręczać faceta przy wejściu błaganiami, żeby je wpuścić.

On jednak tylko kręci głową i powtarza: „Przykro mi”. Dodaje, żeby zaglądały na stronę zespołu w sprawie informacji o przyszłych koncertach. Ludzie się rozchodzą, hałaśliwie demonstrując niezadowolenie. Dziewczyna przed nami znów patrzy krzywo na mnie i na Liptona, jakbyśmy to my odpowiadali za to, co się dzieje.

- Głupia Observi - mówi.

Cofam się o krok.

- Nie jestem Observi! - odpowiadam.

- No bez jaj - burczy dziewczyna. - Jej obserwujący się tu nazłazili, wszystko przez nich.

Lipton podchodzi do niej.

- My nikogo nie obserwujemy - odpowiada. - Adrian zaprosił

nas osobiście. – Patrzy na mnie. – O kim ona mówi?

Wzruszam ramionami i od razu kiepsko się czuję. Ten gest był kłamstwem, co oznacza, że skłamałam Liptonowi prosto w twarz.

Dziewczyna krzywi się do nas i odchodzi.

– Pewnie powinniśmy byli przyjechać wcześniej – odzywa się Lipton. – Nie wiedziałem.

– W porządku. Koncerty i tak mnie przerażają.

– Nie będzie ci przykro, jeśli nie pójdziesz?

– Trochę się boję ludzi – mówię. – Pewnie zauważyłeś.

– Więc nie chodzi tylko o mnie?

– Ani trochę. Już nie.

Stoimy, uśmiechając się do siebie, aż chodnik robi się pusty, a rumieńce na naszych policzkach już nas nie rozgrzewają.

– Co chcesz robić? – pyta Lipton. – Mama odbierze nas dopiero o wpół do jedenastej.

Rozglądamy się wokół. W pobliżu niewiele jest do roboty. Gabinet ortodonta, bank, sklep całodobowy i kręgielnia. Nigdy w życiu nie grałam w kręgle. Zaczynać teraz to chyba kiepski pomysł.

Jednak oczy Liptona rozjaśniają się na widok kręgielni.

– Grasz w kręgle?

Kręcę głową.

– A chcesz spróbować? – Lipton lekko podskakuje i uśmiecha się szeroko.

Mrugam, patrząc na szyld kręgielni, a potem na pełną nadziei twarz Liptona. Wygląda na to, że mu ulżyło, bo znalazł sposób na uratowanie naszej randki. Zerkam na sklep, który

wydaje się jedyną inną opcją, jeśli nie liczyć spaceru z odmarzniętymi tyłkami.

- Mogę cię nauczyć - dodaje Lipton. - Będzie fajnie.

Moja głowa zaczyna kiwać, zanim jeszcze mózg zdąży udzielić pozwolenia.

- Okej - słyszę swój głos.

- Na pewno? - Lipton bierze mnie za rękę i ją ściska.

Nie jestem ani trochę pewna, gdy mam spróbować czegoś nowego - dotyczy to także sportu - w wyjątkowo publicznym miejscu, ale odwzajemniam uścisk, nadal kiwając głową. Nie mogę przez cały czas patrzeć na świat z boku.

- Tylko proszę, nie pozwól, żebym zrobiła z siebie kompletnego głupka - wzdycham.

- Bez obaw - odpowiada ze śmiechem. - Robienie z siebie głupka to moja działka.

Rozdział 25

W kręgielni panuje hałas, który początkowo jest nie do zniesienia. Puszczają jakiś pop, od którego bolą zęby, potęgowany elektronicznymi piskami i bzyzieniem kilkunastu gier automatycznych. Na to wszystko nakłada się szum ludzi usiłujących przekrzyczeć zgiełk tak okropny, że ledwie słysząć stukot strącanych kręgli.

W takim hałasie można jednak się zatracić. Kiedy już przyzwyczajam się do jego natężenia, cieszę się, że nikt mnie nie usłyszy, jeśli powiem coś głupiego.

- Nadal nie mogę uwierzyć, że ludzie wykupili wszystkie bilety na koncert - mówi Lipton, gdy zmierzamy do kasy. - Adrian pewnie wariuje ze szczęścia.

- Marissa też.

- O czym gadała ta dziewczyna przed nami?

- Chyba o czymś z Instagramu. - To przemilczenie, które w sumie też jest kłamstwem, więc z nim również źle się czuję.

Nie jestem jednak gotowa, żeby powiedzieć mu o Observi i nie wiem, czy kiedykolwiek będę. Gorączkowo szukam w głowie innego tematu.

- Grałeś już kiedyś tutaj? - pytam.

- Kilka razy.

Zerkam na najbliższy tor, gdzie facet z grubymi opaskami na nadgarstki strąca wszystkie kręgle jednym precyzyjnym

trafieniem. Gość wygląda na zawodowca. Jeśli będę musiała grać obok niego, na pewno zemdleję.

Lipton pochyła się do mojego ucha.

- Będzie fajnie - mówi cicho. - Nie przejmuj się.

Naturalnie, natychmiast zaczynam się przejmować, bo ludzie nigdy nie mówią: „Nie przejmuj się”, jeśli nie ma powodu, żeby się przejmować. Nie mówią też: „Bądź ostrożna”, jeśli coś jest absolutnie bezpieczne ani: „Ubierz się ciepło”, jeśli nie ma mrozu.

Lipton się uśmiecha i wymachuje moją ręką, gdy czekamy w kolejce. Nasze ramiona się dotykają i to wystarcza, żeby wyciągnąć mnie z mojej głowy, oderwać od wszystkiego, co wymyka się spod kontroli. Opieram się o Liptona, a on o mnie i nie ma problemu, że rozmowa niezbyt się klei.

Gdy docieramy do kasy, sięgam do kieszeni po monety, ale Lipton upiera się, że zapłaci. Potem wędrujemy do innej lady z wysoką ścianą przegródek zastawionych najbrzydszym obuwem, jakie w życiu widziałam. Przyglądam się butom o płaskiej podeszwie, czerwonym z jednej strony, niebieskim z drugiej, o białych sznurowadłach i piętach.

Lipton widzi, że się krzywię.

- Seksowne, nie? - mówi.

- Ludzie to noszą? - pytam z niedowierzaniem.

Śmieje się i prosi o rozmiar czterdzieści trzy. Facet z podwyższenia za ladą obrzuca nas uważnym spojrzeniem, sięga po jedną z par butów i bez słowa ciska je na blat.

- Hm, dzięki - mówi Lipton.

On i obuwniczy cham spoglądają na mnie jednocześnie.

Hałas, który wszystko zagłusza, nagle cichnie i mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią. Lęk błyskawicznie powraca. Jestem przekonana, że powiem coś niewłaściwego, choć przecież powinnam tylko wyjawić, jaki numer buta noszę. Pomylę rozmiar. Jestem tego pewna.

Cofam się chwiejnie.

- Nie, dziękuję - odpowiadam piskliwie.

Obuwniczy cham spogląda na mnie dziwnie, a Lipton się pochyla.

- Musisz mieć buty - mówi mi do ucha.

Opuszczam wzrok na buty pożyczone od matki. To botki, ale ujdą.

- Te mi wystarczą, dziękuję - mamroczę.

Lipton uśmiecha się nerwowo i od razu wiem, że robię coś nie tak. Czuję, że zaczynam się pocić.

- Nie pozwolą ci grać w kręgle w butach z ulicy. Trzeba nosić ich obuwie albo przynieść własne. - Odwraca parę, którą trzyma w dłoni, i demonstruje gładką podeszwę. - Widzisz, muszą się nadawać do ślizgania, a poza tym nie wolno brudzić toru.

- Och. Okej. - Zerkam na faceta od butów, który kręci głową i przewraca oczami.

- Chcesz iść do domu? - pyta Lipton. - Może zrobimy coś innego?

- Nie. Włożę te buty.

Nie ruszam się jednak, bo nie mogę. Bo facet od butów mnie osądza. Mogę tylko chować się za Liptonem, unikając kontaktu wzrokowego z każdym, kto mógłby dziwnie na mnie

spojrzeć, czyli ze wszystkimi wokoło.

Lipton dotyka mojego ramienia.

- Przyniosę ci - proponuje. - Jaki rozmiar?

- Trzydzieści osiem - szepczę.

Wraca do lady.

- Trzydzieści osiem proszę.

Facet od butów przygląda się przegródkom z trzydziestkami ósemkami i wybiera najbardziej sfatygowaną parę. Sznurówka są postrzępione i brudne, a zamsz miejscami kompletnie się wytarł. Ktoś użył czerwonego mazaka, żeby zamazać łyse placki, nawet po niebieskiej stronie. Buty są ohydne.

Lipton wpatruje się w nie i kładzie dłonie na ladzie. Delikatnie pociągam go za koszulę, bo ustawiła się kolejka i wszyscy na nas patrzą, a ja chcę już tylko wziąć buty i iść.

On jednak nie bierze ich do ręki.

- Nie ma ładniejszej pary? - pyta.

- Nie. Przykro mi. - Facet od butów odwraca się do następnej osoby. - Rozmiar?

Dziewczyna za nami zerka nerwowo na Liptona.

- Eee... Trzydzieści osiem? - mówi.

Lipton podsuwa jej zniszczoną parę.

- Wygląda na to, że nie mają nic innego w tym rozmiarze.

Reflektujesz?

- Nie, dzięki - krzywi się dziewczyna. - Są ohydne.

Facet od butów podaje jej znacznie ładniejszą parę. Dziewczyna bierze ją ze skruszoną miną i szybko odchodzi. Ja też chcę stąd iść.

Pewnie zasłużyłam na znoszone buty. Nawet nie umiem grać w kręgle.

Lipton jednak jest wkurzony, i to na maksa. Prostuje się i zbliża twarz do twarzy gościa.

- Chcemy inną parę - mówi.

- Musicie stanąć w kolejce - odpowiada facet.

Lipton mocno zaciska szczęki. Nigdy dotąd nie widziałam go w tym stanie, nie wyglądał tak nawet wtedy, gdy Jeremy nabijał się z jego prezentacji w *Minecraftie*. Zamiast się zaczerwienić i w typowy dla siebie sposób zbyć to śmiechem, rozsuwa ręce, zajmując nimi całą szerokość lady.

- Nie, poczekamy tutaj, a pan sięgnie za siebie i poda nam tamte trzydziestki ósemki. - Wskazuje na przegródkę bezpośrednio za plecami gościa. - Wtedy zwrócimy panu tę żalosną parę, która już dawno powinna wylądować na śmietniku. Okej?

Facet od butów gapi się przez chwilę na Liptona, a ja chcę zniknąć, zanim ta idiotyczna sytuacja przyciągnie jeszcze większą uwagę. Facet w końcu bierze zniszczone buty i zastępuje je nową parą.

- Dziękuję. - Lipton uśmiecha się miło i pochyla nad ladą, żeby jeszcze bardziej przybliżyć się do faceta. - Nie omieszkam wspomnieć panu Pasternakowi o tej znakomitej obsłudze, gdy tylko się znowu spotkamy.

Wyraz twarzy faceta jest bezcenny. Lipton pokazuje mu uniesione kciuki, a potem idziemy w kierunku toru, który nam przydzielono.

Wszyscy. Się. Gapią.

Nie są to jednak spojrzenia typu: „Co z nią nie tak?“, do których przywykłam, tylko raczej: „Wow, widzieliście?”. To nadal jest denerwujące, ale już nie tak koszmarne. Kiedy docieramy do alejki, Lipton siada na krześle i ze świstem wypuszcza długo wstrzymywane powietrze.

Siadam obok niego.

- W porządku? - pytam.

Kiwa głową, ale latają mu ręce.

- Mój psychoterapeuta mówi, że muszę umieć się postawić, ale to mnie przeraża. Nie jestem z natury asertywny, pewnie zauważyłaś.

Lipton chodzi do psychoterapeuty? Zamieram w bezruchu, bo wspomniał o tym od niechcienia, jakby to nie było nic wielkiego, a przecież mnie samo wejście do gabinetu pani Greene wydało się ogromnym wyczynem. Rozpaczliwie chcę go o to spytać, ale mówię tylko:

- Powiedz swojemu terapeucie, że świetnie sobie poradziłeś. Ja bym tak nie potrafiła.

- Owszem, potrafiłabyś, gdybyś musiała.

- Ale ty nie musiałaś - zauważam.

Uśmiecha się kącikiem ust, demonstrując dołeczek.

- I miałbym pozwolić ci włożyć te ohydne buty na naszą pierwszą randkę?

Opuszczam wzrok.

- Nie miałabym nic przeciwko temu - mamroczę.

- Ale ja tak.

- Więc postawiłeś się dla mnie, nie dla siebie.

Lipton szczypie dolną wargę palcami, po czym się prostuje.

- I tak się liczy - oznajmia. - Będę to liczył.

- Okej. - Uśmiecham się. - Lipton: jeden, facet od butów: zero.

Lipton unosi pięść w geście zwycięstwa.

- Tak! - wykrzykuje.

- Kim właściwie jest ten pan Pasternak?

- To właściciel - mówi Lipton. - Ma tu wszystkie kręgielnie.

- Znasz go?

- Nigdy go nie spotkałem. - Lipton uśmiecha się nieśmiało.

Wybucham zbyt głośnym śmiechem. Właściwie rechoczę, więc zasłaniam usta dłonią. Lipton też się śmieje, ale normalnie. Pochyla się, aby rozwiązać sznurowadła, a wtedy dociera do mnie, że też muszę zdjąć buty. To jedna z tych dziwnych rzeczy na mojej liście. Boję się zdejmować buty publicznie.

A jeśli śmierdzą mi stopy?

A jeśli mam dziurawą skarpetkę?

A jeśli zgubię but i będę musiała chodzić w jednym?

Lipton już sznuruje czerwono-biało-niebieskie obuwie. Zerka na mnie, a widząc, że nie idę w jego ślady, demonstruje stopę w patriotyczne barwy.

- Daj spokój, nie są takie złe - mówi.

Śmieję się nerwowo, ale nadal nie mogę zdjąć butów.

- Jest tu toaleta dla pań? - pytam.

Wskazuje mi ją, obok automatów do gry.

- Zaraz wracam. - Odchodzę pośpiesznie z butami, żeby uniknąć wyjaśniania problemu.

Łazienka jest odrażająca. Stoję na jednej nodze, zmieniając

but na drugiej, żeby nie dotykać skarpetkami podłogi. Powinnam włożyć świeży podkoszulek, ale mogłabym niechcący upuścić sweter albo wrzucić go do sedesu. Poza tym Lipton czeka i jeśli szybko stąd nie wyjdę, będę się wstydziła, że spędziłam w toalecie za dużo czasu.

Pośpiesznie kończę, myję ręce, ale i tak minęło prawie dziesięć minut, odkąd tu weszłam, więc Lipton na pewno pomyśli, że coś ze mną nie tak.

Właśnie dlatego w ogóle nie powinnam wychodzić z domu.

Marnuję jeszcze dwie minut na wymyślanie ośmiu różnych usprawiedliwień swojej długiej nieobecności. Kiedy wracam na nasz tor, nie muszę się tłumaczyć, bo Liptona nie ma.

Do Listy Grozy dodaję punkt: „Porzucenie w kręgielni”.

Siedzę i czekam, rozmyślając o przeróżnych scenariuszach tego, co zrobię, jeśli Lipton nie wróci. Większość dotyczy niewychodzenia z domu aż do śmierci.

Lipton wkrótce jednak wyłania się z męskiej toalety i wskazuje na moje stopy.

- CO TO MA BYĆ?! - wrzeszczy.

Chcę umrzeć.

Rzecz jasna, znam ten tekst. Widziałam nagrania na YouTube i tysiące razy byłam świadkiem, jak dzieciaki w szkole wykrzykiwały go do siebie. Właśnie z tego powodu nie noszę interesujących butów.

- Wybacz - dodaje szybko Lipton. - Tak naprawdę dobrze w nich wyglądasz.

Jestem pewna, że mam twarz w odcieniu czerwieni na butach. Nie potrafię wymyślić żadnej mądrej ani zabawnej

odpowiedzi.

Pojawia się kelnerka z tacą pełną kubków i jedzenia, którą kładzie na stoliku za nami.

- Dwa koktajle mleczne i duże frytki na tor trzydziesty ósmy
- recytuje.

- To nasz. - Lipton znów wstaje. - Ale nie zamawiałem...

- Na koszt firmy.

Kelnerka wskazuje ladę, za którą przyjaźnie macha do nas facet od butów.

- To chyba żart - mamrocze Lipton pod nosem.

Nie odmachuje jednak, tylko wpatruje się w typka przez chwilę, po czym bardzo leciutko, niemal niezauważalnie kiwa głową.

- Naprawdę musi mu zależeć na tej pracy - odzywam się.

Lipton wrzuca frytkę do ust.

- Myślisz?

Siadam naprzeciwko niego przy stoliku i na zmianę zanurzamy frytki w małym, papierowym kubeczku z keczupem. Co jakiś czas nasze ręce się muskają. Aż wstyd, jak wielkie to robi na mnie wrażenie. Całkiem jakbym wcześniej funkcjonowała w zwolnionym tempie, a moje nerwy otępiały od bezczynności. Lipton przywraca je do życia.

W drodze na inny tor mijają nas trzy dziewczyny. Jedna z nich macha palcami do Liptona, który otwiera szeroko oczy i ogląda się przez ramię, żeby sprawdzić, do kogo machała. Za nim jednak jest tylko pusty tor.

Lipton oblewa się rumieńcem, a dziewczyny chichoczą.

- Mam keczup na twarzy? - Przeciera wierzchem dłoni usta.

- Nie. - Uśmiecham się, kręcąc głową.

- Co? - Palcami przejeżdża przez włosy, supergrube, uroczo opadające na oczy, po czym strzepuje nieistniejący łupież z ramion. - O co chodzi?

- O nic. Po prostu są miłe.

Nie mogę mu powiedzieć, że ich zdaniem jest uroczy, bo równie dobrze mogłabym mu wyznać, że moim zdaniem taki właśnie jest - bo jest, ale przecież tego mu nie powiem, prawda?

- Aha. - Zerka na dziewczyny, a potem jeszcze raz na swoje buty, po czym poprawia koszulę. - Powinniśmy teraz przynieść kule.

Prowadzi mnie do stojaka za naszym torem, gdzie znajduje się mnóstwo kolorowych kul, i pomaga mi wybrać. Moja kula waży pięć kilo i jest jasnoróżowa. Nie mam pojęcia, jak ją trzymać, wkładam palce w niewłaściwe otwory.

- Nie, nie. To tak.

Pokazuje mi, jak ułożyć dłoń. Na chwilę zapominam, że tor jest na widoku, i my też. Czuję się tak, jakby wokół nas opadła zasłona, zapewniając nam prywatność. Jesteśmy tylko ja, Lipton i moja jasnoróżowa kula do kręgli.

- Trzeba podnieść tak. - Obraca mój przegub i teraz trzymam kulę na dłoni. Twarz Liptona znajduje się bardzo blisko mnie, kiedy słyszę jego cichy głos: - A drugą ręką ustabilizuj kulę, zanim weźmiesz zamach. Rozumiesz?

- Chyba tak.

To jednak nie znaczy, że chcę, aby wyszedł za naszą bezpieczną zasłonę.

Dotyka moich dłoni trochę dłużej niż to konieczne.

- Nie musimy tego robić, jeśli nie masz ochoty - mówi. - Możemy sobie pograć na automatach albo posiedzieć, pogadać i pogapić się na grających.

- Nie - odpowiadam. - Zagrajmy. Chcę.

Przecież to nie może być aż takie trudne.

Lipton uśmiecha się do mnie. On też chce grać. Sądząc po tym, jak fachowo wybiera i niesie swoją kulę, jest w tym całkiem niezły.

- Tylko się nie śmiej - mówię.

- Obiecuję. - Siada przy panelu kontrolnym. - Chcesz być Vicky czy...

Otwieram szeroko oczy.

- ...czy użyjesz innego imienia?

Zaczyna wpisywać, a na tablicy wyników pojawia się imię „Gregor”. Czekam, aż doda „y”, ale nie dodaje.

- Niech będzie Vic - postanawiam.

Lipton wpisuje *Gregor i Vic*, a potem gramy, czy też raczej on gra, a ja próbuję potoczyć kulę mniej więcej w kierunku kręgli, jednak niezmiennie trafiam do rynny. Na szczęście sąsiednie tory są puste, więc niemal mogę udawać, że nikt mnie nie widzi. Niemal.

Po pięciu kolejkach mam całe trzynaście punktów. Lipton ma pięćdziesiąt osiem, przy czym jestem pewna, że celowo chybia. Przez cały czas podsuwa mi wskazówki.

- Podążaj dłonią za kulą - radzi i demonstruje, jak moja ręka powinna znieruchomieć po rzucie, wycelowana w miejsce, w które mierzę.

- Jasne. Zrozumiałam - odpowiadam z pewnością siebie, którą zwykle rezerwuję dla Observi.

Podchodzę, unoszę kulę, biorę zamach, wchodzę w ślizg... i zapominam puścić. Kula wzlatuje wysoko i spada z donośnym hukiem. Na sąsiedni tor. W dodatku nie dotacza się do kręgli, tylko zatrzymuje przed nimi.

Lipton chowa głowę za panelem i usiłuje powstrzymać śmiech. Może udaje, że mnie nie zna. Trzęsą mu się ramiona, a ludzie na innych torach, w całej kręgielni, gapią się i pokazują nas palcami.

Biegnę do krzesła za Liptonem i przyciągam kolana do twarzy.

- Mówiłeś, że nie będziesz się śmiał - mamroczę.

Siada obok mnie.

- Nie śmieję się z ciebie...

Gwałtownie podnoszę głowę.

- Nawet nie próbuj kończyć - warczę.

- Tylko żartowałem. Nic się nie stało. - Przygryza wargę. - Ludzie wciąż to robią.

- Poważnie?

- Uhm. - Kiwa głową, a potem nią kręci. - Szczerze mówiąc, nie. W życiu tego nie widziałem. Wiesz, jak bardzo wysmarowują tory olejem? Są superśliskie. Nie sądziłem, że można tak rzucić kulę, by się zatrzymała.

Znowu chowam twarz za kolanami.

- Nie pomagasz, Lipton.

- Wybacz.

Kładzie rękę na moich plecach, tuż pod szyją, i zatacza małe

kółka. To już czwarte miejsce, w którym mnie dotyka.

- Chcesz, żebym przyniósł nową kulę? - pyta.

- Może tylko na ciebie popatrzę?

- To brzmi jak najgorsza randka pod słońcem. Ja gram w kręgle, ty patrzysz? Nie.

- Mówię poważnie. - Prostuję się. - Chcę patrzeć, jak grasz. Założę się, że jesteś naprawdę niezły. Pokaż mi, co potrafisz.

- Poważnie? - Marszczy brwi.

- Poważnie. - Kiwam głową.

- Dziwne - wzdycha.

- A to cię kiedyś powstrzymało?

- Aua.

- To miał być komplement - śmieję się.

- Okej, ale musisz tu siedzieć przy panelu i ze mną rozmawiać.

Podchodzę do urządzenia i robię poważną minę profesjonalistki. Lipton podnosi kulę i zbija wszystkie kręgle. Potem znowu. Potem kilka razy nie zalicza kompletu, ale później ponownie ma trzy pełne strącenia. Gra też za mnie, więc mój wynik wygląda teraz o wiele lepiej.

- O rany - mówię. - Prawie ci dorównuję.

Wtedy specjalnie zrzuca kulę z toru, gdy gra za siebie, i naprawdę wyrównujemy.

- To niesprawiedliwe - zauważam.

Uśmiecha się do mnie szeroko. Zostały jeszcze tylko dwie rundy i znowu nadchodzi kolej Liptona.

- Chyba nie dasz mi wygrać, co? - żartuję.

Lipton mruży oczy i stoi dłużej niż zwykle, po czym powoli

przymierza się do rzutu i posyła pięknego rogala. Tyle tylko, że właściwie nie patrzę na kulę, ani na to, ile stracił kręgli, bo rozpraszają mnie nowe dzinsy Liptona.

- Iiiii.... Strike! - oznajmia z uśmiechem. - Twoja kolej.

Mrugam ze zdumieniem.

- Chyba... twoja moja kolej?

- Nie, twoja twoja kolej.

Kręcę głową.

- No chodź - zachęca. - Na wszelki wypadek podniosę bandy.

- Bandy?

Pokazuje tor, na którym grają trzy dziewczyny. Nie zauważyłam tego wcześniej, ale po jego bokach znajdują się bariery. Jedna dziewczyna stoi na linii rzutu, trzyma kulę oburącz, kołysze ją nisko między kolanami i puszcza. Kula się toczy, przez całą drogę odbija od band i w końcu strąca dwa kręgle. Dziewczyna piszczy z radości.

- Widzisz? - mówi Lipton.

Widzę. Widzę dziewczynę, która zatracca się w radości, tak jak ja bym chciała, ale jestem zbyt przerażona, żeby spróbować. Potrzebuję maski i innej tożsamości, aby cieszyć się tego rodzaju wolnością. Dziewczyna rzuca znowu, tym razem tyłem. Pochyla się i ciska kulę między nogami, po czym z wypiętym tyłkiem patrzy, jak kula się toczy. Dziewczyna ma w nosie to, jak wygląda i czy ktoś na nią patrzy. Kula uderza o bandę, a potem przesuwają się na środek toru i strąca pozostałe kręgle. Koleżanki dziewczyny krzyczą, a ona tańczy taniec zwycięstwa.

Odwracam się do Liptona i uświadamiam sobie, że stoję. Najwyraźniej moje ciało jest odważniejsze od umysłu. Lipton podaje mi kulę. Nie tę moją, która nadal tkwi pośrodku toru obok nas, ale identyczną, różową kulę. Nawet nie zauważyłam, że po nią poszedł.

Teraz podchodzi do linii rzutu i kopie dźwignie po bokach toru, żeby podnieść bandy.

- Potocz ją - mówi. - Wszystko jedno jak.

Przełykam ślinę, kiwam głową i się rozglądam. Nikt na mnie nie patrzy, ale nadal nie jestem w stanie wypiąć tyłka i rzucić kuli spomiędzy nóg. Wkładam dwa palce w otwory i ściskam kulę tak, jak uczył mnie Lipton.

- Dasz sobie radę - mówi i się wycofuje.

I chyba dobrze, biorąc pod uwagę mój ostatni wyczyn.

Czekam, aż znajdzie się poza zasięgiem, po czym wysuwam lewą stopę, biorę zamach i puszczam kulę.

Toczy się w zasadzie prosto. Ociera się o lewą bandę, przesuwa z powrotem na środek i... O mój Boże.

Straciłam wszystkie kręgle.

Lipton wiwatuje. Odwracam się z ręką przyciśniętą do szeroko otwartych jak do krzyku ust i z uniesionymi ramionami.

- Udało ci się! - Biegnie do mnie, obejmuje mnie w talii i okręca się ze mną.

Trzymam go za szyję, dopóki się nie zatrzymamy i nie poczuje podłogi pod stopami. Lipton mnie jednak nie puszcza. To pełen kontakt, obejmujemy się i dotykamy torsami, biodrami i udami. Zbyt wiele punktów, żeby je policzyć.

Jestem niemal pewna, że Lipton czuje się równie zaskoczony tą sytuacją jak ja. Jego twarz jest całkiem otwarta, oczy i usta się uśmiechają. Nadal się śmieje.

- Udało ci się - powtarza ciszej.

Gdyby mnie puścił, mogłabym zasłabnąć, ale nie ze wstydu, upokorzenia czy strachu. Nie, to coś innego.

- Udało mi się - szepczę bez tchu.

Zanim w ogóle się nad tym zastanowię, Lipton mnie całuje. Jego ciepłe usta stykają się z moimi, najpierw z głośnym cmokiem. To pocałunek zwycięstwa, który mnie oszałamia, i jego też, tak jakby tego nie planował. Ale i tak nie puszcza.

- To było... - Jego spojrzenie wędruje do moich ust, a potem z powrotem do oczu.

Lekko rozluźnia uścisk i przesuwają dłonie na moje biodra. Kładę palce na jego ramionach.

Całujemy się.

Na środku kręgielni. Nie wierzę, że to robię, i boję się, że ktoś może patrzeć, ale nie chcę przestać. Umarłabym ze szczęścia, gdybym tylko mogła trzymać go za ręce. Ale pocałunki? Dla nich warto żyć.

Usta Liptona oddalają się od moich i pojawia się na nich niepewny uśmiech, który odwzajemniam. Potem Lipton szczyrzy zęby. Ma naprawdę niesamowite usta. Całują. Uśmiechają się zwyczajnie i od ucha do ucha, ale też półgębkiem. Do wyboru, do koloru. Są doskonałe we wszystkim. Usta Liptona powinny dostać własne konto na Instagramie.

- Czy... dokończymy grę? - Rozgląda się wokół.

Kręgle nie mogłyby mnie mniej obchodzić, ale ludzie patrzą, a teraz, gdy już się nie całujemy, czuję, że mogę zacząć się trochę hiperwentylować. Wracamy do panelu kontrolnego, a Lipton pokazuje mi wynik.

- Patrz, wygrywasz - mówi.

Wbijam wzrok w ekran. Tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi, ale muszę skupić uwagę na czymś poza ustami Liptona. Brak mi tchu i czuję się szczęśliwa.

Jeśli wygrywam, to nie z Liptonem. Dziś, po raz pierwszy w życiu, wygrywam ze strachem, że istnieję - że zajmuję przestrzeń, wchodzę w drogę, mylę się, jestem głupia, żałosna i gorsza od wszystkich. Że jestem obiektem drwin.

W końcu wygrywam ze sobą.

Rozdział 26

Rezygnujemy z dalszej gry, kiedy sobie uświadomiamy, że koncert ma się skończyć za dziesięć minut, a mama Liptona podjedzie po nas przed budynek klubu. Zwracamy obuwie wyraźnie spokojniejszemu facetowi od butów i wybiegamy na dwór. W porównaniu ze zgiełkiem panującym w kręgielni noc wydaje się cicha i spokojna. Pośpiesznie zmierzając na dół wzgórza, w kierunku klubu, słyszymy i widzimy nasze oddechy.

Ludzie wylewają się na ulicę, nadal kipiąc szaleńczą energią koncertu. Na ich twarzach widzimy rumieńce, są spoceni i pełni życia. Nad tłumem dostrzegam głowę kogoś bardzo wysokiego. To Raj przeciska się wśród fanów na chodnik, gdzie zebrali się wszyscy czekający na podwózkę.

Raj nas zauważa i natychmiast podchodzi.

- Było niesamowicie, co? - mówi głośniejszym głosem niż trzeba. - Nawet was nie widziałem. Szaleństwo!

- Tak, my... - Lipton chce wytłumaczyć, że się nie dostaliśmy, ale Raj jest zbyt rozkojarzony i odwraca się do grupki dziewczyn obok nas.

- Ale było niesamowicie! - wykrzykuje.

Dziewczyny równie głośno dają upust aprobacie, a potem wszyscy razem pstrykają sobie zdjęcia. Raj jest wniebowzięty, robiąc jedno selfie za drugim. Może cieszy się tak dlatego, że w końcu nie pozuje sam.

Lipton pochyla się ku mnie.

- Nie jest ci przykro, że nas to ominęło? - pyta.

- Co nas ominęło?

Mrugam, a on się śmieje.

Gdyby dało się zatrzymać czas, to byłby dobry moment. Nie przeraża mnie tłum, w którym stoję, bo jestem w towarzystwie kogoś, kto wie o moich problemach, ale i tak mnie lubi. Wciąż czuję mrowienie w ustach po pocałunku w kręgielni.

Raj znowu odwraca się do nas, gniecie mi ucho ramieniem, wciska mnie między siebie a Liptona i długą ręką unosi telefon. Nie mam czasu się wymknąć ani zdenerwować, bo od razu robi zdjęcie. Nadal się uśmiecham.

- O, moja podwózka. - Idzie do sznura samochodów i macha.

Kilka osób, z których żadna nie chodzi do naszego liceum, odmachuje mu na pożegnanie.

Wygląda na to, że Raj Radhakrishnan znalazł sobie kumpli.

Mama Liptona podjeżdża po nas sama, więc oboje siadamy z tyłu minivana i dyskretnie trzymamy się za ręce, chociaż nie musimy się z tym kryć, bo wcale by jej to nie przeszkadzało. Pyta tylko, czy dobrze się bawiliśmy.

- Tak - odpowiadamy.

Nie ciągnie nas za język, co z pewnością zrobiłaby moja mama.

Gdy dojeżdżamy do mojego domu, Lipton mnie odprowadza, a ja jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewna, że mama nas podgląda zza drzwi, więc ściskam go nieporadnie.

Mówi: „Dzięki” i: „Widzimy się w poniedziałek”, i: „Dobrze

się bawiłem”, a ja odpowiadam: „Ja też” i w duchu przeklinam Observi za to, że znowu wkradła się w moje myśli. Postanawiam odtąd mówić: „Ja również” albo: „Ja także”.

Nie odjeżdżają, dopóki nie znajdę się bezpiecznie w domu, choć na zewnątrz z Liptonem czuję się bezpieczniej niż we własnym salonie, gdzie mama już czeka z pytaniami.

- Dobrze się bawiłaś?

- Tak.

- Jak tam koncert?

- Świetnie.

To nie kłamstwo, bo przecież wszyscy twierdzili, że koncert był doskonały. Nie wiem, czemu nie wspominam o kręgielni. Chyba czuję, że to coś wyjątkowego między mną a Liptonem i że dzielenie się tym mogłoby wszystko popsuć.

- Spotkaliście jakichś znajomych?

- Raja Radhakrishnana - odpowiadam.

Jeśli mama poszuka go w sieci, zapewne natrafi na fotograficzne dowody, że byłam na koncercie.

Udaje mi się wykręcić od dalszego przesłuchania pod pretekstem zmęczenia, choć w rzeczywistości nigdy nie czułam się bardziej ożywiona. Mama mnie ściska, a tata mówi: „Dobranoc, kochanie”. Chcę jak najszybciej zamknąć się w pokoju i położyć, ale nie po to, żeby odpocząć, tylko żeby skupić się na doznaniach.

Jedną rękę mam cieplejszą od drugiej.

Usta mnie mrowią.

Moja skóra jest jak pianka zapamiętująca kształty, na której pozostał ślad dotyku Liptona.

Moje serce kipi życiem i zamiast bić, podskakuje z werwą.
W końcu udaje mi się uspokoić lekki i szybki oddech.

Żałuję tylko, że nie mogę opowiedzieć najlepszej przyjaciółce o mojej pierwszej randce ani o pierwszym pocałunku, ani nawet o pierwszej grze w kręgle. Zastanawiam się, czy Jenna też ma swoje pierwsze razy beze mnie, i czy o nich komuś opowiada.

O czwartej nad ranem budzę się w ubraniu. Przebieram się w piżamę i próbuję zasnąć, ale nie mogę. Leżałabym w łóżku z telefonem, gdyby nie był schowany w pokoju mamy, z na bank rozładowanym akumulatorkiem. Przewracam się z boku na bok i próbuję odtworzyć to, co czułam po powrocie z randki, ale męczy mnie coś innego. Nie jest to ciekawość, tylko raczej wrażenie, że coś przegapiam albo tracę. Ludzie gadają, dzieje się to i tamto, a mnie przy tym nie ma.

Observi mnie wzywa. Nie mogę się oprzeć.

Wypełzam z łóżka, siadam przy biurku. Gapię się na ciemny ekran i dopiero po chwili wciskam klawisz, budząc komputer do życia. Zastanawiam się, czy któregoś dnia wyjdzie na jaw, że do internetu dodają jakąś uzależniającą substancję, tak jak do papierosów. No bo dlaczego tak bardzo nas pociąga? Przecież nie może chodzić tylko o niepokój związany z wykluczeniem.

Prawda?

Pokusa stała się tak silna, że odczuwam ją fizycznie w postaci nerwowego niepokoju. Muszę wiedzieć.

Wchodzę na Instagram i wstukuję hasło. Na ekranie pojawia się post o koncercie Adriana. Przewijam setki nowych

komentarzy, które dzielą się na dwie kategorie: pierwsza to utyskiwania tych, którzy się nie dostali, a druga to zachwyty tych, którzy weszli.

Część piszących dziękuje mi za informację o koncercie, inni mają pretensje, że powiadomiłam tylu ludzi. Najwyraźniej nie jestem nikomu potrzebna do kontynuowania rozmowy. Komentarze wciąż napływają, choć Observi nie odezwała się już od wielu godzin. Ta pogawędka równie dobrze mogłaby się odbywać na stronie East 48 albo Foo Fighters, albo Neila deGrasse'a Tysona, czy też kogokolwiek innego, kto podoba się tym ludziom.

Znowu mnie kusi, żeby usunąć konto i poświęcić się własnemu, prawdziwemu życiu, a nie cudzemu. Może już nigdy więcej nie będę surfować na rękach tłumu ani chodzić po czerwonym dywanie, ani przemierzać kosmosu. Za to będę trzymała za rękę Liptona Gregory'ego. Będziemy się całować w kręgielni. Poczuję, że żyję.

Będę żyła.

Przesuwam kursor na „Edytuj profil” i klikam okienko „Tymczasowe wyłączenie konta”. Instagram jednak nie chce, żebym podejmowała pochopne decyzje. Mogę później żałować tej chwilowej brawury. Dowiaduję się, że wszystko zostanie ukryte, ale gdy zmienię zdanie, konto ożyje, jeśli tylko się zaloguję. Jeszcze lepiej będzie, jeżeli oznaczę swoje posty jako prywatne albo zablokuję ludzi.

Instagram nie rozumie, że to mnie trzeba zablokować.

Przeoglądam listę powodów zablokowania konta.

Potrzebuję przerwy.

Trudności z uruchomieniem

Założyłam drugie konto

Obawy o prywatność

Chcę coś usunąć

Mam za dużo na głowie/obsługa zbyt absorbująca

Nie mogę znaleźć obserwujących

Za dużo reklam

Nie ma tu jednak moich powodów. Brakuje okienka: „Muszę żyć naprawdę” albo: „Nie mogę się tu wiecznie ukrywać”, albo: „Prawdziwy uśmiech jest lepszy niż uśmiech na zdjęciu”, czy nawet: „O wiele za długo trzymam to w sekrecie i muszę się tego pozbyć, zanim ktoś się dowie”.

Jest też ostateczne, ogólnikowe okienko „Inny powód”, więc klikam na nie i wpisuję hasło. Strzałka zawisa nad napisem „Wyślij”, a ja się zastanawiam, dlaczego w ogóle założyłam konto Observi. Chodziło o to, żeby... Jenna mnie zobaczyła. A jeśli mnie widzi? Jeśli próbuje wysłać mi wiadomość? A jeśli ją przegapię? Albo już przegapiłam?

Postanawiam raz jeszcze sprawdzić, zanim zamknę konto Observi. Szukam w ostatnim miejscu, w którym justjennafied nawiązała kontakt. To było zdjęcie Kat. Wchodzę na post i przeglądam komentarze, ale jej nie odnajduję. Jedyne inne miejsce, które przychodzi mi do głowy, to puchaty, przytulny becik, gdzie justjennafied napisała: „Ja też”. Klikam na zdjęcie i przesuwam komentarze. Między ochami i achami wielbicieli puchatych, przytulnych becików pojawiają się ciche głosy tych, dla których ostatnio powstrzymałam się od usunięcia konta. Nie widziałam ich w komentarzach pod postem z East 48, ale

są tutaj, cierpiący i samotni.

exitstagebeth *Nikogo nie obchodzę.*

ihateme2ew *Nawet nie wiem, dlaczego tu jestem.*

problxemy *Nauczyciel powiedział mi, że szkoda na mnie przestrzeni.*

smutnyduch *Chcę tylko spać.*

Jest tego więcej. Jedna dziewczyna pisze długi akapit o grupie chłopaków w szkole, którzy oceniają koleżanki w skali atrakcyjności od jednego do dziesięciu. Nie obchodzi jej, czy dostanie dziesięć czy dwa, i tak będzie się czuła bezwartościowa.

Inna pisze, że ostatnio objada się gruszkami i nie może przestać. Wydaje się to nieszkodliwym uzależnieniem, dopóki dziewczyna nie dodaje: „Jestem uczulona na gruszki”. Kilka zdań później uściśla: „Uczulona do tego stopnia, że ląduję w szpitalu i biorę zastrzyki”.

Siedzę i gapię się w ekran. Byłam gotowa rozstać się z Observi, naprawdę byłam. Ale moi obserwujący nie są. Potrzebują mnie. Poprawka, to jej potrzebują, nie mnie. Dlatego zaczynam odpowiadać. Wyciągam do nich rękę, której tak pragną. Nadstawiam ramię, żeby mogli się na nim wypłakać.

Mówię dziewczynie ocenionej na podstawie wyglądu, żeby ignorowała tych chłopaków. Nie mają prawa oceniać jej ciała, a ich opinia nie przesądza o jej wartości. Skłaniam jedzącą gruszki dziewczynę do obiecania mi, że więcej tego nie zrobi. Próbuję odpowiedzieć wszystkim, którzy wierzą, że są

niekochani, niechciani albo że nikomu na nich nie zależy.

Mnie na Tobie zależy, @exitstagebeth

@ihateme2ew Jesteś tu po to, żeby znaleźć takich jak Ty. My jesteśmy tacy jak Ty! I zależy nam na Tobie.

Hej, @problxemy – Twój nauczyciel to palant. Nie słuchaj go!

@smutnyduch Ja też się tak czasem czuję.

Nie jestem pewna, jakiej rady udzielić komuś, kto wydaje się pogrążony w depresji jak smutnyduch. Nie chcę pisać czegoś bezsensownego typu „Uszy do góry!”, bo wiem, że to nie takie proste. Szukam w sieci jakiegoś telefonu zaufania, ale jest ich strasznie dużo, a ja nie mam pojęcia, gdzie smutnyduch mieszka.

Jedyna znana mi osoba z depresją to Rymująca Rhea, więc wchodzę na jej YouTube i znajduję film, na którym Rhea rymuje, jak sobie radzi w trudnych chwilach. Wyprowadza psa, tańczy, czyta książki, które ją rozśmieszają, ogląda telewizję, nawet bierze długie kąpiele (na tym filmiku jest mnóstwo bąbelków!). To zabawne, ale i poważne. Rhea opowiada o terapii i lekach. Kopiuję link i wracam do swojego profilu, który dotąd był zupełnie pusty. Piszę:

Ja poprawiam sobie nastrój, żyjąc cudzym życiem. Kiedy to nie wystarcza, wchodzę tutaj:

Zamieszczam link. Mam nadzieję, że Rhea nie ma nic przeciwko temu. Bardzo w to wątpię. Potem wracam do komentowania. Jeśli myślę, że link może pomóc, piszę: „Kliknij

link na moim profilu”. Zwykle jednak piszę: „Mnie na Tobie zależy” i: „Nie jesteś sama” albo: „Ja Cię widzę”.

Kończę kilka godzin po wschodzie słońca, kiedy mama puka do drzwi i pyta, czy już nie śpię i czy chcę śniadanie. Pożeram jajka i tosty, które mi przygotowała, po czym wracam do komputera, żeby popisać. Jest mnóstwo komentarzy, a im więcej piszę, tym więcej pojawia się próśb o pomoc. Najwyraźniej nikt inny nie słucha tych ludzi, nikt im nie odpowiada. Kiedy ja to robię, chcą więcej. Podważają, kwestionują i wątpią.

exitstagebeth *Mówisz to tylko z uprzejmości.*

ihateme2ew *Nawet mnie nie znasz.*

problxemy *Dzięki. Ale co mam robić? Rzucić szkołę?*

smutnyduch *Czuję się tak przez CAŁY czas.*

Jest tego o wiele więcej.

Sprawdzam liczbę nowych komentarzy. Podwoiła się, odkąd zaczęłam odpowiadać. Znikła lekkość, którą czułam po randce z Liptonem. Trudno mi uporać się z własnym smutkiem i samotnością – obciążanie się problemami innych mnie pogrzebie.

Robię sobie przerwę i spaceruję po pokoju, jakbym dzięki temu mogła strząsnąć z siebie to uczucie, jednak w każdej sekundzie, którą spędzam z dala od komputera, pojawia się kolejnych kilkanaście komentarzy.

Nie wszyscy moi obserwujący są przygnębieni, większość czuje się szczęśliwa. Muszę jednak przekopywać się przez ich okrzyki „UWIELBIAM TO!” albo „OMG jesteś najlepsza”,

żeby znaleźć potrzebujących. Gdyby tylko te dwa typy obserwujących ze sobą porozmawiały...

Znowu przeglądam komentarze, zaczynam je podliczać. Na mniej więcej sześć pozytywnych przypada jeden negatyw. Sześć pogodnych, wesołych, głupkowatych, radosnych (a przynajmniej zachowujących takie pozory) osób na jedną, która cierpi.

Idę do szafy i wyciągam perukę. Wkładam czarną koszulkę. Dziś nie będę potrzebowała spódniczki, bo to tylko portret. Biorę białe kocie okulary, najpoważniejsze, jakie mam, wsuwam je na nos, siadam przed komputerem i otwieram Photo Booth. To będzie zbliżenie, więc sprawdzam, czy wszystkie włosy są porządnie schowane pod peruką. Nakładam szminkę, z początku uważnie, a potem trochę rozsmarowuję poza kontury ust.

Robię zdjęcie, jedno wystarczy. Zamiast jednak wrzucić je prosto do Instagramu, drukuję je na kolorowej drukarce. W szufladach biurka szukam grubych, kolorowych markerów, po czym na brzegach kartki piszę o smutku i bólu moich obserwujących:

Znienawidzeni Załamani Brzydcy Grubi
Nikogo nie obchodzą Szkoda na nich przestrzeni
Niehciani Niekochani
Wystraszeni Samotni Słabi Smutni W depresji Rozzłoszczeni
Beznadziejni Ignorowani Zbyt kiepscy
Zobacz nas Porozmawiaj z nami Posłuchaj nas

Wypisuję to wszystko w formie chmury. Niektóre słowa są

wielkie, inne mniejsze. Umieszczam je wokół głowy, szyi, ramion, przy postrzępionych końcówkach włosów i w czterech rogach kartki. Gdy wypełniam pustkę rozpaczą, moja własna też spływa na papier.

Najlepsza przyjaciółka odwróciła się plecami

Żałosne

Pora zacząć żyć

Myślałam, że Lipton zdoła wypełnić pustkę po odejściu Jenny, ale on zajął własną przestrzeń w moim sercu. Ta, którą zajmowała Jenna, nadal jest wolna i wciąż boli. Sądziłam, że udało mi się stłumić uczucia, lecz wciąż tam są. Zamykam flamastry, kładę zdjęcie na skanerze i powstaje nowa fotografia. Zdjęcie zdjęcia.

Kiedy wcześniej wrzucałam obrazy *#zobacz mnie*, prośba o pomoc była delikatna jak trącenie łokciem albo skinienie głową w kierunku potrzebujących. Popatrzcie tam. Rozejrzyjcie się. Widzicie tę dziewczynę? Tę, której nikt nigdy nie dostrzega? Przywitajcie się. Zwróćcie na nią uwagę.

Niektórzy tak zrobili, na przykład Adrian Ahn. Postąpił tak, nie oczekując nagrody. Pierwszy wyciągnął rękę.

Tym razem wrzucam zdjęcie do aplikacji, dzięki której mogę zamieszczać posty z komputera. Przez chwilę trzymam rękę na myszce, myśląc o wiadomości, którą dołączę. W końcu piszę tak:

Jeśli mnie obserwujesz, proszę, W TEJ CHWILI znajdź

w komentarzach kogoś, kto potrzebuje dobrego słowa, słuchacza, przyjaciela. Wyciągnij do niego pomocną dłoń. Zbliźcie się do siebie. Nie dam rady #sama.

Zamieszczam post i wylogowuję się, zanim zaczną spływać komentarze, bo jestem wyczerpana. I wiem, że to zrobią. Będą musieli, bo mnie nie ma i być może nie będzie do jutra, do przyszłego tygodnia lub przez kilka miesięcy. Rzucam się na łożko. Nic im nie będzie, powtarzam sobie.

A mnie?

Rozdział 27

Denerwuję się przed poniedziałkowym spotkaniem z Liptonem. Obawiam się, że przez weekend oprzytomniał i uświadomił sobie, że wcale nie jestem taka wyjątkowa.

Ale nie mogę na niego nie patrzeć. Kiedy to robię, przekazuje mi liścik.

Tęsknię za Tobą.

Pośpiesznie gryzmołę odpowiedź.

Siedzę tuż obok.

On na to:

Za daleko.

Uśmiecham się, wsuwam liścik do kieszeni i przez resztę lekcji walczę z pragnieniem przysunięcia swojej ławki do ławki Liptona. Po historii odprowadza mnie na następną lekcję, chociaż sam musi iść w przeciwnym kierunku.

- Spóźnisz się - mówię.

- No to się spóźnię. - Wzrusza ramionami.

Idziemy, dotykając się barkami częściej niż to konieczne.

- Jak ci minęła reszta weekendu? - pyta Lipton.

Znowu będziemy rozmawiać o niczym.

- W porządku - oznajmiam.

Szczerza odpowiedź, taka jak „w bólu”, „bezsennie” albo „wyczerpująco emocjonalnie” sprowokowałyby tylko kolejne pytania.

- Sprawdziłem, o czym mówiła ta dziewczyna na koncercie - oznajmia Lipton. - Kiedy wspomniała o Observi.

Omam się nie krztuszę, ale udaję, że odkasłuję.

- Tak?

- To właścicielka konta na Instagramie. Ma z milion obserwujących. Napisała coś o koncercie. Widziałaś ją?

- Nie ma mnie na Instagramie - odpowiadam.

- Mnie też nie. To znaczy, nie całkiem. Nie zamieściłem żadnego postu, tylko założyłem konto, żeby sprawdzić, o co tyle krzyku. - Znowu wzrusza ramionami. - Myślałem, że może ją znasz. Wszyscy o niej gadają.

Kręcę głową i uśmiecham się z zaciśniętymi ustami.

Lipton bierze mnie pod rękę i prowadzi na bok, żeby nie wpadła na chłopaka pędzącego korytarzem w naszym kierunku.

- Prawdę mówiąc, Observi kojarzy mi się z tobą - dodaje.

- Nie ma mnie na Instagramie - powtarzam. - Nie znam się na tym.

- Spokojnie - chichocze. - To nie jest żaden test. Pomyślałem, że może cię to zainteresuje.

- Tak. Jasne. Sprawdzę. - Zatrzymujemy się przed drzwiami sali biologicznej. - To tutaj. Lepiej się pośpiesz.

- Cześć! - rzuca szybko Lipton i znika.

Już mam usiąść za łazienkową Mallory, kiedy ktoś wyskakuje z tylnego rzędu.

- Vicky! - krzyczy. - Hej!

To Raj. Głupio mi, że nigdy wcześniej go tam nie zauważyłam. Trzymałam opuszczoną głowę, ale teraz nie sposób go przegapić. Podbiega do mojej ławki i pokazuje mi zdjęcie, które zrobił po koncercie.

- Podeślę ci je - proponuje. - Podasz mi swój mejl?

Wstukuje adres poczty, który mu dyktuję.

- Byłaś tam? - pyta nieoczekiwanie Mallory.

Nagle wszyscy się na mnie gapią i nie wiem, co odpowiedzieć, więc tylko mrugam.

- Oboje byliśmy - mówi Raj i wypina dumnie pierś.

Wyciąga telefon, żeby Mallory mogła obejrzeć zdjęcie. W jej oczach widzę błysk.

- Torbacz Gregory? - prycha i odwraca się od nas. - Musieliście się super bawić.

- A żebyś wiedziała. - Raj wystawia język do jej potylicy, po czym wraca do swojej ławki.

Osobiście mam ochotę nie tylko wystawić język. Chętnie popchnęłabym ją albo szarpnęła za włosy. To pragnienie narasta przez całą lekcję, a powstrzymywane jest (z trudem) przez nieustanny lęk przed skupianiem na sobie uwagi. Tak się wściekam, że od zaciskania zębów boli mnie szczęka.

Mogłabym skrzywdzić Mallory. No dobrze, Observi mogłaby to zrobić. Mogłaby wystawić ją na pośmiewisko przed milionem ludzi, nazwać ją klasową dręczycielką, snobką i...

Zaraz. Nie.

Oddycham głęboko. Observi nie zajmuje się zemstą. Mallory nie jest najmilszą ze znanych mi dziewczyn, ale może ma

swoje powody. Kto wie, czy w jej domu nie jest okropnie, albo na przykład nie spodobała się chłopakowi, który wpadł jej w oko. Może jeśli z nią pogadam, dam jej szansę, żeby mnie przeprosiła?

Kiedy rozlega się dzwonek na przerwę, jestem spokojna, ale przerażona tym, co zamierzam zrobić. Wstaję i stukam Mallory w ramię.

Odwraca się, wysuwając biodro.

- Ma na imię Lipton - oznajmiam i cała się trzęsę pod jej spojrzeniem.

Czuję, że oblewa mnie pot i skręca mnie w żołądku, ale muszę to powiedzieć. Lipton zrobiłby to dla mnie.

- Lipton Gregory, nie Torbacz.

- Że co? - Zerka na koleżanki i śmieje się nerwowo.

- Na zdjęciu. Lipton Gregory. - Głos mi drży, ale brnę dalej.

- Nazwałaś go Torbaczem. Nie tak ma na imię.

- Dobra. - Przewraca oczami. - To taka ksywka. Wszyscy go tak nazywają.

- Nie wszyscy - zaprzeczam. - Tylko ci, których bawi wyśmiewanie się z innych. To nie jest jego ksywka, tylko przezwisko, a to nie to samo.

Przez chwilę wydaje się oszołomiona, ale zarzuca plecak na ramię i mówi:

- Wszystko jedno.

Odchodzi, a jej koleżanki niepewnie ruszają za nią.

Nie wierzę, że nadal stoję. Kładę rękę na blacie, żeby nie stracić równowagi, i głęboko oddycham. Postanawiam poczekać, aż wszyscy wyjdą. Nagle jednak ktoś z tyłu powoli

klaszcze. Jestem pewna, że to Raj. Odwracam się, myśląc: Nie, Raj, nie pogarszaj sprawy.

Ale to nie Raj, tylko Jeremy Everling. Opadam na krzesło, jakby ktoś właśnie wyrwał mi podłogę spod stóp. Jeremy nabijał się z Liptona bardziej niż ktokolwiek inny. Pewnie właśnie przez niego Lipton musi chodzić do psychoterapeuty, który go uczy, jak się postawić. Jeremy idzie w moim kierunku, klaszcząc coraz szybciej. Do oklasków dołącza kilka innych osób, ale większość ludzi czeka, żeby sprawdzić, co robi Jeremy. Przygotowuję się na atak.

Jeremy przestaje klaskać, gdy dociera do mojej ławki. Wyciąga do mnie rękę, spodem do góry, a ja patrzę mu w oczy.

- Przyznaję się do winy, Decker - mówi i kręci głową. - Przyznaję się do winy.

- Stary - odzywa się jeden z jego kumpli.

Ktoś się śmieje.

- O Boże - mówi ktoś inny.

Gapię się na otwartą dłoń Jeremy'ego Everlinga. Czy chce, żebym w nią klasnęła? Z wahaniem unoszę rękę.

- Przybij piątkę, Decker - mówi cicho Jeremy.

Tak właśnie robię. Klepię go w dłoń i się wzdrygam, bo jestem pewna, że to się nie dzieje naprawdę. Pewnie wszystko mi się przywidziało.

Jeremy jednak wzrusza ramionami.

- Nie miej mi za złe - mówi i odchodzi.

Gapię się na swoją rękę. Na rękę, którą przybiłam piątkę z Jeremym Everlingiem. Trochę mnie piecze.

Nie wiem, jak długo siedzę, kontemplując dłoń. Kiedy jednak

podnoszę wzrok, klasa jest pełna innych uczniów, a ten, którego miejsce zajmuje, stoi tuż przy mnie.

- Siedzisz w mojej ławce - mówi.

- Och, sorry. - Zrywam się i wybiegam.

Serce mi wali, ale tym razem nie ze strachu, obawy czy niepokoju, tylko dlatego, że pokonałam jedno, drugie i trzecie. Chyba właśnie tak czuje się ktoś, kto wyrzuca pięść w powietrze i triumfalnie krzyczy pełnym głosem.

Lipton nie jest specjalnie zachwycony, że stanęłam w obronie jego honoru. Mallory i niektóre z jej koleżanek celowo przesadzają, witając go na korytarzu.

- Cześć, LIP-TON - cedzą.

To jednak nic w porównaniu z plotkami i spekulacjami na temat Observi. Dopadają mnie wszędzie, niczym macki. Na korytarzu. W szatni przed wuefem. W łazience. W autobusie. Wszędzie.

- Myślisz, że chodzi tu do szkoły?

- A skąd by znała East 48?

- Nie wierzę, że wybrała ich przypadkiem.

- A może?

- To na pewno Marissa. Wyobraź ją sobie w peruce...

- W ogóle nie przypomina Marissy. Raczej...

Daję sobie mentalnego kopniaka, bo w tym tygodniu zapomniałam zamieścić fotki z innych miejsc, co mogło zbić ludzi z tropu. Opuszczam głowę i zasłaniam się włosami. Przypominam sobie, że moja matka nie rozpoznała mnie w peruce, w okularach i ze szminką. Mimo to czuję się, jakby wrzeszczeli: „Dopaść ją!” za każdym razem, gdy mówią:

„Observi”. Nie mogę przestać się wzdrygać.

- W porządku? - Z samego rana we wtorek Lipton podchodzi do mojej szafki. - Wydajesz się zdenerwowana.

Zmuszam się do uśmiechu.

- Zawsze jestem zdenerwowana - odpowiadam.

- Ale dziś bardziej niż zwykle.

- Wszystko dobrze - szczebioczę.

- W ogóle cię nie widzę. - Pochyliła się, żeby zerknąć za kurtynę moich włosów. - Dlaczego się chowasz?

Gwałtownie odskakuję.

- Przepraszam, muszę... Muszę iść do łazienki.

Odwracam się na pięcie i uciekam od niego, nienawidząc siebie.

Oczekiwałam, że to zamieszanie ucichnie, ale jest coraz gorzej. A może lepiej, zależy, jak na to patrzeć. Uczniowie z mojej klasy nie tylko snują przypuszczenia na temat związku Observi z East 48, ale też robią dokładnie to, o co prosiłam: znajdują kogoś, kto potrzebuje przyjaciela, i wyciągają do niego rękę. A potem o tym mówią:

- Napisałam do tej dziewczyny, która chciała ze wszystkim skończyć.

- Napisałaś? O czym?

- O tym, że jestem tu, jeśli mnie potrzebuje, ale koniecznie powinna z kimś porozmawiać.

- Weszłam tam wczoraj na jakąś godzinę

- Ja też.

Śmiech.

- Właśnie to pisałam: „Ja też”.

- Ten chłopak powiedział, że jestem pierwszą osobą od trzech dni, która z nim gada. Że nikt nawet się z nim nie przywitał. Przez trzy dni.

- To jakieś szaleństwo.

- Więc dodałem go do obserwowanych. Powiedziałem, żeby pisał do mnie, kiedy zechce.

- Super.

Wyobrażałam sobie armię cichych pomocników, którzy mieli spełniać dobre uczynki, korzystając ze względnej anonimowości Instagramu, podczas gdy ja kontrolowałam ich wszystkich, bezpiecznie ukryta we własnym domu. Mieli zalać internet bezinteresowną dobrocią, a nie paplać o tym codziennie w szkole.

Czuję się tak, jakby zasypywali mnie gradem kul, które sama odlałam. Co prawda są to kule dobroci, ale mimo wszystko kule. Jakkolwiek się staram, nie udaje mi się uniknąć wysłuchiwania rozmów o Observi i za każdym razem denerwuję się, że zostałam rozpoznana. Chowam się w łazience, w tej samej kabinie co zwykle, i ściskam głowę rękami.

Nikt nie wie, że to ja.

Nigdy się nie domyślą.

Jestem nikim.

Nie widzą mnie.

To dziwnie krzepiąca mantra, przeciwieństwo tego, co zalecam innym. Ale to moja strefa komfortu. Jestem

niewidzialna i bezpieczna.

Zanim pobiegnę do klasy, z całej siły ściskam głowę. Lipton nie patrzy na mnie, kiedy wchodzę, ale gdy tylko siadam, wręcza mi liścik.

Boję się go przeczytać.

Powoli wyciągam zeszyt do historii, podręcznik i ołówek. Zastanawiam się nawet, czy nie podejść do temperówki, a nienawidzę podchodzenia do temperówki. Żeby tego uniknąć, zawsze mam przy sobie kilka starannie zaostrzonych ołówków.

Lipton odchrząka i ruchem głowy wskazuje liścik w mojej dłoni. Nie mogę dłużej zwlekać. Rozkładam karteczkę, na której napisał:

Czy powiedziałem coś złego?

Z ulgi niemal osuwam się na podłogę, a potem wstyd mi, że tak się przejmowałam. Kręcę głową i bazgrzę odpowiedź:

Mój głupi mózg ze mną pogrywa.

Lipton się uśmiecha i udaje, że ociera pot z czoła. Szybko pisze do mnie następny liścik.

Nie to, żebym się cieszył, że Twój mózg z Tobą pogrywa.

Bo nie. Powiedz mu, żeby się odchrzanił.

Uśmiecham się. Zanim jednak zdążę odpowiedzieć, Lipton podsuwa mi następny liścik.

Ale nie cały mózg ma się odchrzanić.

Tylko ta część, która źle się zachowuje.

Reszta jest idealna i ma zostać na miejscu.

Klepię się po głowie gestem, który ma chyba pokazywać, że mój mózg jest nietknięty. Lipton się uśmiecha i znowu pisze:

Pogadamy po lekcji?

To pytanie załatwia cały mój dobry nastrój. Oczywiście, że pogadamy po lekcji. Gadamy na przerwach już od tygodnia. Dlaczego w ogóle mnie o to pyta?

Kiwam głową, a przez resztę lekcji wyobrażam sobie rozmaite powody, dla których Lipton chce rozmawiać ze mną tak oficjalnie, i wszystkie sposoby, na które mógłby ze mną zerwać. Mój mózg lubi mnie tak dręczyć, snuć rozważania nad przyszłością, w której zostawiają mnie wszyscy ważni dla mnie ludzie.

Mój mózg to autentyczny dupek.

Lipton na przerwie ciągnie mnie do wnęki, w której w zeszłym tygodniu zaprosił mnie na koncert.

- Wyjeżdżam - mówi, a mnie żołądek podchodzi do gardła.

Naprawdę nie sądziłam, że mój mózg będzie miał rację.

- Na zawsze? - szepczę.

- Co? Skąd. - Śmieje się i mnie przytula. Przy wszystkich. - Tylko na Święto Dziękczynienia. Jedziemy do mojej cioci w Pittsburghu. Do dupy. To znaczy, ciocia jest świetna, ale wolałbym zostać tu z tobą. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, dlaczego nie umawiam się z tobą na ten weekend.

Mrugam, patrząc na niego.

- Ale możemy gdzieś iść w następny weekend, jeśli chcesz. Do kina, czy coś. Albo na pizzę. Sam nie wiem. - Dotyka czołem mojego czoła. - Beznadziejnie mi idzie.

- Wcale nie.

- Właśnie że tak.

Przytulałam się do niego, dziwacznie obojętna na bliskość innych uczniów.

- Mnie idzie beznadziejniej - wzdycham.

Przytula mnie mocniej, i ja jego też.

Dzięki temu czuję się jak prawdziwy człowiek.

Potrzebuję tego, wśród całej tej gadaniny o Observi. Potrzebuję przypomnienia, że istnieję poza internetem i że jest ktoś w prawdziwym świecie, kto potrzebuje mnie bardziej niż moi obserwujący w sieci.

Rozdział 28

Długotrwałe skutki uścisku Liptona są niczym pancerz chroniący mnie przez całą gadką o Observi. Jestem tylko troszeczkę zdenerwowana, kiedy Marissa ponownie wspomina o niej w redakcji, podczas przerwy na lunch.

- Wczoraj wieczorem spędziłam z Adrianem dwie godziny na jej profilu - mówi. - Super, i w ogóle, bo przynajmniej dla odmiany byliśmy razem. - Urywa i wzdycha, po czym kładzie czoło na zeszyte do matematyki. - Chyba zaraz zasnę. I dlaczego wczoraj na meczu nie było redakcyjnego fotografa?

- Na jakim meczu? - Beth Ann zerka znad komputera.

- Na moim. Najważniejszym w tym sezonie. Kazałam ci przysłać jakiegoś fotografa.

- Naprawdę? - Beth Ann zerka na Marva w nadziei na wsparcie, ale on tylko wzrusza ramionami. - Wybacz, ale...

- Wybacz, wybacz, wybacz. Każdy przeprosza, ale nikt niczego nie robi - burczy Marissa. - Wszystko na mojej głowie.

- Dobra, Miss Doskonałości. - Beth Ann odjeżdża na krześle od biurka. - Następnym razem postaram się lepiej czytać ci w myślach.

- Nie nazywaj mnie tak - burczy Marissa. - Nie jestem doskonała. Wczoraj nie strzeliłam łatwego gola, bo się rozglądałam w poszukiwaniu tego głupiego fotografa i przeze

mnie przegrałyśmy mecz. Teraz zawalę sprawdzian z matmy, a do tego Adrian oczekuję, że będę cholerną Matką Teresą. Już nie daję rady.

- Ej, spokojnie. - Marvo podchodzi do Marissy, uspokajająco wyciągając ręce, ale ona odsuwa się od niego.

- Nie jestem doskonała - powtarza drżącym głosem. - Nie mogę robić wszystkiego. Nie mogę być doskonała we wszystkim.

- Nikt nie mówił... - zaczyna Marvo.

- Nikt nie mówi, ale wszyscy tego oczekują. Marissa to zrobi! Marissa może się tym zająć! Ma być menedżerem East 48 i zorganizować wszystkie ich występy? Jasne! Marissa da radę! Prawda, Marisso, że dasz radę? A przy okazji będzie miała same szóstki. Liczymy na jej stypendium akademickie. Niech zredaguje księgę rocznikową. Niech wygra turniej hokeja! Niech ładnie wygląda i macha ręką na paradzie z okazji zjazdu absolwentów. I niech będzie miła dla wszystkich smutasów w internecie!

W końcu milknie. Marvo, Beth Ann i ja nie odzywamy się ani słowem i tylko wstrzymujemy oddechy na wypadek, gdyby znów miała wybuchnąć.

Beth Ann pierwsza przerywa milczenie.

- A może teraz powiesz nam, jak się naprawdę czujesz? - mówi.

Marissa ni to się śmieje, ni to szlocha.

- Ostatnio jestem pod koszmarną presją - wyznaje.

- Naprawdę? - Marvo wręcza jej pudełko chusteczek

Marissa wyciąga jedną i osusza oczy. Jestem pod wrażeniem

jej chwilowo niedoskonałego wyglądu. W tym momencie wydaje się o wiele sympatyczniejsza niż zwykle.

- Czasami żałuję, że nie jestem kimś całkiem nieznanym, żeby nikt niczego ode mnie nie oczekiwał. Kimś takim jak... - Zerka na mnie i przez jedną sekundę paniki myślę, że powie „Observi”.

- Jak Vicky - kończy.

- Ja? - Otwieram szeroko oczy.

- Nie zrozum mnie źle, ale kiedy przyszłaś do pracy w redakcji, pomyślałam sobie: „Super, pani Greene wciska ją nam, bo dziewczyna nic nie umie”. Miałam zero oczekiwań.

Beth Ann otwiera usta, by zaprotestować, ale Marissa ucisza ją, unosząc rękę.

- A tymczasem okazało się, że jesteś niesamowita i bardzo bystra, a w dodatku przemiła. Mogłaś tylko się wspinać i tak się stało. Ale kiedy zaczyna się od samej góry... - Unosi rękę wysoko nad głowę. - ...można tylko spaść. I każdy czeka, aż się potkniesz, żeby się na ciebie rzucić.

Nie bardzo wiem, jak mam się czuć w roli wzorca niskich lotów, ale czy nie nazwała mnie „niesamowitą” i „bardzo bystrą”?

- Nikt nie chce się na ciebie rzucić - mówi Beth Ann.

- Akurat. - Marissa pociąga nosem.

- Na pewno nie wszyscy - wtrąca Marvo. - Niektórzy z nas cię podtrzymają, jeśli będzie ci groził upadek.

- Właśnie. - Beth Ann zarzuca rękę na szyję Marissy. - Nie bądź dla siebie taka surowa.

Marvo obejmuje je obie. Marissa nadal jest bliska łez.

- Zawalę ten sprawdzian - skarży się.

- I co z tego? - mówi Beth Ann.

To naprawdę urocze. Pogrążam się w rozmyślaniach o wszystkich obserwujących Observi, którzy są dla samych siebie tak surowi jak Marissa. Nie zawsze chodzi o to, żeby być miłym i troskliwym albo powtarzać: „Jesteś wyjątkowa”. Trzeba też dać sobie chwilę oddechu. Ta myśl mnie pochłania, zastanawiam się, co Observi mogłaby z tym zrobić, i nawet nie uświadamiam sobie, że Marissa mówi do mnie.

Wystawiła głowę z gromadki, w którą się zbili.

- Chodź tu! - rozkazuje.

- Co?

- Grupowy uścisk. - Przywołuje mnie ruchem ręki. - Rusz tyłek i chodź tu do nas.

Wstaję z wahaniem, zniecierpliwiona Marissa wzdycha. Podbiegam więc, a oni wyciągają ręce i mnie obejmują. Potem stoimy, dotykając się głowami, ściskając, kołysząc i zanosząc śmiechem.

Prawdę powiedziawszy, to oni troje się śmieją. Ja tylko staram się nie płakać, bo nie są Jenna i nigdy nią nie będą, ale dzięki nim znalazłam swoje miejsce. To taka ulga, że nie czuję się już tak, jakbym stała coraz dalej od wszystkich.

Żałuję tylko, że to nie Jenna mnie złapała i podtrzymała. A przede wszystkim żałuję, że spisała mnie na straty.

Tego wieczoru opracowuję zdjęcie zainspirowane załamaniem się Marissy. Pierwszy krok to nowe selfie przed komputerem. Tym razem mam na sobie „hipnotyczne” okulary w spirale i obejmuję się ramionami. Wypisuję krzepiące, pełne

miłości słowa o tym, że trzeba stawiać siebie na pierwszym miejscu, bo czasami nie da się być wszystkim dla wszystkich. Trzeba też myśleć o sobie.

*Trzymaj się Zadbaj o swoje szczęście Każdy jest...
Odważny Wspaniały Wartościowy Pożądany Kochany
Nie brakuje Ci siły Zachowaj spokój
Miej nadzieję Śmiej się Uśmiechaj Odpręż
Bądź sobą Oddychaj
Znajdź swoją radość Słuchaj swojego serca*

Myśl o sobie

„Myśl o sobie” umieszczam w małym dymku wydobywającym się z moich ust. Uśmiecham się, spoglądając na końcowy efekt. Mam nadzieję, że tak samo zareagują Marissa, Hallie i wszyscy, którzy się załamują pod ciężarem oczekiwań – zwłaszcza własnych. Zdjęcie bardzo przypomina poprzednie, tyle że w miejsce rozmazanych i smutnych ust pojawił się uśmiech i starannie nałożona szminka. Nadzieja zamiast rozpacz. Skanuję fotografię i przygotowuję do wrzucenia na Instagram. Łatwo ją podpisać:

Dobrze jest myśleć o innych. Pamiętaj jednak, że musisz też myśleć o sobie!

Zamiast od razu zamieścić zdjęcie, ustawiam datę na Święto Dziękczynienia, żeby pojawiło się za dwa dni. Dzięki temu będę musiała radzić sobie z reakcją na nie, kiedy już wszyscy

ochłoną. Jutro i tak będzie beznadziejnie, bo Lipton nie przyjdzie do szkoły. Musi poświęcić jeden dzień na dojazd do ciotki.

Otwieram Instagram, ale nie po to, żeby sprawdzić, co u Observi. (Kiedy ostatnio do niej zaglądałam, miała już prawie dwa miliony obserwujących. To mnie niepokoi, więc wolę na razie nie patrzeć). Martwię się jednak o Jenę. Chcę sprawdzić, czy coś napisała. Dziwne, że w ogóle jej tu nie ma. Najpierw myślałam, że zamilkła, bo chce mnie wkurzyć, wiedząc, że będę sprawdzać jej konto. Teraz jednak zastanawiam się, czy nie chodzi o coś innego.

Jej obserwujący się wykruszają. Po tym, jak się przeprowadziła, ich liczba wzrosła z dwudziestu siedmiu do ponad stu, a powiększyła się jeszcze bardziej, gdy Jenna zaczęła się zadawać z Tristanem. Trzystu, czterystu, pięciuset...

Dziś jest dwustu czterdziestu trzech.

Nie mam pojęcia, dlaczego ćwierć tysiąca ludzi porzuciło ją w tak błyskawicznym tempie.

Mogłabym napisać krótko: „U Ciebie okej?“, gdybym miała telefon, ale mama go zarekwirowała i nie zamierza oddać, więc otwieram mejl.

Piszę wiadomość i ją usuwam, piszę i usuwam, i jeszcze raz. Moje listy są albo za długie, albo zbyt zawile, albo niepotrzebnie pełne skruchy, albo nazbyt oskarżycielskie, albo... w ogóle nie takie, jak należy. W końcu zadowolam się tym:

Martwię się o Ciebie. Nawet jeśli mnie nienawidzisz, daj

znać, czy wszystko okej. Vicky

Wciskam „Wyślij”, zanim zmienię zdanie, a potem czekam na odpowiedź. Jeśli napisze tylko: „U mnie okej”, będę wiedziała, że kompletnie nic nie pozostało z naszej przyjaźni. Ale może napisze coś więcej. Może znów odnajdziemy drogę do siebie.

Kiedy słyszę powiadomienie o nadchodzącym liście, boję się spojrzeć. Ale jeszcze bardziej boję się nie spojrzeć. Otwieram i widzę napis:

Powiadomienie o doręczeniu: Nie można dostarczyć listu.

Bardzo długo wpatruję się w tę lakoniczną informację, bo Jenna przez całe życie miała ten sam mejl. Przychodzi mi do głowy tylko jeden możliwy powód jego zmiany – postanowiła uniemożliwić komuś znalezienie jej tam, gdzie zawsze dało się ją znaleźć. Komuś takiemu jak ja.

Kiedy wstaję od komputera, nawet się nie wylogowuję ani go nie wyłączam, jak należy, tylko naciskam główny przycisk zasilania. Potem wpełzam do łóżka i raz po raz przypominam sobie w myślach słowa, które napisałam do moich obserwujących.

„Trzymaj się... Nie brakuje Ci siły... Zachowaj spokój... Oddychaj”.

Zastanawiam się, czy taka terapia w ogóle komukolwiek pomaga, bo mnie niespecjalnie.

Rozdział 29

W poniedziałek rano Lipton czeka przy mojej szafce i całkiem nieźle wychodzi mu przekonywanie mnie, że naprawdę za mną tęsknił.

- Do weekendu jest jeszcze tyle czasu - mówi. - Może umówimy się dzisiaj? Zgódź się, proszę.

Ma na sobie tę samą koszulę i nowe džinsy, które włożył na naszą randkę, a jego włosy wyglądają jeszcze lepiej niż w zeszłym tygodniu.

- Muszę popracować nad prezentacją na historię - odpowiadam. - Napisałam tekst podczas przerwy świątecznej, ale muszę jeszcze...

- Pomogę ci.

- Nie możesz.

- Dlaczego?

- Dlatego. - Mrugam. - Bo to oszustwo? Pamiętaj, że jestem w jednoosobowej grupie.

- To niesprawiedliwe, że musisz pracować sama, kiedy wszyscy mają do pomocy kolegów.

Wzruszam ramionami.

- Sama jestem sobie winna.

- Może pan Braxley zgodzi się, żebym pracował razem z tobą. Powiem, że chcę się zająć drugim tematem. Powinien być szczęśliwy, że ma tak zmotywowanego ucznia, prawda? -

Lipton niepewnie marszczy nos.

Ja też marszczę.

Więc pod koniec lekcji Lipton pyta pana Braxleya.

- Co chcesz zrobić? - Co było do przewidzenia, pan Braxley nie do końca rozumie, dlaczego Lipton chce przygotować nową prezentację po tym, jak mu się dostało podczas pierwszej.

- Chciałbym pomóc Vicky z jej tematem, bo nie ma nikogo w grupie.

Pan Braxley zerka na mnie znad okularów.

- W porządku, Decker? - pyta.

Kiwam głową.

- Wobec tego się zgadzam - postanawia pan Braxley. - Ale dostaniesz ocenę tylko za jedną prezentację. Wybiorę tę, która lepiej wypadnie.

Lipton siada w swojej ławce obok mojej.

- Zrobimy to na medal - szepcze.

- A czy nie zrobiłeś na medal bitwy pod Termopilami?

- Na dziewięćdziesiąt osiem procent. Teraz poradzimy sobie lepiej. - Zauważa panikę na mojej twarzy i szybko dodaje: - Żartowałem. Nie ma presji.

Dopiero po paru dniach ustalamy ostatecznie, jak i gdzie będziemy pracować. Wszystko, co dotąd napisałam, przechowuję w komputerze, więc to logiczne, że powinniśmy spotykać się u mnie. Tyle tylko, że na tym samym komputerze jest Observi, a ja nie chcę, żeby Lipton znalazł się w jej pobliżu. Nawet jeśli wyczyszczę historię wyszukiwania, zostaną wszystkie pliki, które stworzyły Observi. Boję się, że

Lipton natknie się na dowody, więc kłamię i mówię, że nie możemy pracować u mnie, bo mama nie wpuści chłopaka do mojego pokoju.

Lipton proponuje swój dom.

- Mamy pokój gier - mówi. - Tam można popracować na komputerze.

Mama myśli, że przygotowuję projekt razem z Hallie Bryce, więc zadaję ogólne pytanie:

- Czy mogę jutro odrobić lekcje u Liptona?

Oczekuję przesłuchania, ale chyba zbił ją z tropu fakt, że z własnej woli chcę mieć do czynienia z innymi ludźmi.

- Jasne, kochanie - odpowiada. - O której?

- Od razu po szkole.

Decydujemy się odpuścić sobie cały proces uzyskania dla mnie pozwolenia na przejazd autobusem, ponieważ wiąże się z koniecznością zdobycia całej masy pozwoleń oraz podpisów od praktycznie każdej napotkanej osoby, i to w trzech egzemplarzach. Perspektywa jazdy inną trasą również niespecjalnie mnie cieszy - wystarczy pomyśleć o tych wszystkich dzieciakach, gapiących się, szepczących i trącających łokciami. To niezbyt dobry pomysł. Wobec tego podwozi mnie mama i wydaje z siebie cichy pomruk zdumienia, gdy widzi, że dom Liptona jest tuż przy domu Marissy, do którego podwoziła mnie na imprezę.

Zatrzymuje samochód na podjeździe i rozpina pas.

- Nie wchodzisz - mówię. - Mam szesnaście lat, mam, nie sześć.

Mama wydyma usta, przez chwilę milczy wymownie, po

czym zapina pas.

- Dobrze. O której podjechać?

- Nie wiem. O wpół do szóstej?

- Gdybyś miała swój telefon, mogłabyś zadzwonić, kiedy będziesz gotowa - zauważa słodkim głosem.

- Jeśli mi go oddasz, chętnie to zrobię - mówię dokładnie takim samym tonem.

- Hasło?

Wysiadam z auta.

- A więc do wpół do szóstej. - Zatrząskuję drzwi.

Pogodziłam się już z tym, że nigdy nie odzyskam telefonu i wcale tak bardzo za nim nie tęsknię. Potrzebowałam go przede wszystkim do pisania z Jenną, a nadzieja na to, że jeszcze kiedyś do tego wrócimy, prysła jak bańka mydlana.

Teraz mogłabym tylko rozmawiać albo wymieniać esemesy z Liptonem, ale jest coś magicznego w tym, że ludzie nie wiedzą o sobie wszystkiego, nie widzą wszystkiego i nie dzielą się wszystkim. Dzięki temu moja wyobraźnia ma pole do popisu i jeszcze bardziej cieszę się na spotkanie.

Kiedy on otwiera drzwi i niepewnie się uśmiecha, cieszę się tak bardzo, że niemal podskakuję z radości. Przechyla głowę, a ja zachowuję ten obrazek w pamięci. Odtąd już zawsze będzie należał tylko do mnie.

- Cześć - mówi Lipton. - Wejdz.

Szybko wchodzę do środka, a on wychyla się i macha mojej mamie. Spodoba się jej to.

Lipton oprowadza mnie po parterze domu i szybko mu idzie, bo to zasadniczo jeden wielki pokój. Zwracam uwagę na

masywny kamienny kominek i na wyeksponowane belki pod sufitem. Kot Kicia, którego wcześniej spotkałam w krzakach, leży zwinięty na polarowym kocyku, rozłożonym na szerokim podłokietniku kanapy. Kuchnia sąsiaduje z otwartą jadalnią i salonem o przeszklonych ścianach i ze świetlikami. Pomieszczenie jest jasne i przestronne, a ja czuję się błogo, choć jestem na widoku. Nigdy dotąd nie doświadczyłam czegoś podobnego.

Pani Gregory wita się z kuchni, gdzie kroi warzywa. Młodsza siostra Liptona siedzi przy stole i odrabia lekcje. Macha do mnie energicznie, ale bez wątpienia kategorycznie zakazano jej rozmowy ze mną. Przygryza wargi i kręci się, jakby chciała iść siusiu.

Macham do niej.

- Tutaj - mówi Lipton.

Prowadzi mnie do mniejszego pokoju, sąsiadującego z salonem. W środku widzę wielki blat w kształcie litery L, ustawiony pod dwiema ścianami. Pod jedną stoi gigantyczny monitor komputera Apple, a po drugiej tace i pojemniki wypełnione mnóstwem papierów oraz akcesoriów do majsterkowania. Na ścianach pokoju roi się od obrazów oraz wszelkiego typu dyplomów i dowodów uznania, także za idealną frekwencję, które zajmują całą ścianę. Pośrodku podłogi znajdują się trzy wypełnione kuleczkami poduchy do siedzenia, a naprzeciwko nich, w kącie, stoi wielki telewizor.

- Wow - mówię. - To jest... wow.

- W tym pokoju odrabiamy lekcje i gramy - wyjaśnia Lipton.

- Wow.

- Wspominałaś.

- Muszę powiedzieć to jeszcze tylko raz. Obiecuję, że potem już nie będę. Wow.

Wtedy zauważam zdjęcia klasowe. Lipton w przedszkolu, w pierwszej klasie, w drugiej - aż do zdjęcia z ubiegłego roku szkolnego. Właściwie przez cały czas miał tę samą fryzurę, to znaczy do zeszłego weekendu. Pokazuję palcem zdjęcie, na którym brakuje mu obu jedynek.

- Byłeś uroczym dzieckiem - komentuję.

Lipton szeroko otwiera oczy, jakby zupełnie zapomniał o zdjęciach, po czym rzuca się, żeby zasłonić dłonią i przedramieniem najgorsze z nich, te od klasy siódmej do dziewiątej.

- Ani trochę - mamrocze. - Obiecuj, że już nigdy nie spojrzysz na te fotografie.

- Jak się mam oprzeć? Przecież wiszą na ścianie.

- Odwracaj wzrok. Poważnie. Pewne rzeczy są tak ohydne, że nie zdołasz wymazać ich z pamięci.

Uśmiecham się i patrzę w przeciwnym kierunku.

- W ten sposób chyba trudno nam będzie pracować - zauważam.

- Poczekaj chwilę.

Biegnie do materiałów artystycznych, grzebie w nich, po czym powraca do szkolnych zdjęć. Kiedy w końcu pozwala mi się odwrócić, widzę, że pozaklejał zdjęcia pustymi karteczkami.

- Wybacz. - Drapie się po głowie. - Dzięki. To żenujące.

Nie próbuję się spierać ani przekonywać go, że to

nieprawda, bo nienawidzę, kiedy ludzie tak robią - kiedy mówią człowiekowi, co powinien czuć, a czego nie. Mama wciąż powtarza: „Nie ma się czego wstydzić” albo: „Zachowujesz się niemądrze”. Być może ma rację, ale takie lekceważenie uczuć tylko pogarsza sprawę.

Kładę swoje rzeczy na blacie.

- Chcesz zacząć? - pytam.

Lipton się odpręży i oboje przysuwamy krzesła do komputera. Mówię, że chciałabym połączyć dawne obrazy poświęcone obłączeniu ze współczesnymi fotografiami i pokazać dzisiejsze odniesienia do historycznych wydarzeń.

- Doskonale. - Uśmiecha się szeroko.

To, co mam, wrzucam na twardego dysku, a Lipton pokazuje mi materiały, które udało mu się zgromadzić. Przeglądamy wszystko uważnie. Lipton proponuje puścić w tle muzykę, jakiś przejmujący, klasyczny kawałek. Ja jestem za tym, żeby całą historię opisać w krótkich akapitach na ekranie, bo dzięki temu w ogóle nie będę musiała nic mówić. Lipton namawia mnie na nagranie tekstu i odtworzenie go na lekcji.

- Puścimy cię jako narradora. To dobrze wypadnie i nie będziesz musiała występować przed całą klasą. Wystarczy, że naciśniesz przycisk i usiądziesz.

Spoglądam na niego znacząco. On właśnie tak zrobił i oboje wiemy, co z tego wynikło.

- Możesz mówić zwykłym głosem - oznajmia, jakby czytał mi w myślach. - Przegramy to na pendrive, więc nie będzie żadnych wygaszaczy.

Ściska mnie w brzuchu, a moje serce zdecydowanie

przyśpiesza. Mimo to nie jest tak źle, jak mogłoby być. Skrupulatnie odsuwałam od siebie myśli o prezentacji, bojąc się, jak moje ciało zareaguje na lęk przed czymś tak ważnym. Może to tylko opóźniona reakcja. Może jeszcze nie zaczęłam przetrawiać tego, co mam zrobić, ale dzięki pomocy Liptona wszystko jest mniej przerażające. Nagrywanie głosu kontra przemawianie przed klasą? To jak dzień i noc. Jak jin i...

Odpycham od siebie tę myśl, poczucie, że być może już nigdy nie odzyskam równowagi. Lipton wyciąga rękę, aby mnie podtrzymać, po czym przyciska dłonie do moich ramion.

- Będę tuż obok - przypomina.

- Okej. - Kiwam głową.

Mimo to staram się pisać jak najzwięźlej. Lipton dobiera w pary dawne i współczesne ilustracje. Tak bardzo jesteśmy tym pochłonięci, że żadne z nas nie zauważa, ile czasu minęło, aż nagle słyszę głos mamy. W salonie, gdzie zachwyca się domem Gregorych.

- Ooooooch, jaki pięęęęęękny kominek! A te belki! Zawsze marzyłam o domu z odsłoniętymi belkami - deklaruje.

Dla mnie to nowość.

Pakuje rzeczy.

- Jutro o tej samej porze? - pyta Lipton, gdy dołączamy do naszych mam przy drzwiach.

- Jasne - odpowiadam.

- Ty również możesz przyjść do nas, żeby odrabiać lekcje - wtrąca się moja mama. - Kiedy zechcesz. Vicky ma praktycznie cały sklep Apple'a w pokoju.

Lipton spogląda na mnie z ciekawością. Wmawiałam mu, że

moja mama na to nie pozwoli.

- Ale wszystko już mamy na komputerze Liptona - odpowiadam szybko. - Tu jest specjalny pokój do odrabiania lekcji i w ogóle.

- Jak wam wygodniej. - Mama uśmiecha się nieszczercze.

Dziękujemy i się żegnamy. Zgodnie z przewidywaniami, mama dopada mnie w samochodzie.

- Ile oni wam zadają, że każdego popołudnia musisz się spotykać z Liptonem?

- Przygotowujemy prezentację.

- Ach, tak. - Mama poprawia lusterko wsteczne. - Jaką znowu prezentację?

- Na historię. - Nie chce mi się kłamać, żeby ukryć poprzednie kłamstwo.

- Jeszcze jedną prezentację na historię?

- Nie, to ta sama. Dalej przygotowuję prezentację o oblężeniu Jerozolimy.

- Z Hallie Bryce?

- Nie. - Przelykam ślinę. - Ona jest z innej klasy.

- Przecież powiedziałaś...

- Zmyślałam.

Mama zachłystuje się powietrzem.

- Dlaczego mnie okłamałaś, Vicky?

Wzruszam ramionami.

- Na litość boską, co takiego skłoniło cię do kłamania w takiej sprawie? - pyta wysokim głosem.

Mogłabym dalej grzęznąć w kłamstwach, ale jestem zmęczona. Coraz trudniej jest mi ukrywać się za maską fałszu.

Czuję się tak, jak niedawno Marissa. Po prostu nie daję sobie rady. Więcej nie udźwignę. Wszystko się rozpadnie, jeśli nie zdołam zrzucić części ciężaru, który mnie przygniata.

Dlatego biorę głęboki wdech i wyznaję prawdę.

- Skłamałam, bo byłaś szczęśliwa, sądząc, że pracuję z kimś takim jak Hallie Bryce, która jest piękna i uzdolniona. Nie chciałam się przyznać, że pracuję sama, a tak właśnie było, dopóki Lipton nie zaproponował mi pomocy. Kłamałam, żebyś przynajmniej raz nie czuła się mną rozczarowana.

- Vicky, jak możesz tak mówić?

- W porządku, mam, jestem rozczarowująca. To zrozumiałe, że tak uważasz.

Mama patrzy na mnie załzawionymi oczami.

- Nie uważam, że jesteś rozczarowująca, kochanie. Naprawdę tak czujesz?

- To nie jest kwestia uczuć. To fakt - odpowiadam. - Nie spełniam ani jednego z twoich oczekiwań. Nie ubieram się tak, jak lubisz, nie noszę fryzury, która przypadłaby ci do gustu, nie mam ani przyjaciół, ani zajęć, ani osiągnięć, którymi mogłabyś się pochwalić. Innymi słowy, jestem pewna, że cię rozczarowałam.

Wjeżdżamy na nasz podjazd i mama wyłącza silnik, ale się nie rusza, tylko siedzi z rękami na kierownicy, jakby nadal prowadziła.

To mnie niepokoi.

- Posłuchaj, mniejsza z tym - ciągnę. - Tamtego dnia rozmyślałam o Hallie Bryce i nie wiem czemu powiedziało mi się, że razem pracujemy nad prezentacją. To chyba było takie

życzeniowe myślenie, a poza tym chciałam, żebyś przestała robić tę swoją minę.

Dłubię przy plecaku, żeby nie patrzeć mamie w oczy.

- Jaką minę? - pyta.

Nie chciałam być aż tak szczerą, ale teraz nie mogę się powstrzymać.

- Pełną rozczarowania. - Patrzę na mamę i widzę, że właśnie w tej chwili ma taki wyraz twarzy. Jest rozczarowana nawet teraz. Wskazuję na jej twarz. - Tę minę.

Przekręca lusterko, żeby spojrzeć na siebie, po czym odwraca się do mnie.

- Vicky, to nie jest rozczarowanie. To troska. Miłość. To mina matki, która pragnie dla swojej córki wszystkiego, co dobre. Która chce jej szczęścia i rozpaczliwie próbuje zrozumieć, co ją uszczęśliwi. Jeśli na mojej twarzy widać rozczarowanie, to tylko sobą, bo nie wiem, jak naprawić... - Głos więźnie jej w gardle. - Nie mogę patrzeć, jak jesteś nieszczęśliwa, kochanie. Wiem, że jesteś, ale nie potrafię tego naprawić.

- Nie trzeba mnie naprawiać - mówię. - Musisz po prostu zaakceptować mnie taką, jaka jestem. Musisz zrozumieć.

Mama kiwa głową i obejmuje się w pasie rękami.

- Mogę to zrobić - szepcze. - Mogę spróbować.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, a mama co rusz nabiera powietrza, jakby chciała coś powiedzieć, ale coś ją powstrzymywało.

- Nie chciałam sugerować, że trzeba cię naprawić - mówi w końcu. - Że nie kocham cię taką, jaka jesteś. Bo kocham.

Chodzi o to, że jeśli coś jest nie tak albo przez coś czujesz się źle i potrzebujesz pomocy, chcesz z kimś porozmawiać...

Szoruję nogami po dywaniku.

- Więc dlaczego ciągle mi mówisz, że wszystko jest w mojej głowie? - pytam. - Że wystarczy, bym stawiała czoło lękom, a wszystko będzie dobrze?

Jej twarz się kurczy i nagle zdaję sobie sprawę, że mama jest bliska płaczu.

- Przepraszam cię, skarbie. Myślałam, że... - Kładzie rękę na moim kolanie. - Nie spisałam się. Teraz to widzę.

Patrzę na nią, na łzy spływające po jej policzkach. Kiwam głową, a mama przyciąga mnie do siebie i tuli. Nie pamiętam, kiedy poprzednio mnie przytulała. To nie naprawia wszystkiego, ale pomaga.

- Tak sobie myślę, że mogłabym porozmawiać ze szkolną psycholog - mówię.

- Jasne. - Mama się odsuwa i patrzy mi w oczy. - Tego chcesz? A może mam znaleźć kogoś...

- Lubię ją. Myślę, że może pomóc.

- Okej. - Mama ociera łzy i głaszcze mnie po policzku. - Tylko daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała. Czegokolwiek.

Znowu mnie tuli, kiedy tata parkuje na podjeździe. Wysiada z auta i rusza ku nam, a na nasz widok robi niesamowicie uroczą, pełną zdumienia minę.

Mama opuszcza okno.

- Wszystko w porządku? - pyta tata.

Mama odwraca się do mnie i przygląda mi włosy.

- Niezupełnie - mówi. - Ale będzie.

Kiedy tata nas zostawia i idzie do domu, mama każe mi obiecać, że odwiedzę panią Greene. Denerwuję się na myśl o tym, że będę musiała się otworzyć i wyjawić to, co tak długo skrywałam, ale teraz nie mam innego wyjścia.

- Po prezentacji - oświadczam.

Nie sądzę, żebym zniosła jedno i drugie w tym samym tygodniu, bo rozmowa z panią Greene oznacza ujawnienie przed nią Observi, a jeszcze nie jestem na to gotowa.

Rozdział 30

Następnego dnia, i kolejnego, mama zawozi mnie po lekcjach do Liptona, a pani Gregory ją zaprasza i rozmawiają przy kawie, kiedy my pracujemy nad prezentacją. I wszystko w porządku.

Nie twierdzę, że mama stała się zupełnie innym człowiekiem, ale widzę, że się stara. Ja też się staram. Robię delikatny makijaż kosmetykami z domu towarowego Neiman Marcus. Przeglądam ubrania, które mi kupiła, i znajduję dwa niezbyt okropne swetry.

Lipton mówi, że ładnie wyglądam, i to przy mojej mamie, która uśmiecha się od ucha do ucha.

Dochodzi do tego, że mama zwraca mi telefon. W piątek przy kolacji podsuwa mi komórkę i nie pyta o hasło.

- Co to jest? - Ledwie go rozpoznaję.

- Możesz go wziąć z powrotem - oznajmia. - Pod jednym warunkiem. Rozmawiaj ze mną. Nie oczekuję, że będziesz mówiła mi wszystko, co myślisz i co czujesz, ale daj mi znać, jeśli coś będzie nie tak. Może zdołam pomóc, nawet jeśli będziesz innego zdania. Nie odcinaj się ode mnie, dobrze?

Tata przerywa jedzenie i patrzy raz na nią, raz na mnie, jakby nagle zauważył parę jeleni, które weszły do jadalni i zaczęły się paść przy stole.

- Okej - mówię.

Mama z uśmiechem kiwa głową, po czym osusza oczy serwetką.

- I żyli długo i szczęśliwie - podsumowuje tata.

Śmiejemy się i przez moment mam wrażenie, że to może być prawda, ale moja historia wciąż trwa i nie jestem pewna, jak się zakończy.

Biorę do ręki telefon, kompletnie rozładowany. Mam wrażenie, że to tylko cienka, gładka kostka niczego. Może go podłączę, ale później, jeśli uznam za stosowne. Na razie mam ochotę obejrzeć z rodzicami film, i to właśnie robię. Wybieramy *Boyhood*, kręcony przez dwanaście lat, czyli tyle, ile trwała moja przyjaźń z Jenną. Dziwnie się patrzy, jak ktoś tak dorasta i się oddala, ale może tak się dzieje w życiu. Ludzie po prostu się oddalają. Na koniec filmu mama płacze jak Patricia Arquette. Przytulam ją, a ona płacze jeszcze głośniej. W ogóle nie przypominam chłopca w filmie, więc nie jestem pewna, dlatego mama płacze, a ona nie mówi.

Czasem po prostu trzeba to z siebie wyrzucić.

Tego wieczoru kładę telefon na toaletce, ale nie podłączam go do ładowarki. Przez cały tydzień udało mi się trzymać z dala od Observi. Byłam świadoma tego, co robi, tylko dzięki temu, co usłyszałam w szkole. Nie zamieściłam ani jednego postu od czasu Święta Dziękczynienia, ale Ellen najwyraźniej zrobiła fotomontaż ze sobą i ze mną podczas akrobacji spadochronowych. Podobno mam już ponad dwa miliony obserwujących i nie wiem, jak mam się z tym czuć. To jednocześnie krzepiące i straszne. Wygląda na to, że niemal wszystko opiera się na równowadze jin i jang.

Dodaję mieszane uczucia związane z rosnącą liczbą obserwujących do nowej listy spraw, które muszę poruszyć podczas rozmowy z panią Greene. Pójdę do niej. Wkrótce.

Większość weekendu spędzam z Liptonem, kończąc pracę nad projektem i grając w *Minecraft*. Pokazuje mi, jak to działa.

- Adam skończyłby ze wstrząsem mózgu, gdyby o tym wiedział - mówi.

Ja jednak jestem zaciekawiona i podobają mi się fantastyczne światy, które można tam stworzyć. Lipton ma całą wyspę, z zamkami, wodospadami, farmami i sklepami. Jest tam nawet kręgielnia.

Przełączamy się na inny serwer, gdzie są pozostali gracze, a także potwory. Lipton wciela się we władającego mieczem i miotającego płomienie ninję. Kiedy podchodzi do maleńkich postaci, które nic nie robią, bo ich „panowie” odeszli od komputera, podnosi je i strąca z pobliskiego urwiska.

- Zabiłeś go?

Lipton uśmiecha się do mnie.

- Właśnie strąciłeś w przepaść całkiem niewinną osobę i powieka ci nawet nie drgnęła.

- Odrodzi się. - Lipton wzrusza ramionami. - Zresztą, dobrze mu tak. Co to ma być, stoi jak kołek w środku bitwy.

- Przypomnij mi przy okazji, żebym nigdy nie jechała z tobą nad Wielki Kanion.

Śmieje się, kiedy udaję, że spadam w przepaść, po czym wracamy do pracy. Nie licząc pocałunków w policzek, kiedy przyszedłam w sobotę i niedzielę rano, trzymamy ręce przy

sobie. Zazwyczaj. Pomaga to, że jego siostra wciąż wpada do pokoju gier i z niego wypada, bo robi kukielki z papierowych torebek.

Lipton uzyskuje pozwolenie, żeby ją wyrzucić, kiedy mam nagrać tekst prezentacji. Dostaje też pozwolenie na zamknięcie drzwi.

Nawet w stanie względnego spokoju nie potrafię bez omyłek przeczytać całości tekstu, więc nagrywamy partiami. Lipton wciąż powtarza, że jest świetnie, ale kiedy odtwarza nagranie, mój głos brzmi tak, jakbym połknęła papier ścierny.

- Naprawdę tak mówię? - pytam. - Coś okropnego.

- Każdy uważa, że jego nagrany głos jest dziwny, bo przecież ludzie słyszą go tylko ze środka głowy - wyjaśnia Lipton. - A tam brzmi inaczej.

- Mój brzmi okropnie.

- Niesamowicie.

- Jeśli się lubi odgłos przejeżdżania paznokciami po tablicy.

- Ja lubię - żartuje Lipton. - Uwielbiam.

- O Boże. Naprawdę tak mówię? Nie dam rady.

- Wcale tak nie mówisz. - Śmieje się. - I dałaś radę. Już po wszystkim.

Nakładamy dźwięk na obraz. Lipton przygasza światło i odsuwamy krzesła, żeby obejrzeć cały film od początku do końca. Pochyla się i naciska przycisk odtwarzania, po czym sadowi się obok mnie i bierze mnie za rękę.

Wzdrygam się, słysząc swój głos, ale materiał jest płynnie zmontowany i tekst pasuje do obrazów. Zakończenie to moja ulubiona część. Prezentujemy współczesne zdjęcia ludzi przy

jerozolimskiej Ścianie Płaczu, a także zbliżenia modlitw na skrawkach papieru powciskanych w małe szczeliny. Znalazłam parę postów na blogach oraz artykułów napisanych przez ludzi z całego świata, którzy doświadczyli przy Ścianie naprawdę głębokich przeżyć. Spisałam z ich opowieści cytaty dotyczące nadziei, miłości i zrozumienia, ale ich nie odczytałam – pojawiły się na ekranie w formie tekstu i przesuwały się z fotografiami w tle. Bez akompaniamentu.

Gdy obraz gaśnie, odwracam się do Liptona.

- Myślisz, że w zakończeniu trzeba dodać muzykę czy coś? -
pytam.

Lipton lekko odchrząkuje.

- Nie.

- Na pewno?

- Na pewno.

Wstaje i zapala światło, ale nie od razu na mnie patrzy. Skupia się na kopiowaniu prezentacji na dwa pendrive'y, na wypadek gdyby jeden się zawieruszył albo zepsuł, albo został połknięty, albo niby przypadkiem wyleciał przez okno, żeby prezentacja nie mogła się odbyć. (Chociaż Lipton kazał mi obiecać, że tego nie zrobię).

Nic nie mówi i zaczynam się martwić, że jest rozczarowany, że prezentacja nie jest taka dobra jak jego bitwa pod Termopilami i że nie dostanie lepszej oceny.

- Myślisz, że będą zadawali pytania? - Rzecz jasna, przeraża mnie ta perspektywa.

- Raczej będą milczeli w oszołomieniu - mówi.

- Aż tak źle?

Lipton zamyka oczy i wzdycha.

- Nie masz pojęcia, prawda? To jest genialne. Ty jesteś genialna!

- A ty masz urojenia - odpowiadam ze śmiechem.

Lipton podchodzi bliżej i dotyka czołem mojego czoła.

- Prezentacja jest świetna. Uwierz mi.

- Okej - mówię bez przekonania.

Odsuwa się i patrzy na mnie z pełnym niedowierzania uśmiechem.

- Nie wierzysz mi.

- Nie o to chodzi.

- W ogóle mi nie wierzysz.

Uważa, że to w pewnym sensie zabawne, ale dostrzegam błysk bólu w jego oczach. Wiem, jak to wygląda.

- Po prostu się denerwuję - mówię. - Wystąpieniem przed klasą. A jeśli mnie wyśmieją? Jeśli będą mnie wytykać palcami i się gapić, a ja wszystko schrzanię? A jeśli w ogóle nie będę mogła wstać? - Z coraz większym trudem chwytam powietrze.
- Myślę, że...

- Spokojnie. Trzymaj się. - Łapie mnie za ręce i prowadzi do krzesła. - W porządku?

Opuszczam głowę między kolana i oddycham głęboko. Pokój się kołysze. Kładę się na podłodze, przetaczam na bok, podkulam nogi.

- Co się dzieje? - Lipton na czworakach klęczy obok mnie.

Zamykam oczy. Próbuję oddychać głęboko i powoli.

- Papierowa torba - mamrocze do siebie Lipton. -
Papierowa torba.

Biegnie do biurka pod drugą ścianą, chwytając zmiętą torbkę i podsuwa mi ją pod nos.

- Oddychaj - mówi.

Więc oddycham. I znowu. I jeszcze raz, powoli, aż pokój przestaje wirować. Lipton patrzy na mnie z przerażeniem, trzymając torbę przy moich ustach. To jedna z pacynek jego siostry, z wybałuszonymi oczami i pomponowym nosem. Oddycham jeszcze kilka razy, patrząc, jak pompon porusza się przy każdym wdechu i wydechu, aż mój oddech się uspokaja.

- Już w porządku - mówię do torby.

Lipton ją zabiera.

Wpatrujemy się w siebie przez chwilę, ja skulona na boku, on klęcząc nade mną. Drzwi nadal są zamknięte.

- Przepraszam, że jestem takim dziwadłem - szepczę.

- Nie jesteś...

- W porządku. - Dźwigam się z podłogi. - Wiem, że jestem.

Znowu zaczyna protestować, ale przyciskam palce do jego ust, więc je zamyka. Cofam rękę.

- Nie próbuj mnie przekonywać, że jestem kimś innym, lepszym czy silniejszym, dobrze? Robię, co mogę, ale czasem po prostu nie wychodzi. Czasem muszę położyć się na podłodze i oddychać w papierową torbę. Taka właśnie jestem.

- Rozumiem. - Jego mina faktycznie jest pełna zrozumienia.

- Czasem tak bardzo się boję ludzi, przebywania wśród ludzi, że muszę się ukryć. W łazience albo... za krzakami czy gdzieś.

- Łapię. - Kiwa głową.

- Przez cały czas mówię bardzo głupie rzeczy. Pewnie

zemdleję w trakcie tej prezentacji albo zwymiotuję. To też się zdarza. Mogę zarzygać całą klasę, a potem już nie będę w stanie się pokazać w szkole. Pewnie powinniśmy się teraz pożegnać.

- Przestań - mówi.

- Poważnie.

Lipton siada przy mnie na podłodze.

- To mi w ogóle nie przeszkadza.

- Poczekaj, aż na ciebie zwymiotuję - oznajmiam.

- Przestań mnie odstraszać - śmieje się.

- Wcale nie próbuję. - Opuszczam spojrzenie na kolana i bawię się rąbkiem koszuli. - Chodzi o to, że straciłam jedyną przyjaciółkę, przy której mogłam być sobą i boję się...

Lipton przysuwa się jeszcze bliżej. Jego twarz jest zaledwie kilka centymetrów od mojej. Patrzy na mnie spokojnym wzrokiem.

- Przy mnie też możesz być sobą - zapewnia. - Nie chcę, żebyś była kimś innym. Okej?

Odwzajemniam jego spojrzenie i kiwam głową.

Pochyla się, dotyka ustami moich ust i już nie chcę być nikim innym. Ani trochę.

Rozdział 31

W poniedziałek rano spotykamy się przy szafkach. Lipton stara się zachować spokój, żebym nie wpadła w panikę, ale widzę, że jest zdenerwowany, dzięki czemu od razu czuję się lepiej.

- Mam coś dla ciebie - mówi.

Szpera w plecaku, otwiera wszystkie kieszonki i jest coraz bardziej podminowany, kiedy nie znajduje tego, czego szuka. Spodziewam się, że dostanę kolejną torebkę m&m'sów i zastanawiam się, po co robi to teraz. W końcu klepie się po kieszeni.

- Jest.

Wyciąga małe prostokątne pudełko, owinięte w błyszczący, srebrny papier.

- Co to? - Biorę je do ręki.

- Prezent.

- Dla kogo?

- Dla ciebie.

- Ale dlaczego?

- Może po prostu otworzysz? - wzdycha.

Rozglądam się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, bo prezent wygląda jak pudełko na biżuterię, może na pierścionek. Część mojego mózgu, ta, która nie myśli jasno, martwi się, że Lipton zrobił coś zupełnie idiotycznego i kupił

mi pierścionek przyrzeczeniowy. Mam szczerą nadzieję, że tak nie jest, bo pierścionki przyrzeczeniowe to najgłupsza rzecz pod słońcem, a teraz nie pora na...

Spokojnie.

Powstrzymuję wewnętrzny słowotok i zdzieram papier. Pudełeczko nie jest od jubilera, tylko z centrum handlowego, ze sklepu, w którym sprzedają bransoletki z ćwiekami i postarzane džinsy rurki.

Patrzę nerwowo na Liptona.

- Może otworzysz? - prosi.

Teraz on wygląda tak, jakby zbierało mu się na wymioty.

Zdejmuję wieczko. W środku jest wisiołek, srebrny mieczyk na srebrnym łańcuszku. Wygląda jak jeden z mieczyków, którymi wywijali żołnierze w *Minecrafcie* podczas bitwy pod Termopilami.

- Czy to... miecz? - Głaszczę palcem wisiołek, ale nie podnoszę go z bawełnianej poduszeczki.

- Diamentowy miecz - precyzuje Lipton.

Wytrzeszczam oczy, przyglądając się uważniej.

- To nie są prawdziwe diamenty. Tak się nazywa w *Minecrafcie*. - Lipton przestępuje z nogi na nogę, ręce trzyma w kieszeniach. - Diamentowy miecz chroni przed niemal wszystkim. Dzięki niemu jest się silniejszym, zwłaszcza jeśli jest zaklęty. A ja zaopatrzyłem go we wszystkie zaklęcia.

- Jak to zrobiłeś? - Biorę maleńki mieczyk w palce.

- W grze można kupić zaklęcia za punkty, które zdobywa się w bitwie. Ale co do tego... - Wzrusza ramionami. - Tak tylko udawałem. To mieczyk na szczęście. Na prezentację. Ma

odstraszać niegodziwców z klasy i w ogóle. - Znowu wzrusza ramionami.

Mam ochotę rozplakać się ze szczęścia. Mrugam pośpiesznie, żeby powstrzymać łzy.

- Pomożesz mi go założyć?

Lipton wyjmuje wisiorek z pudełka i zapina mi go na szyi, gdy w końcu udaje mu się wyplątać łańcuszek z moich włosów. Mieczyk spoczywa teraz w małym wgłębieniu, tam gdzie zbiegają się obojczyki. Jest ukryty pod swetrem, ale i tak go czuję.

Dzięki talizmanowi udaje mi się przekroczyć próg sali. Potem jednak przypominam sobie, co mnie czeka, i czas zaczyna zwalniać. W moich uszach znów rozbrzmiewa ryk, słyszę go w zwolnionym tempie, zupełnie jakby odkurzacze wyły w niskiej tonacji. Stukot moich kroków odbija się od ścian głuchym echem. Widzę każdą twarz, każdy uśmiezek, słyszę każdy rechot, jakby ktoś je nagrał i odtwarzał, co chwila pauzując.

Jestem pewna, że całkiem przestałam oddychać.

Lipton jednak szepcze moje imię i przełamuje ten okropny czar, który mnie zniewolił.

- Vicky... Vicky...

- Hm?

- Pan Braxley powiedział, że możemy zaczynać.

Zaciskam dłonie na krawędziach ławki. Kiwam głową, ale się nie ruszam. Nawet nie pamiętam, że usiadłam.

Lipton wyciąga pendrive.

- Podłączę to do komputera i zacznę odtwarzać, dobrze? -

Przygląda mi się z uwagą.

Patrzę na niego, kiedy wstaje. Ryk w moich uszach przypomina teraz bzyczenie roju pszczół.

Lipton się pochyła.

- Nikt ci nie zrobi krzywdy - szepcze. - Nie zapominaj, że masz diamentowy miecz.

Kładę rękę na naszyjniku, ściskam mieczyk palcami. Udawane czy nie, zaklęcia zdają się działać. Rozluźniam mięśnie, ryk zmienia się w ciche buczenie. Nawet udaje mi się odpowiedzieć uśmiechem na uśmiech Liptona, który podchodzi do biurka pana Braxleya i wkłada pendrive do gniazdka komputera, po czym gasi światło i uruchamia program.

Gdy zaczyna się nagranie, w klasie zapada cisza. Patrzę na to tak, jakbym opuściła własne ciało, unosiła się pod sufitem i obserwowała ludzi z góry. Przygotowuję się na ich śmiech, na trącanie się łokciami i wymowne spojrzenia. Cała klasa jednak siedzi w dziwnej ciszy, zafascynowana tym, co widać na ekranie. Pod koniec, gdy cichnie mój głos z offu i pojawiają się cytaty z karteczek umieszczonych w Ścianie Płaczu, wszyscy milczą. Prezentacja dobiega końca.

Nerwowo czekam na reakcję, przynajmniej na grzecznościowe oklaski. Mogą być od niechcienia, w zupełności by wystarczyły. Słyszę jednak pociąganie nosami. Kilka dziewczyn sięga po chusteczki i ociera oczy. Adam nie wali głową w blat ani nie ukrywa twarzy w dłoni, tylko trze nos rękawem. Wybrałam te cytaty, które mnie poruszyły, ale ja wzruszam się nawet na ckliwych reklamach telewizyjnych i na powtórkach *Małego domku na prerii*. Nie oczekiwałam takich

emocji od kolegów z klasy. Pan Braxley zaczyna klaskać i wszyscy dołączają. Nie powiedziałabym, że to owacja na stojąco, ale brzmi dość entuzjastycznie. Jeremy Everling pokazuje mi uniesione kciuki.

Głaszczę diamentowy mieczyk na swojej szyi. Nigdy, PRZENIGDY go nie zdejmę.

Wszyscy do mnie podchodzą. „Dobra robota”, powtarzają. To miłe, krzepiące i w ogóle, ale czuję się jak po przejażdżce na karuzeli z wirującymi filiżankami w wesołym miasteczku. Kręci mi się w głowie, jestem rozdygotana i muszę jak najszybciej wyjść z klasy.

Rozlega się dzwonek. Lipton woła, żebym poczekała, ale nie mogę. Patrzę na niego błagalnie i wybiegam z klasy z nadzieją, że zrozumie.

Przepycham się przez zatłoczony korytarz, prosto do łazienki, ale nagle myślę o pani Greene. To okazja, żeby z nią porozmawiać. Kiedy docieram do jej gabinetu, drzwi są otwarte. Niemal wpadam do środka i ląduję na fotelu. Pani Greene wieszka na drzwiach tabliczkę „Nie przeszkadzać”, zapala migające światelka i gasi jarzeniówki pod sufitem.

Nie naciska, abym mówiła, ale czuję, że pęknę, jeśli nie zacznę.

- Udało mi się - mówię.

Nie pyta co, tylko słucha.

- Przygotować prezentację na historię - dodaję. - Nie sądziłam, że zdołam, ale zdołałam. Wypadła, jak należy.

- To świetnie, Vicky. - Uśmiecha się. - Doskonale.

- Przepraszam, że tak się władowałam. - Nadal dyszę.

- Nic się nie stało - odpowiada. - Po to tu jestem.

Kiwam głową i oddycham.

Pani Greene częstuje mnie kubeczkim wody. Ma w gabinecie duży dystrybutor z niebieską butlą.

Biorę kubeczek i próbuję nie rozlać wody. Ręka mi drży.

- Nie wiem, dlaczego tak reaguję - wyznaję.

- Możemy o tym porozmawiać, kiedy będziesz gotowa - odpowiada po chwili.

- Jestem gotowa - szepczę.

Przez następne piętnaście minut rozmawiamy - a dokładniej, ja mówię, a pani Greene głównie kiwa głową, jakby wszystko rozumiała i jakbym wcale nie była dziwna czy popaprana, bo czuję to, co czuję. Opowiadam jej o prezentacji, o ryku, o brzęczeniu i o zwolnionym tempie... o wszystkim.

- Możemy się umówić na następne spotkanie, jeśli chcesz - mówi w końcu pani Greene. - Porozmawiałybyśmy, dlaczego tak się dzieje i jak sobie z tym radzić.

Chcę, bo ciężar zelżał i znów mogę oddychać. Ponownie czuję się jednak niebezpiecznie obnażona, zupełnie jakbym zdjęła kuloodporną kamizelkę na środku pola bitwy. Pragnę włożyć ją z powrotem i schować się za najbliższą skałą.

Pani Greene wychyla się i kładzie rękę na moim ramieniu.

- To będzie całkowicie poufna rozmowa - zapewnia mnie. - Nikt nie musi wiedzieć, co się dzieje w tym pokoju. Wszystko pozostanie między tobą a mną.

- Okej. - Kiwam głową. - Pomyślę o tym.

Wręcza mi broszurkę na temat społecznych fobii. Przeglądam ją i czuję się tak, jakbym czytała swój życiorys.

- Jeśli chcesz, pokaż to rodzicom - mówi. - Albo nie. Dzięki temu lepiej zrozumieją, przez co przechodzisz.

Próbuję sobie wyobrazić, jak wręczam broszurkę mamie i widzę tę okropną minę na jej twarzy - minę, która podobno wyraża troskę, a nie rozczarowanie. Nadal nie jestem pewna. Wolałabym ofiarować jej coś, dzięki czemu byłaby dumna i szczęśliwa, dajmy na to swoją fotografię z przyjaciółmi albo zaproszenie na przyjęcie.

A co z Observi? Co się z nią stanie, jeśli zacznę o wszystkim mówić szczerze? Czy będę musiała wyjawić prawdę o niej?

Wychodzę pod koniec lekcji, pełna sprzecznych emocji. Hallie Bryce czeka na korytarzu, przed gabinetem. Przytrzymuję jej drzwi, ale ona przystaje i odwraca się do mnie.

- To, co robisz, jest naprawdę wyjątkowe - mówi.

Wpatruję się w nią, bo choć wizyta u pani Greene jest dla mnie olbrzymim krokiem naprzód, to jednak nie nazwałabym tego niczym wyjątkowym.

- Na Instagramie - szepcze. - To autentycznie wszystko zmienia.

Zaczynam dukać, zaprzeczać, ale Hallie kładzie palec na ustach, żeby mnie uciszyć.

- Nic się nie martw - dodaje. - Nikomu nie powiem.

Rozdział 32

Zatem Hallie wie. Tylko skąd? Znów słyszę ryk w uszach i chcę biec z powrotem na fotel u pani Greene. Teraz jednak siedzi w nim Hallie. Twierdziła, że nic nie powie, ale jeśli ona się domyśliła, to może inni też na to wpadną?

Idę na matematykę, robię, co trzeba, i jakoś się trzymam. Pomagam Marvowi wybrać zdjęcia wyprowadzaczki psów, skejtera i konstruktora auta.

Pod koniec dnia ponownie spotykam Hallie, tym razem przy szafkach.

- Hej - mówi.

- Skąd... - zaczynam, bo muszę wiedzieć.

- Poznałam po dłoniach - odpowiada. - Zwracam uwagę na dłonie.

Patrzę na swoje ręce. W prawej trzymam plecak, a lewą mocno zaciskam u boku. Hallie ułożyła swoje dłonie z gracją, jakby tańczyła.

- Przez cały czas zaciskasz lewą pięść - oznajmia, po czym dodaje szeptem: - Tak samo jak Observi.

- Och. - Rozprostowuję palce.

- Wątpię, żeby ktoś inny zauważył - mówi. - Mam trochę fioła na tym punkcie. Dłonie, stopy. Wiem, kto obgryza paznokcie, kto stawia stopy do środka, a kto wali piętami o ziemię, kiedy chodzi. To jedna z moich bezużytecznych

umiejętności.

- Tylko ty wiesz - wyznaję.

- Poważnie? - Unosi brwi.

Kiwam głową.

- Wow. - Wyjmuje książki z szafki. - Nie powiedziałaś pani Greene?

- Jeszcze nie.

- Nie wydam twojego sekretu. - Uśmiecha się. - Widzimy się.

Unoszę rozprostowaną dłoń, żeby jej pomachać.

- Widzimy się.

Patrzę, jak Hallie sunie przez korytarz. Dziewczyna, z którą kiedyś bałam się przywitać, teraz strzeże mojego największego sekretu. Nie jestem pewna dlaczego, ale czuję się lepiej ze świadomością, że ktoś wie.

Lipton dopada mnie pod koniec dnia zaniepokojony, że coś się stało, skoro tak nagle uciekłam z klasy.

- Ktoś zrobił ci przykrość? Może ja?

- Co? Nie. - Ściskam jego rękę. - Musiałam znaleźć spokojne miejsce, żeby złapać oddech.

- Okej. - Uśmiecha się. - Wiesz, że nie musisz nosić tego miecza, jeśli nie chcesz. Nie będzie mi przykro.

Przyciskam mieczyk.

- Żartujesz sobie? Nigdy go nie zdejmę.

Lipton się śmieje.

- Ale go nie potrzebowałaś. Prezentacja poszła świetnie. Braxley chyba się popłakał.

- Myślisz, że da nam po szóstce?

- Jeśli to zrobi, zatańczę na środku klasy.

Lipton zabawnie trzęsie otwartymi dłońmi i jednocześnie prezentuje coś, co przypomina moonwalk skrzyżowany z tańcem przedszkolaków. Śmieję się tak bardzo, że nie ma już miejsca na zażenowanie, ale i tak ukrywam twarz za plecakiem.

Odprowadza mnie do autobusu.

- Odzyskasz kiedyś swój telefon? - pyta posepnie.

- Och, zapomniałam powiedzieć. Już odzyskałam! Teraz muszę tylko znaleźć ładowarkę.

- Nareszcie! - Idzie do swojego autobusu, szczerząc się jak wariat. - Napiszę do ciebie później.

Po odrobieniu lekcji i zjedzeniu kolacji uruchamiam komputer i loguję się na Instagramie. Observi ma dwa miliony czterysta tysięcy obserwujących. Staram się nie myśleć o nich jak o anonimowych liczbach. Nie są dla mnie tylko pierwszym, osiemsetnym czy dwumilionowym obserwującym. To samotnyyy, fanatykdumbledorea, tanyzazeebee, kookiestkimberly i ambivalentlessly. To także radhakrishnanraj, halliebrycedances i justjennafied.

Otwieram ostatnie zdjęcie, które zamieściłam, i przeglądam komentarze. Połowa z nich to nadal wymiana zdań między pomagającymi i tymi, którzy potrzebują pomocy. Inni jednak panikują i niepokoją się... o mnie. Obserwujący zauważyli moją nieobecność i nie są specjalnie zadowoleni.

*Gdzie jesteś, @**observi**? Tęsknimy.*

Wszystko w porządku?

Proszę, wróć. Nie dam rady bez Ciebie.

O, Boże, jeśli coś jej się stało, to chyba tego nie zniosę.

I tak dalej. Niektórzy piszą tak, jakbym porzuciła ich osobiście, i teraz to ja sprawiam im ból, zamiast go koić. Zamykam drzwi na klucz i wkładam kostium Observi. Neonowa spódnica jest pognieciona po tym, jak odleżała swoje w torbie, zwinięta w kulkę. Wygładzam ją i się przebieram, zakładam białe kocie okulary z pierwszego postu. Otwieram Photo Booth na komputerze i rozwieszam za sobą białe prześcieradło. Uśmiecham się i macham ręką.

Zamiast jednak wkleić się na jakąś scenę, robię tylko pogodne, żółte tło, korzystając z akwarelowego filtra. I piszę:

Zrobiłam sobie parę dni wolnego i bardzo za Wami tęskniłam! Dziękuję, że zawsze tu jesteście, dla mnie i dla siebie nawzajem. Proszę, pamiętajcie: jeśli się ukrywam, to nie przed Wami.

Przez godzinę odpowiadam na komentarze, staram się uporać z robotą jak najszybciej, żeby dotrzeć do tyłu obserwujących, ilu się da. Jestem na haju, co tu kryć. Gdy tylko obserwujący mnie widzą, dostają lekkiego świra, tak bardzo chcą przykuć moją uwagę. Mija godzina, a ja nie mogę przestać. „Jeszcze tylko jeden...”, powtarzam sobie. A potem mija kolejna godzina, i jeszcze jedna...

W końcu wszystko mi się rozmywa przed oczami, już nie

widzę ekranu. Piszę ostatni post i padam na łóżko.

Rankiem znajduję ładowarkę za toaletką i przed wyjściem do szkoły podłączam telefon. Nie mogę się doczekać, aż powiem Liptonowi, że wkrótce będziemy rozmawiać i pisać esemesy, ale nie ma go przy mojej szafce. Idę do jego szafki, źle się czując z powodu przełamania codziennej, bezpiecznej rutyny. Muszę to jednak zrobić, żeby go znaleźć. Tam też go nie zastaję. Martwię się, że się minęliśmy i że teraz czeka przy mojej szafce, ale jest już za późno, żeby iść i sprawdzić, a potem zdążyć na lekcję. Idę więc prosto do klasy pana Braxleya. Tam też nie ma Liptona.

Siadam nerwowo i wpatruję się w jego pustą ławkę. Dzwoni dzwonek, a dwie sekundy później drzwi się otwierają i Lipton wchodzi do klasy. Spogląda na pana Braxleya.

- Przepraszam - mamrocze.

Ze spuszczoną głową przechodzi przez klasę i siada w ławce.

Czekam na jego uśmiech, na liścik... na cokolwiek. On jednak zachowuje się tak, jakbym nie istniała. Ściska mnie w żołądku, serce mi wali. Lipton zawsze na mnie patrzy, kiedy wchodzi. Dlaczego nie patrzy teraz?

Pan Braxley zaczyna lekcję, a ja słyszę ryk w uszach. Coś jest nie tak. Staram się domyślić, co zaszło od naszego ostatniego spotkania. Szliśmy do autobusów i on powiedział... Kurczę, powiedział, że do mnie napisze. Może próbował i teraz myśli, że go ignoruję, bo nie odpisałam.

Odrywam kawałek papieru i piszę:

Dopiero dziś rano znalazłam ładowarkę,
jeśli próbowałeś pisać. Sorry! :)

Rzucam liścik na jego ławkę, kiedy pan Braxley stoi tyłem. Lipton przykrywa ją ręką, ale nie czyta, tylko wsuwa do zeszytu.

Odkasłuję.

W końcu na mnie patrzy.

- Wszystko okej? - szepczę bezgłośnie.

Kiwa głową, ale nadal nie czyta listu. Wygląda tak, jakby było mu niedobrze.

Pan Braxley wystawia nam ocenę za prezentację o oblężeniu Jerozolimy. Dostajemy po szóstce. Czekam, aż Lipton spełni obietnicę i zacznie tańczyć, ale on tylko bez przekonania podnosi kciuki i uśmiecha się niemrawo. Naprawdę dziwnie na mnie patrzy.

Adam też to zauważa i szturcha go w ramię.

- Co jest nie tak? - pyta.

- Kiepsko się czuję - mamrocze Lipton.

Próbuję porozmawiać z nim po lekcji, ale wybiega w pośpiechu.

- Chyba muszę iść do pielęgniarki - rzuca tylko.

Adam staje obok mnie i wzrusza ramionami.

- Chyba się pochorował czy coś - oznajmia.

Kiwam głową. Martwi mnie to „czy coś”. Jestem wściekła, że wczoraj spędziłam tyle czasu na Instagramie, zamiast poszukać ładowarki. Teraz miałabym sprawny telefon i mogłabym od razu napisać, dowiedzieć się, o co chodzi.

A może gdybym wymieniła z nim wiadomości wczoraj wieczorem i teraz, w ogóle by się na mnie nie wściekał.

Na przerwie też nie pojawia się przy mojej szafce, więc idę do jego. Widzę na korytarzu Adama i podchodzę ze ściśniętym żołądkiem.

- Nie widziałem go - mówi, zanim zdążę o cokolwiek zapytać. - Może wrócił do domu?

Podczas przerwy na lunch idę do redakcji. Marissa, Beth Ann i Marvo już tam są, ale wiszą nad nimi egzaminy, więc wszyscy troje się uczą, zamiast pracować nad księgą. Próbuję wyretuszować kilka zdjęć, ale nie mogę się skupić. Lipton nie ignorowałby mnie tak, nawet gdyby był chory.

Zdecydowanie coś jest nie tak.

Ktoś puka do drzwi, co jest niezwykle, bo ludzie po prostu wpadają do środka. Nikt się nie rusza, żeby otworzyć.

- Proszę! - wrzeszczy Marissa.

Znowu pukanie, nieco głośniej.

- Jezu. - Marvo ze znużeniem podchodzi do drzwi i otwiera je szeroko.

To Lipton.

- Co jest? - warczy Marvo żartobliwie, ale Lipton tego nie wie, więc cofa się odruchowo.

- Eee... Szukam Vicky.

Wyglądam zza komputera.

- Możemy porozmawiać na osobności? - Głos mu się łamie.

Marvo, Beth Ann i Marissa spoglądają na siebie wymownie.

- Jasne, już... - Sięgam po plecak.

- Właśnie wychodziliśmy - przerywa mi Marissa. - Prawda?

- Szturcha Marva i Beth. - Pogadajcie tutaj.

Zabierają swoje rzeczy i mijają Liptona, kiedy wchodzi.

- Do zobaczenia, Vic! - mówi Beth Ann i zamyka drzwi.

Czekam, aż Lipton się odezwie, ale on tylko się na mnie gapi. Ciężko oddycha, jego ramiona unoszą się i opadają.

- Mówiłaś, że nią nie jesteś - wyrzuca z siebie. - Mówiłaś, że nie ma cię na Instagramie.

Och.

Kręcę głową.

- Nie wierzę, że przez cały ten czas... - Przejeżdża palcami przez włosy.

- To nie ja - mówię.

Wiem, że nie ma sensu zaprzeczać, ale rozpaczliwie pragnę, żeby Lipton przestał patrzeć na mnie tak jak teraz.

Pochyla się nad komputerem Beth Ann i szybko wchodzi na Instagram. Jednym palcem wstukuje nazwę mojego konta, klika i pokazuje się zdjęcie, które wczoraj zamieściłam.

- No to powiedz, dlaczego ona ma wisiołek, który ci dałem.

Machinalnie unoszę rękę. Mieczyk jest ukryty pod swetrem, we wgłębieniu pod szyją. Na fotografii Observi ma top z dekoltem, więc cały świat może zobaczyć łańcuszek.

- Założę się, że mnóstwo osób taki nosi - mówię.

- Mnóstwo osób, które wyglądają dokładnie tak jak ty?

Pokazuję swoje przyklepane włosy i workowate ciuchy.

- W ogóle jej nie przypominam.

Ponownie pochyla się nad komputerem i robi zbliżenie na moje usta.

- Ten pieprzyk. - Pokazuje małe znamię nad moją wargą. -

Myślisz, że go nie rozpoznaję? Całowałem go.

Dotykam pieprzyka palcem.

- Widzisz? Doskonale wiesz, gdzie jest.

Szybko opuszczam rękę i siadam na najbliższym krześle.

- Jesteś Observi - mówi Lipton.

Kiwam głową.

- Nie rozumiem. Jak... Dlaczego... - Patrzy na mnie z niedowierzaniem. - W ogóle tego nie łapię.

- Trudno to wyjaśnić.

- Spróbuj.

Siada na krześle Beth Ann, pochyla się ku mnie i czeka. Przyciągam kolana do brody.

- Jenna była moją najlepszą przyjaciółką, ale się przeprowadziła. Znalazła sobie nowych przyjaciół. Słyszałam, jak im mówi, że jestem żalosna. Byłam sama. Nikogo nie miałam, więc stworzyłam kogoś, kto jest wszystkim, czym ja nie jestem, kto robi rzeczy, których ja nie mogłabym zrobić. Ona jest lepsza - dodaję.

- Kto tak twierdzi?

- Dwa miliony czterysta tysięcy obserwujących. - Zerkam na niego. - Mniej więcej.

- Więc jest znana. Może nawet sławna. I dlatego jest lepsza?

- Observi pomaga ludziom. - Przełykam ślinę. - Wspiera ich. Jej obserwujący też się wspierają. Więc... Sama nie wiem. Powstała społeczność odrzutków i osamotnionych, takich jak ja. Ci ludzie ją kochają.

- Kochają ciebie.

- Skąd! Właśnie o to chodzi. Ani trochę jej nie przypominam. Gdyby się dowiedzieli, że to ja... - Zamykam oczy. - Kochają Obserwi, nie mnie.

- Więc dwa miliony ludzi zna twoją drugą stronę.

- Ona nie jest...

- Przestań mówić o niej tak, jakby była kimś innym - przerywa mi. - Ona to ty! Ty jesteś nią!

Wbijam wzrok w podłogę.

- Mogłaś mi powiedzieć - mówi.

- To by wszystko zepsuło.

- Niby jak?

- Bo już nie byłabym dla ciebie Vicky, a tylko ty mnie lubiłeś.

- Opuszczam głowę między kolana. - Taką, jaka jestem.

- Boże, Vicky. - Klęka przede mną, dotyka głową mojej głowy. - To by nic nie zmieniło. Nic nie zmieni.

- A skąd wiesz? - Patrzą mu w oczy. - Przypomnij sobie, jaka była twoja reakcja, kiedy się dowiedziałeś. Zrobiło ci się niedobrze, musiałeś iść do pielęgniarki.

- Ale nie dlatego, że jesteś nią. Dlatego, że kłamałaś.

- Nie chodzi tylko o kłamstwo. - Kręcę głową. - Naprawdę się wkurzyłeś.

- Dobra, może trochę. - Lipton kołysze się na piętach. - Myślałem, że cię znam, a nagle okazałaś się kimś innym.

- No właśnie.

- Czekał. Co „no właśnie”?

- Uważasz mnie teraz za kogoś innego. Już nigdy nie spojrzysz na mnie jak kiedyś i pewnie nawet nie polubisz tego kogoś, za kogo mnie teraz uważasz. Już nikt nie będzie mnie

lubił taką, jaka byłem. Całkiem jakbym zupełnie zniknęła, a tylko ty mnie dostrzegałeś. Teraz... teraz już mnie nie ma. Właśnie dlatego ci nie powiedziałam.

Lipton wstaje i przyciska dłonie do głowy.

- Okej, teraz naprawdę nic nie rozumiem - wzdycha.

- Przepraszam. Powinnam już iść. - Nie mogę na niego patrzeć. Wiem, że już nigdy nie zobaczy we mnie tego kogoś, kogo widział wcześniej. - Nie chcę się spóźnić na lekcję.

Lipton się wycofuje, kiedy zbieram rzeczy.

- To wszystko? - pyta. - Jesteś teraz kimś innym i nawet nie dasz mi szansy, żebym się zorientował, czy cię lubię?

- Nie wiem, kim jest ta nowa ja - mówię. - Trudno mi nawet powiedzieć, czy jeszcze istnieję.

- Daj spokój, Vicky, to nie ma żadnego sensu.

Próbuje zagrozić mi drogę, ale się przepycham i wychodzę. Czuję się rozdarta. Vicky Liptona została w tyle, a nie mam pojęcia, kim jest ta nowa Vicky ani dokąd zmierza.

Rozdział 33

Ładuję w swojej ulubionej kabinie łazienkowej, w której zaszyłaby się dawna Vicky, i ukrywam się tam przez resztę dnia. Mogłabym pójść do pani Greene, ale ona chciałaby wiedzieć, co się dzieje, więc musiałabym rozmawiać, a teraz nie mogę.

Ledwie oddycham.

Kładę na sedesie podręcznik do historii, po czym siadam na nim i czekam na ostatni dzwonek, żeby pobiec do autobusu. Nawet się nie zatrzymuję przy szafce, żeby zabrać płaszcz. Kiedy docieram do domu, cała się trzęsę, ale nie z zimna.

Mama pyta, jak mi minął dzień, a ja wybucham płaczem.

- Co się stało? - Natychmiast mnie przytula.

- Tęsknię za Jenną - chlipię.

To nie wyjaśnia tego, co się zdarzyło. A może wyjaśnia. Może wszystko sprowadza się właśnie do tego.

Mama skacze nade mną. Kładzie mnie do łóżka, daje mi kubek gorącego kakao. Głaszcz mnie po głowie i pyta, czy chcę o tym porozmawiać.

- Może później - odpowiadam.

- Dlaczego do niej nie zadzwonisz? - Sięga po telefon, który ładuje się na moim biurku, i odłącza go od prądu. - Od dawna nie rozmawiałyście.

- Może później - powtarzam.

Kładzie telefon na nocnej szafce i wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi. Kat zwija się w kłębek obok mnie i mruczy, wibrując przy mojej nodze. Ogrzewam ręce na kubku z kakao, ale nie piję, a gdy wystygnie, stawiam go na szafce i sięgam po telefon.

Dziwnie się z nim czuję, tak dawno go nie trzymałam. Wprowadzam hasło, ekran się rozjaśnia i widzę na nim zieloną ikonkę wiadomości z liczbą trzydzieści siedem w czerwonym kółku.

Boję się spojrzeć, bo pewnie wszystkie są od Liptona. Pamiętam, że był ostatnią osobą, do której esemesowałam, zanim mama zabrała mi telefon. Umierał ze zgrozy na myśl o tym, że mogłaby przeczytać, co napisał.

Teraz wiem dlaczego.

Adam powtórzył mi, co mówił Braxley. Szaleństwo.

Jesteś tam? Haaalooo...

Okej, gadam sam do siebie. „Tańczę sam ze sobą, o, o, o”.

Krępujące.

Muszę. Przestać. Pisać.

Vicky?

Lubisz mnie? Tak/nie, niewłaściwe skreślić.

...

To taki żarcik.

Ewidentnie Cię nie ma, a ja robię z siebie kompletnego idiotę. Możesz mi przerwać w dowolnym momencie. „Skąd, Lipton, nie jesteś idiotą!”

Vicky?

Tak, jestem dokumentnym idiotą.

Hej, pamiętasz mojego kota? Tęskni za Tobą, bo Cię autentycznie polubił. Powaga. Tak jak ja.

Na mnie czas.

Widzimy się jutro w szkole.

Rozpoznasz mnie po torbie na głowie.

W kółko czytam wiadomości od Liptona. Jest taki uroczy i zabawny, a ja WSZYSTKO POPSUŁAM. Dotykam palcem małego okienka wiadomości i zamieram, sama nie wiem na jak długo, ale nie mam nic do powiedzenia. Dziewczyna, którą lubił, odeszła.

Zamykam wątek Liptona i pod spodem widzę imię Jenny. Podobno jest dwadzieścia jeden nowych wiadomości. Wpatruję się w małe, czerwone cyfry.

Jenna do mnie pisała?

Klikam okienko i próbuję znaleźć początek, tam gdzie zaczęły się nowe. Przewijam do ostatniej, którą wysłała tamtego okropnego dnia. „Miłego życia”. To było jeszcze

w październiku.

Pierwsze nowe pojawiły się dwa tygodnie temu, jeszcze przed Świętem Dziękczynienia.

Vicky, przepraszam. Wściekłam się i napisałam rzeczy, których wcale nie myślałam. Nigdy nie chciałam się przyjaźnić z tamtymi dziewczynami. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Nie wyobrażam sobie lepszej. Wybaczysz mi?

Proszę Cię. Wszystko cofam.

Potrzebuję Cię.

Vicky?

Kilka dni później napisała jedną długą wiadomość.

Naprawdę muszę z Tobą porozmawiać. Chodzi o Tristana. On chce... Mówi, że mnie kocha. Bardzo go lubię, ale sama nie wiem. Koniecznie muszę z Tobą porozmawiać! Proszę, musisz mi wybaczyć. Nie mam nikogo innego.

Pośpiesznie przewijam ekran do następnej wiadomości, napisanej trzy dni później.

Nieważne. Już za późno.

- Neeee! - krzyczę, a wystraszona Kat zeskakuje z łóżka. - Nie, nie, nie, nie, nie, nie.

Mam łzy w oczach. Nie było mnie, kiedy mnie potrzebowała. Pomagałam ludziom na Instagramie, ale zabrakło mnie dla

najbliższej przyjaciółki, gdy miała problemy. Mimo to pisała do mnie codziennie. Nie miała się do kogo zwrócić. Wciąż wracała do mnie, a mnie nie było.

Powiedział wszystkim swoim kumplom, że jestem dziwką.

Jak miło, co?

Zawsze chciałam mieć jakąś ksywkę. Jupi.

Odebrałam prawo jazdy. Dziś pojechałam do szkoły autem mamy. Jakiś koleś zapytał mnie, czy pokażę mu tylne siedzenie. Gnój.

Przy okazji, wiem, że jesteś Observi. Miły kotek.

Pewnie już mnie nie potrzebujesz. Masz milion przyjaciół. To musi być niesamowite.

Ja nikogo nie mam.

Jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Jesteś albo byłaś.

Zawsze byłaś.

Vicky?

Nie dam rady bez Ciebie.

Moją uwagę przykuwa następna data. Wiadomość wysłana dzisiaj, niespełna godzinę temu. Byłam w kuchni z mamą

i płakałam, kiedy Jenna do mnie pisała.

Już nie chcę tu być.

Nigdzie nie chcę być.

Jest też zdjęcie, przedstawiające klif nad jeziorem. Co to ma znaczyć? Siadam i błyskawicznie piszę odpowiedź.

Jenna. Jestem tu.

Mama zabrała mi telefon parę tygodni temu.

Dopiero teraz czytam Twoje wiadomości.

JESTEM TU, JENNA. Kocham Cię. Jestem.

Po każdej linijce naciskam „Wyślij”, ale nie pojawia się powiadomienie o dostarczeniu wiadomości. Przełączam się na telefon i wyszukuję numer Jenny w ulubionych. Dzwonię i słyszę sygnał, który trwa w nieskończoność. Nagle się urywa, ale nie odzywa się zwykła poczta głosowa Jenny, tylko automatyczny głos, który mówi: „Osoba, do której dzwonisz, jest czasowo niedostępna”.

Czekam na piśnięcie. „Jenna? Tu Vicky. Zadzwoń, dobrze?” Głos mi się łamie i nie mogę już mówić, bo zbiera mi się na płacz. Ponieważ jednak wszystko to zaczęło się od nierozmawiania z Jenną, przełykam łzy i wyrzucam z siebie:

- Przepraszam, Jenna. Bardzo cię przepraszam. Proszę, jestem tu. Mam nadzieję, że to twój numer. Jestem tu dla ciebie. Jestem...

Połączenie się urywa, kiedy i tak mówię zbyt cicho, żeby dało się cokolwiek zrozumieć. Oddycham ciężko, słuchając sygnału w telefonie. Siedzę na skraju łóżka i próbuję wymyślić, co dalej. Nie mam czasu, żeby się hiperwentylować ani zwijać w kłębek i uzalać nad sobą, jednak mój przyćmiony umysł funkcjonuje bardzo powoli, więc nie wiem, co robić.

Nagle przypominam sobie, że Jenna dzwoniła do mnie na stacjonarny, więc pewnie też taki ma. Piszę do mamy.

Masz domowy numer Jenny?

Wysłała mi link do informacji kontaktowych mamy Jenny i nawet nie ochrzania mnie za to, że piszę do niej ze swojego pokoju do kuchni. Wybieram numer domowy, po czterech sygnałach włącza się poczta głosowa. Próbuję mówić spokojnie i normalnie, ale mi nie wychodzi.

- Jenna, tu Vicky. Jesteś? Proszę, odbierz. Jenna? - Znow wybucham płaczem i odsuwam telefon, żeby się uspokoić. Dopiero po chwili dodaję: - Zadzwoń do mnie, gdy tylko odsłuchasz to nagranie.

Rozłączam się.

Czuję się tak, jakbym zostawiała wiadomości na puchu dmuchawca i puszczała je z wiatrem. Wiem, że nigdy do niej nie dotrą. Otwieram w telefonie Instagram, chociaż Jenna nie zamieściła nic od wielu tygodni. Nie wiem, jak inaczej mogłabym ją znaleźć. Otwieram konto jennaelizabethtanner i zostawiam komentarz przy ostatnim zdjęciu - fotografii z koncertu, która zainspirowała mnie do zrobienia fotomontażu z Foo Fighters.

observi *Jenna, to ja, V. Jestem tu. Proszę, daj mi znać, że nic Ci nie jest. Jestem tu.*

Nie podpisuję się, ale ona wie, kim jest V. Mogłabym przysiąc, że justjennafied to też Jenna, więc klikam na jej stronę i również zostawiam komentarz.

observi *Czy to Jenna z Wisconsin? Jestem tu, Jenna. To ja, V. Właśnie przeczytałam Twoje wiadomości. Proszę, zadzwoń.*

Bardziej nie mogłam się zidentyfikować. Wszyscy obserwujący Jenny wiedzą, że ma przyjaciółkę Vicky. Liczę jednak na to, że tak stare zdjęcie nie pojawi się w niczych komentarzach.

Przez pewien czas przeskakuję z jednego postu na drugi, licząc na reakcję, ale nic nie ma. Minęła ponad godzina, odkąd przeczytałam wiadomości i tracę cenny czas, nie szukając jej i nie powstrzymując. Krążę po pokoju, czuję się uwięziona i bezradna, aż nagle uświadamiam sobie, że mogę zrobić tylko jedno. I powinnam była od tego zacząć.

Idę do kuchni.

- Mamo?

Mama odwraca się od komputera i patrzy na mnie, marszcząc brwi.

- Kochanie, co się stało? - pyta.

- Musisz mi pomóc - mówię, a łzy znów spływają mi po twarzy. - Koniecznie.

- Oczywiście. - Mama wstaje. - O co chodzi?

- O Jennę. - Wyjaśniam, co się stało i pokazuję jej wiadomości. - Nie rozmawialiśmy od tygodni. Myślałam, że

zostawiła mnie dla nowych przyjaciół. Powiedziała, że jestem żalosna, że zmarnowała na mnie czas, gdy się przyjaźniłyśmy, ale nie mówiła poważnie. Patrz, przez cały czas pisała do mnie wiadomości, a ja nie wiedziałam. Miałaś mój telefon.

Mama przegląda esemesy z szeroko otwartymi oczami.

- Dzwoniłaś do niej? Próbowałaś?
- Tak, ale nie odbiera. Co robić?
- Spróbujemy zadzwonić do jej rodziców.
- Dzwoniłam na stacjonarny. Nikt nie odbiera.
- Mam numery do nich do pracy i na komórki. Zaraz znajdę.
- Chodzę po kuchni, a mama szuka numerów spisanych w książce adresowej, po czym bierze telefon i dzwoni. - Jest sygnał - mówi. - Poczta głosowa.

Zostawia wiadomość na poczcie pani Tanner. Przez cały czas czytam na okrągło esemesy od Jenny.

Już nie chcę tu być. Nigdzie nie chcę być.

- Musimy zadzwonić na policję - mówię, kiedy mama się rozłącza.

- Najpierw spróbujemy do jej ojca.

Wystukuje numer do ojca Jenny, ale on też nie odbiera. Mama zostawia nieco bardziej nerwową wiadomość.

Rozłącza się i bez tchu patrzemy na siebie przez chwilę.

- Dzwon na policję - mówię.

Mama wypuszcza długo wstrzymywane powietrze.

- Dobrze. Dzwonimy na policję.

Gdy wybiera numer, jej ręka drży. Odbiera dyspozytorka.

- Chcę złożyć doniesienie o możliwej próbie samobójczej -

mówi mama.

Kiedy słyszę, jak mówi to o Jennie, całe powietrze uchodzi mi z płuc. Przyciskam pięść do ust, a łzy spływają mi po policzkach. Wiem, że nigdy sobie nie wybaczę, jeśli coś jej się stanie. Mama odsuwa słuchawkę od ucha, żebym słyszała, co mówi dyspozytorka.

- Proszę podać miejsce.

- W Wisconsin - mówi mama.

- Jest na urwisku! - krzyczę. - Nad jeziorem.

Dyspozytorka mówi, że połączy nas z tamtejszą policją. Mama gładzi mnie po głowie, uspokaja.

- Wszystko w porządku - powtarza. - Wszystko będzie dobrze.

- A jeśli nie? A jeśli już za późno?

Jak mogłam pomagać wszystkim innym, milionom zupełnie obcych ludzi, ale ignorować najlepszą przyjaciółkę?

Oczekiwanie ciągnie się w nieskończoność, aż w końcu odzywa się dyspozytorka z Wisconsin i mama wyjaśnia sytuację. Nie mogę jednak siedzieć i czekać z założonymi rękami.

Biorę od niej telefon. Nie jestem spokojna.

- Nazywa się Jenna Tanner. Myślę, że może spróbować się zabić. Jest na urwisku gdzieś w Wisconsin. Myślę, że skoczy w przepaść.

- Ma pani adres? Potrzebna mi konkretna lokalizacja, żeby wysłać patrol.

- Jest tam jezioro - mówię. - A nad nim urwisko.

- Bardzo mi przykro, ale w Wisconsin mamy mnóstwo jezior.

Bez adresu, bez nazwy jeziora...

Mama odbiera mi telefon.

- Mieszka w Madison - mówi. - Więc prawdopodobnie gdzieś w okolicach Madison.

Podajemy numer Jenny, aby mogli ją namierzyć satelitarne. Dyspozytorka mówi jednak, że udałoby się zlokalizować Jennę w taki sposób tylko wtedy, gdyby sama zadzwoniła na numer alarmowy. Nie mogą pomóc. Nic nie mogą zrobić. Mama jest tego równie świadoma jak ja. Patrzymy sobie w oczy.

- Spróbuj jeszcze raz do rodziców - mówię. - Mam pomysł.

Zostawiam mamę w kuchni i biegnę ze swoim telefonem do pokoju. Siadam przy biurku, po czym otwieram zdjęcie klifu, które przesłała mi Jenna. Na tej fotografii nie pojawi się Observi, ale nigdy nie zamieściłam ważniejszej. Być może już nigdy nic nie zamieszczę, jeśli Jenna...

Nie, tak nie można myśleć. Nie zrobi tego. Nie może.

Szybko piszę post:

SOS. Potrzebuję Waszej pomocy! Moja najlepsza przyjaciółka Jenna ma kłopoty. Jeśli jesteście w Wisconsin, pomóżcie mi ją znaleźć. Znacie to urwisko? Proszę Was, idźcie tam. Powiedzcie, że ją kocham. Powiedzcie...

Przestaję pisać. To, co zrobię, wszystko zmieni. Na zawsze stracę Observi. Być może i siebie. Ale nie mogę stracić Jenny.

Powiedzcie jej, że VICKY DECKER JĄ KOCHA.

Klikam „Wyślij” i czekam. Na ekranie pojawia się zdjęcie. Natychmiast dostaję lajki.

- Nie chcę waszych lajków! - krzyczę. - Chcę pomocy!

Mama wpada do pokoju.

- Znowu zostawiłam wiadomości i zadzwoniłam do biura Jeanette. Powiedziałam sekretarce, co się dzieje, ale Jeanette jest w podróży służbowej. Nie odpowiadają. Zastanawiam się, czy mogłybyśmy zadzwonić jeszcze do kogoś.

- Do Tristana - mówię.

- Do tego chłopaka, który... - Mama się krzywi.

- On może wiedzieć, gdzie ona jest.

- Tak, tak. - Kiwa głową. - Warto spróbować. Znasz jego numer?

- Nie, ale spróbuję skontaktować się z nim przez Instagram.

Sięgam po telefon, przesuвам ekran i stukam palcem, aż trafiam na konto Jenny oraz post ze zdjęciem jej i Tristana. Otagowała go. Przechodzę na jego stronę i piszę komentarz pod ostatnim postem.

Szukam Jenny. Ma kłopoty. Czy gdzieś w waszych okolicach jest urwisko nad jeziorem? Ona może tam być. Czy mógłbyś...

- Vicky?

Mama klepie mnie w ramię i patrzy na monitor komputera, na Observi, na małe, profilowe zdjęcie dziewczyny z pomarańczowo-fioletowymi włosami. Mama pokazuje ekran palcem.

- Później wyjaśnię - mówię.

- Nie, popatrz. Odpowiadają.

Odwracam się do komputera. Observi dostaje wiadomości od fanów z Wisconsin.

sasharocksscotland *Wiem, co to jest. To Diabelska Skała.*

jesseethehiker *Park Stanowy Diabelskie Jezioro.*

badasschristinio *Ktoś dzisiaj wędruje po Diabelskiej Skale?*

Spoglądam na mamę, która z rozchyłonymi ustami wpatruje się w ekran. Stara się zrozumieć, co robię na profilu Observi.

- Mamo - odzywam się. - Możesz jeszcze raz zadzwonić na policję? Powiedz, że to Diabelska Skała.

Kiwa głową i biegnie do kuchni po telefon. Słyszę, jak dzwoni i powtarza wszystkie informacje, ale teraz dodaje nazwę miejsca. Chodzi po korytarzu przed moim pokojem.

Patrzę na komentarze. Pojawia się więcej obserwujących z Wisconsin. Rozpoznają Diabelską Skałę. Byli tam, ale teraz nikogo tam nie ma. W końcu pojawia się wpis:

staceyfromindiana *Mój brat jest dzisiaj na Diabelskiej Skale. Spróbuję się z nim skontaktować.*

Wbijam wzrok w ekran, mentalnie próbując zmusić go, żeby pokazał mi wiadomość, na którą czekam. To jednak trwa wiecznie, a ludzie zostawiają mnóstwo komentarzy i boją się, że coś przegapię. Dlatego piszę bezpośrednio do niej.

observi *Jakieś wieści, @staceyfromindiana? Udało Ci się z nim skontaktować?*

staceyfromindiana *Nie mogę się połączyć. Zapomniałam, że tam nie ma zasięgu.*

Z mojego gardła wydobywa się dźwięk, będący na wpół

krzykiem, na wpół jękiem. Mama wpada do pokoju.

- Co się stało?

Nie mogę mówić. Wskazuję na ekran, a ona czyta. Wciąż ma telefon przy uchu.

- Wysyłają patrol interwencyjny, niedługo się tam zjawi - uspokaja mnie mama. - Mam zostać na linii, dopóki jej nie znajdą.

Obie gapimy się na komputer, co trwa w nieskończoność. Co jakiś czas mama mówi do telefonu: „Tak, jestem” albo: „Nie, nie wiemy nic nowego”. Kiwa głową i kilka razy dodaje: „Dobrze, dziękuję”.

- Trochę to potrwa, zanim wdrapią się po szlaku - mówi do mnie cicho.

Chcę zwinąć się na łóżku i leżeć, aż znajdą Jennę, ale wpatruję się w komentarze. Mnóstwo ludzi pyta, czy ją znalazłam, czy jest w porządku, czy naprawdę nazywam się Vicky Decker. Ktoś nawet pisze: „Vicky Decker z liceum Richardsona?”.

Wiedziałam, że tak będzie, ale nie sądziłam, że tak szybko. Chcę zniknąć, lecz nie mogę oderwać wzroku od ekranu, dopóki nie dowiem się czegoś o Jennie albo dopóki nie znajdzie jej patrol. Przewijam, czytam, płaczę.

W końcu ktoś pisze:

hikerdude22 *Mój kumpel gdzieś tam jest. Pożyczył ode mnie satelitarny. Spróbuję go złapać.*

- Tak. Tak. Proszę - szepczę, a mama biegnie do mnie sprawdzić, co się dzieje.

- Ktoś próbuje skontaktować się przez telefon satelitarny z turystą, który tam wędruje - mówi mama do aparatu. - Tak... Damy znać.

Obie czekamy i patrzymy. Nagle:

hikerdude22 *Schodzi. Właśnie minął dziewczynę, która się wspinała, więc zawraca, żeby sprawdzić, czy to Twoja przyjaciółka.*

Zaczynam gorączkowo pisać.

observi *Ma na imię Jenna. Długie brązowe włosy.*

Próbuję opisać ją dokładniej, ale mózg mi się wyłączył i myślę tylko o rzeczach typu „nie potrafi wiązać butów”. Wszystkie wspomnienia o Jennie, o naszej przyjaźni i o tym, jaka jest dla mnie ważna, kumulują mi się w piersi i nie mogę ich uwolnić, bo rozpadną się na milion okruchów. Udaje mi się tylko napisać:

observi @hikerdude22 *Poproś, żeby ją ode mnie przeprosił.*

observi @hikerdude22 *I niech jej powie, że jest moją najlepszą przyjaciółką.*

Minuty ciągną się jak godziny. A jeśli ten ktoś się spóźni? A jeśli skoczyła? A jeśli nie jest tą dziewczyną, którą minął na szlaku?

Znów płaczę z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie mogę przestać wyobrazać sobie najgorszego - samotnej Jenny na skraju

przepaści. Myśli, że mi na niej nie zależy, że wystarczy zrobić jeden krok w kierunku horyzontu, w nicość, i od razu będzie lepiej.

Nie będzie lepiej, Jenna. To tylko odbierze ci szansę na to, żeby wszystko uporządkować. Nigdy więcej się nie zobaczymy. Nigdy nie będę miała okazji cię przeprosić.

- Jenna, nie zabieraj mi tego, proszę cię - mamroczę. - Tylko ty znasz prawdziwą mnie. Tylko ty.

Mama gładzi mnie po plecach.

- Znajdą ją - powtarza. - Wszystko będzie dobrze.

A potem znów mówi do dyspozytorki.

- Tak, jestem... Nie, nic więcej nie wiemy... Nigdzie się nie wybieram.

I nagle dzieje się to:

hikerdude22 *Ma ją. Pokazał jej Twój post. Płacze, ale jest bezpieczna.*

Mama szlocha i uśmiecha się za mną.

- Ktoś do niej dotarł - mówi do telefonu. - Turysta.

Dyspozytorka każe mamie pozostać na linii. Patrol nadal wędruje w górę szlaku.

Drżącymi rękami wystukuję na klawiaturze:

observi *Dziękuję, @hikerdude22. Podziękuj kumplowi i powiedz jej, że nie mogę się doczekać rozmowy. Niech zadzwoni najszybciej, jak zdoła.*

hikerdude22 *Kumpel ją sprowadza.*

Chcę napisać więcej, ale gapię się tylko na ekran. Jest bezpieczna. Ale czy wszystko z nią w porządku?

Mama znów rozmawia z dyspozytorką.

- Dotarli do niej? Jasne. Tak... Dziękuję. Tak... Dziękuję. - Rozłącza się i mnie przytula. - Zabiorą ją do szpitala na ogólne badanie i zatrzymają, dopóki nie pojawi się któreś z rodziców. Powinnam do nich zadzwonić. Wpadną w panikę po odsłuchaniu moich wiadomości.

Siada na brzegu mojego łóżka, żeby zatelefonować, a ja słucham jej przez chwilę, po czym znów odwracam się do komputera. Spisuję imiona i nicki tych, którzy pomogli mi odnaleźć Jennę, bo chcę im podziękować. Potem usuwam post o Diabelskiej Skale. Choć nie napisałam nazwiska Jenny, nie chcę przyciągać jeszcze więcej zbędnej uwagi. Część mnie liczyła na to, że znowu uda mi się powrócić do bezpiecznej anonimowości, ale jest za późno.

Post wisiał przez mniej więcej godzinę i w tym czasie przeczytało go kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Niektórzy go repostowali - może próbowali pomóc, a może chcieli być wśród pierwszych, którzy ujawnią moją tożsamość. Post wisi pewnie na Facebooku, na Twitterze i kto wie gdzie jeszcze.

Ujawniłam się, choć chyba nie jestem na to gotowa.

Mama kończy nagrywanie trzeciej serii wiadomości dla rodziców Jenny, po czym staje za mną i kładzie ręce na moich ramionach.

- Chcesz mi opowiedzieć o... - Wskazuje na ekran.

- To mój profil. To ja jestem Observi.

- Tak, teraz to widzę. Ale kiedy...

Odwracam się i wszystko jej wyjaśniam. Mówię, jak robiłam zdjęcia, jak je photoshopowałam, a ona kiwa głową. Spogląda na mnie, na Observi, i znowu na mnie.

- To ty - mówi. - A wtedy... - Przypomina sobie, jak otworzyłam drzwi w stroju Observi. - Jak to możliwe, że cię nie rozpoznałam?

- Nikt mnie nie rozpoznał - mówię.

- Masz dwa miliony obserwujących, Vicky. Ponad dwa miliony.

- Nie dlatego to zrobiłam.

- Wiem. - Kiwa głową i przegląda komentarze. - Widzę. Przepraszam, że nie widziałam tego wcześniej.

- W porządku.

Idzie do drzwi, ale zatrzymuje się na moment.

- Jestem z ciebie dumna, Vicky - odzywa się. - Z tego, co zrobiłaś jako Observi i z tego, co zrobiłaś dla Jenny. To bardzo odważne.

Próbuję się do niej uśmiechnąć.

- Więc dlaczego tak się boję?

- Nigdy nie myl odwagi z niezdolnością do odczuwania lęku - śmieje się mama. - Kiedy stawiasz czoło swoim lękom, żeby zrobić to, co należy, jesteś odważna.

- Przecież stworzyłam Observi, żeby się ukryć przed swoimi lękami. Kazałam jej robić wszystko to, czego się boję. Jest totalnym wytworem wyobraźni. Niby co to ma wspólnego z odwagą?

- Nie oszukuj się, kochanie. Może nie poleciałaś w kosmos ani nie jeździłaś na hipogryfie, ale pomyśl o tych wszystkich

ważnych sprawach. - Wskazuje na komputer, na instagramowe zdjęcie. - Ty to zrobiłaś. Powinnaś być z siebie dumna.

Padam na łóżko.

- Chcę, żeby to wszystko zniknęło - mówię.

- Naprawdę?

Przytulam poduszkę, myśląc o obserwujących, którzy na mnie liczą. O tych, którzy wpadli w panikę, kiedy nie zamieściłam nic przez tydzień.

- Chyba nie - przyznaję. - Ale teraz wszyscy będą wiedzieli, kim jestem. Będą wytykali mnie palcami, gapili się i rechotali. To jakby w jednej chwili spełniła się cała moja Lista Grozy.

- Co takiego?

- Nic... Wszystko, czego się boję.

- Damy sobie radę. Tata, ja, Jenna... i Lipton. I zaprowadzimy cię do psychologa, dobrze?

Mocniej ściskam poduszkę.

- Dzisiaj wszystko zepsułam z Liptonem.

- A możesz to naprawić? - pyta mama z uśmiechem.

- Niewykluczone.

- No to na co czekasz?

Wychodzi, zamykając za sobą drzwi, a ja chwytam telefon i otwieram wiadomości od Liptona. Próbuję ubrać w słowa to, jak mi przykro, ale ciągle coś piszę i kasuję. Nagle z boku ekranu pojawiają się trzy kropki, a potem słowa:

On *Jesteś tam?*

Ja *Tak.*

On *Możemy pogadać?*

Ja ...

On *Proszę.*

Ja *Okej.*

Gapię się na ekran, czekając na telefon od Liptona, ale po chwili słyszę dzwonek do drzwi oraz wołanie mamy z salonu. Otwieram drzwi, wyglądam na korytarz i widzę Liptona, który przyszedł do mnie z wizytą.

Nie podchodzę do niego, tylko podbiegam i rzucam mu się w ramiona. Przytula mnie, chociaż na to nie zasłużyłam, ale tak się cieszę, że tu jest.

- Przepraszam - mamroczę mu w szyję. - Mój mózg to dupek.

Lipton się śmieje, a mama cmoka z udawaną dezaprobatą. Piorunuję ją wzrokiem nad ramieniem Liptona.

- Będę obok - mówi mama i wycofuje się do kuchni.

Lipton się odsuwa, żeby na mnie spojrzeć.

- Czyli mogę cię lubić? Tę nową siebie?

- Trudno mi uwierzyć, że lubisz którąkolwiek mnie - odpowiadam. - Ale tak, proszę.

Znów się śmieje, przytula mnie i całuje tak, że o rany. Naprawdę nieźle. Kręci mi się w głowie, kiedy odrywa usta od moich.

- Powinnaś cię ostrzec - mówię. - Ta nowa ja jest w rozsypce.

- Widziałem, co się stało. Wszystko u ciebie w porządku? A u Jenny?

- Znaleźli ją. - Kiwam głową. - Ma zadzwonić, kiedy wróci do domu. - Uświadamiam sobie, że wciąż trzymam telefon

w dłoni, którą przyciskam do pleców Liptona. Patrę na ekran, żeby sprawdzić, czy na pewno nie przegapiłam telefonu. – Ale mnie nie nienawidzi. Dobrze i to.

– Nikt cię nie nienawidzi. Nie wiem, dlaczego w ogóle tak myślisz.

– Mój mózg to... – Wzruszam ramionami.

– Wcale nie dupek – oponuje. – To twój mózg i lubię go takim, jaki jest.

Opieram głowę na ramieniu Liptona i przez chwilę siedzimy w salonie. W końcu jednak przychodzi mama i pyta, czy nie chcielibyśmy czegoś zjeść, więc idziemy za nią do kuchni.

– Dzwoniłam do pani Greene – mówi mama. – Jutro zawiozę cię do szkoły i pójdziesz prosto do jej gabinetu. Lipton, mogę podwieźć i ciebie? Pani Greene pomyślała, że podczas jutrzejszego spotkania Vicky powinna mieć przy sobie przyjaciela.

– Nie ma problemu. – Lipton się uśmiecha.

– Chyba że wolisz zostać w domu, Vicky. Masz taką możliwość.

Szczerze mówiąc, najbardziej na świecie chciałabym zostać w pokoju i bardzo długo z niego nie wychodzić, ale odkładanie tej rozmowy na później tylko pogłębi mój lęk.

– Pójdę – mówię.

Jenna dzwoni koło północy, już po wyjściu Liptona. Jestem w piżamie, ale nie mogę spać, bo ciągle rozmyślam o tym, co się stało. Razem z telefonem wpełzam do łóżka.

– Zabrali mnie do szpitala – mówi Jenna. – Musiałam porozmawiać z jakąś babką na oddziale psychiatrycznym.

Mówiłam, że wszystko u mnie w porządku, ale nie chcieli mnie puścić, dopóki nie przyjechała mama. Przez jakiś czas jej odbijało, więc nie mogłam zadzwonić wcześniej.

Jenna opowiada mi, co się wydarzyło. Tristan był z początku miły, ale wszystko szło zbyt szybko. Ciągłe naciskał, żeby robiła rzeczy, na które nie miała ochoty, i za każdym razem, gdy spotykał się z odmową, oświadczał: „A ja myślałem, że jesteś cool” i: „Nie sądziłem, że taka z ciebie podpuszczalska”. Bała się z nim zerwać, bo jej jedynymi przyjaciółmi byli jego przyjaciele, więc zostałyaby sama jak palec.

Wciąż mamrocze: „Przepraszam”, gdy opowiada mi resztę, jak dopadł ją na osobności podczas imprezy i zrobił się natarczywy.

- Powiedziałam mu, że chcę tylko się przyjaźnić - mówi. - I że chcę do domu. A wtedy mu odbiło.

- Nie mów mi, że on...

- Nie, na szczęście. Ale nie chciał mnie wypuścić z pokoju, a potem opowiadał na lewo i prawo, że to zrobiliśmy. I jeszcze dawał do zrozumienia, że mam obsesję na punkcie... No wiesz. Plotka się rozniosła, ludzie zaczęli mnie obgadywać i autentycznie mnie to przybiło.

- Powinnam była cię wspierać. Bardzo przepraszam.

Przez chwilę obie milczymy, ale to nie jest niezręczna cisza. Słyszę oddech Jenny, ona też na pewno słyszy mój. Tysiące razy tak siedziałyśmy, po prostu byłyśmy ze sobą. To normalne. Znajome.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że mnie znalazłaś - odzywa się

cicho Jenna. – Na urwisku, w samym środku Wisconsin.

Przełykam ślinę. Chcę zapytać, ale boję się poznać odpowiedź, dowiedzieć się, jak bliska byłam utraty Jenny.

– Wszystko w porządku? – pytam. – To znaczy, chyba nie... Nie zrobiłabyś tego...

– Nie zamierzałam rzucić się w przepaść. Fakt, myślałam o tym. Nie chciałam wracać do szkoły. Nic nie chciałam poza tym, żeby to wszystko się skończyło. Ale potem poszłam tam i popatrzyłam na dolinę. Była ładna pogoda, dobra widoczność. Chyba sobie uświadomiłam, że tyle jeszcze przede mną. Naprawdę chcę wiedzieć, co będzie dalej, z tobą, ze mną... Bo ja wiem, ze światem. – Śmieje się. – Będzie lepiej, prawda? No bo przecież liceum nie trwa wiecznie.

– Bogu dzięki.

Jenna znów się śmieje.

– Wiedziałam, że jesteś Observi. Nie mogła zostawić mnie w potrzebie. Ty też byś mnie nie porzuciła.

– Ale to zrobiłam. Myślałam, że lepiej ci będzie beze mnie. Zostawiłam cię.

– Zasłużyłam na to.

– Wcale nie.

– Nie wiem, kim chciałam być. Kimś, kogo nawet nie lubię. A potem nie chciałaś ze mną rozmawiać, a ja pisałam rzeczy, których nie myślałam. Nie wiem dlaczego. Jestem taka głupia.

– Wyobrażałam sobie najgorsze, a potem to się zdarzyło. Jestem jak chodząca, gadająca, samospelniająca się przepowiednia.

– Obie schrzaniłyśmy sprawę, i to jak.

- A potem stworzyłam Observi.

- A ona... Jasna cholera.

Śmiejemy się i mówimy o zwariowanych fotomontażach, które wrzucałam do sieci, o jin-jang, a nawet o nicku Observi i jak to wszystko się zaczęło od naszej przyjaźni. Umawiamy się na spotkanie na Gwiazdkę. Nie wiemy gdzie, ale jedna z nas będzie musiała polecieć do drugiej. Nawet jeśli zabije mnie strach przed lotniskiem, przed przejściem przez kontrolę, przed zdejmowaniem butów przy ludziach i siedzeniem przy zupełnie obcej osobie... i tak spotkam się z Jenną w grudniu.

- A co z Observi? - pyta. - Będziesz to ciągnąć?

- Nie wiem - wzdycham. - Chyba porozmawiam z panią Greene. To moja... psycholog?

Mówię to jak pytanie, bo nigdy nie powiedziałam tego na głos. Mam psychologa.

- Szkolna psycholog pani Greene? - upewnia się Jenna.

- Ta sama. Pomoże mi zrozumieć pewne rzeczy. Tak sądzę.

- Mama mówi, że też załatwi mi psychologa. Zmieniam szkołę. Naprawdę będę cię potrzebowała, Vicky. Obiecuj, że znowu nie znikniesz.

- Nie zniknę, obiecuję.

Gadamy, aż w końcu oczy nam się kleją.

- Mam nadzieję, że nie zrezygnujesz z Observi - mówi Jenna, kiedy już mamy się rozłączyć.

Czuję ukłucie zazdrości, jakby rywalizowało ze mną własne dzieło.

- Wolisz ją ode mnie, co? - pytam cicho.

- Nie, głupolu - odpowiada Jenna. - Po prostu w niektóre dni tylko dzięki niej jakoś się trzymałam.

Rozdział 34

- Wyobraź sobie, że w tym pokoju jest tygrys. O tam. - Pani Greene pokazuje kąt. - Co robisz?

Moje spojrzenie wędruje w tamto miejsce. Rzecz jasna, nie ma tam tygrysa.

- Będiesz z nim walczyć? Uciekniesz?

Kręcę głową.

- Ani drgnę w nadziei, że mnie nie zobaczy - odpowiadam.

- Widzi cię. Idzie w twoim kierunku. Jest coraz bliżej.

Staram się skurczyć.

- Jest tuż przed tobą. Wydaje się głodny.

Minął tydzień, odkąd zdemaskowałam się jako Observi, i to trzecia sesja z panią Greene, która próbuje mi uświadomić, dlaczego zachowuję się w taki a nie inny sposób, czemu panikuję z powodu zwyczajnych rzeczy. Sugestia, że zaraz zostanę pożarta przez tygrysa, wywołuje u mnie większość zwyczajowych reakcji - pocą mi się dłonie, wali serce.

- Kiedy mózg wyczuwa zagrożenie, można zareagować na trzy sposoby - tłumaczy pani Greene. - Walczyć, uciec albo znieruchomieć. Jedni spróbują zaatakować tygrysa, drudzy rzucą się do ucieczki, a trzeci zrobią to, co ty właśnie zrobiłaś. Zamrą w bezruchu.

- I dadzą się pożreć.

Pani Greene chichocze.

- Na szczęście okolica nie obfituje w tygrysy.

Wyciąga schemat budowy mózgu i wskazuje małą plamkę o kształcie migdała. Ten organ to ciało migdałowate i chyba właśnie ono jest tym dupkiem, który rujnuje mi życie. To ono sieje panikę za każdym razem, gdy wietrzy niebezpieczeństwo. Z braku pożaru czy wygłodniałych tygrysów moje ciało migdałowate ma zwyczaj bić na alarm w każdej sytuacji.

To wiele wyjaśnia.

Na przykład to, że czasami nie mogę wykrztusić słowa, a kiedy indziej nie potrafię przestać mówić. Albo to, że słyszę szum w uszach, który zagłusza wszystko inne.

- Kiedy w pokoju jest tygrys, trudno jest myśleć o czymkolwiek poza tym, żeby nie dać się zjeść - mówi pani Greene.

Jestem superskoncentrowana na tygrysie czy też tym, co jest moim tygrysem. Myślę o spóźnieniu się na lekcje, o wywoływaniu do odpowiedzi... O wszystkim na mojej Liście Grozy.

Mam spisać wszystkie swoje tygrysy, a potem zastanowimy się, jak je oswoić. (Albo przynajmniej pozamykać w klatkach i uwierzyć, że mnie nie dorwą).

Na razie pomaga mi to, że ktoś widzi moje tygrysy takimi, jakie są, i mówi mi: „Nic ci nie grozi, nic ci się nie stanie, dasz sobie radę, poradzisz sobie z tym”.

Tym kimś była kiedyś Jenna. Teraz to Lipton, pani Greene i mama. Mam nadzieję, że w przyszłości ja sama będę tą osobą.

Rozdział 35

Gapią się, pokazują palcami, szepczą. Robią to przez cały tydzień, ale pierwszy raz jestem w stołówce, więc wszyscy jednocześnie wlepiają we mnie wzrok, nie każdy z osobna, jak na korytarzu. Pani Greene przekonała mnie, że pora już jadać luncha poza jej gabinetem. Zasugerowałam redakcję, ale uznała, że to niezbyt wielki krok naprzód.

A naprawdę idziemy naprzód. Dała mi do wypełnienia kartkę z diagramem o kształcie drabiny. Na każdym szczeblu musiałam wpisać jednego „tygrysa”, od najmniej do najbardziej strasznego. Mogłabym wymyślić kilkanaście mniej przerażających strachów na najniższy szczebel, ale napisałam „stołówka”, no i właśnie tu trafiłam.

Lipton od tygodnia odgrywa rolę mojej żywej tarczy. Robi dla mnie przejście, kiedy wchodzę, a Adam pilnuje miejsca przy stole. Mimo to i tak słyszę, że ludzie gadają. Niektórzy nie wierzą, że mogę być Observi. Inni pamiętają, że miałam najlepszą przyjaciółkę Jenę, która przeprowadziła się do Wisconsin, więc wierzą, ale ledwo ledwo. Za bardzo jestem nikim, żeby być aż takim kimś. Wcale im się nie dziwię, mnie też trudno w to uwierzyć.

Zgodnie z sugestiami pani Greene Lipton przypomina mi, żebym oddychała. Sprowadziłam go do niej w ramach mojego „planu kryzysowego”, który w skrócie polega na

koncentrowaniu się na jakichś sprawach niezwiązanych z niekomfortową sytuacją. Dotykam mieczyka na łańcuszku, w kieszeni mam zabrane z szafki swoje zdjęcie z Jenna.

Siedzimy przy stole z Adamem, a Lipton udaje, że wszystko jest zupełnie normalne i nikt się na nas nie gapi.

Podchodzą do nas jakieś cztery osoby i już mam się hiperwentylować, kiedy dociera do mnie, że to Marvo, Beth Ann, Marissa i Adrian. Mimo to i tak grozi mi hiperwentylacja, bo jestem bliska łez, a „płacz w stołówce” jest zdecydowanie na liście.

Lipton ściska moją dłoń i się uśmiecha, pokazując przerwę między zębami. Od razu przestaję tkwić w swojej oszalałej, ryczącej głowie. Jenna kiedyś tak samo na mnie działała. Odwzajemniam uścisk.

Zostało jeszcze jedno miejsce przy stole. Pojawia się Raj i pyta, czy może dołączyć. Gdy siada, zauważam sunącą do nas Hallie, która lekko blednie, gdy uświadamia sobie, że została bez miejsca, i zaczyna się rozglądać w poszukiwaniu innego.

- Przesuń się - szepczę Liptonowi do ucha.

Tłoczmy się, ale Hallie może usiąść obok Raja.

- Jestem Raj - przedstawia się jej.

- Wiem. - Hallie uśmiecha się i wygląda jeszcze piękniej niż zwykle. - Uwielbiam twój Instagram.

Rajowi niemal wybucha głowa.

Ludzie przy pobliskich stołach podpuszczają kolegów, żeby podeszli i spytali, czy jestem Observi.

Moi przyjaciele - moi przyjaciele! - ich odpędzają.

Jeremy Everling pokazuje mi uniesione kciuki. Co prawda

niewiele mnie obchodzi, co myśli Jeremy Everling, ale dzięki temu sygnałowi wiem, że wszystko będzie dobrze. Mogę być sobą, pełną wad, jak zakurzona i niedoskonała podłoga mojego pokoju. Mogę być wystraszona i dziwna. Mogę gadać, co mi ślina na język przyniesie albo nic nie mówić. Jeśli Observi czegokolwiek mnie nauczyła, to tego, że nawet sobie nie wyobrażam, ilu jest ludzi podobnych do mnie. Mogę być sobą w każdym wydaniu i nigdy nie będę sama.

Rozglądam się. To oczywiste, że wszyscy czekają, aż coś się wydarzy. Może chcą, żebym powiedziała, że wszystko u mnie okej, żeby oni też poczuli się okej. Może zajmą się sobą, jeśli im pokażę, że jestem dziewczyną z problemami.

Moi przyjaciele są naprawdę niesamowici. Starają się udawać, że to normalny dzień, żartują i się śmieją. Adrian żongluje nożami do masła, a Marissa grozi, że z nim zerwie, jeśli ją dźgnie. Beth Ann i Marvo próbują żonglować łyżkami, które jednak ciągle spadają na stół. Raj i Hallie, pochyleni nad swoimi Instagramami, pokazują sobie najfajniejsze zdjęcia.

Lipton ich obserwuje albo udaje, ale wciąż ściska moją rękę pod stołem. Tylko on zauważa, że podnoszę telefon i robię selfie z torby z lunchem. Zdjęcie wychodzi okropne, rzecz jasna. Jestem nijaka i blada bez peruki, okularów, czerwonych ust. Wycinam większość twarzy, pozostawiając tylko tyle, aby udowodnić, że to ja – jedno oko, policzek, szczękę, ramię, mnóstwo włosów. Przypomina mi się niewidzialnamimi, jedna z pierwszych osób, które podzieliły się swoim bólem z Observi.

Ryzykuję spojrzenie dookoła. Ludzie w pobliżu odwracają

wzrok. Nie chcę zostać przyłapani. Kładę telefon na kolanach, otwieram Instagram i klikam „Edytuj profil”. Zostawiam nick „observi”, ale zmieniam imię na „Po Prostu Vicky”. Kiedy potwierdzam, w całej stołówce rozlega się pomruk. Wszyscy wyciągają telefony i patrzą.

- Oddychaj - przypomina mi Lipton.

Uśmiecham się i oddycham.

A potem wrzucam na Instagram przycięte zdjęcie bez filtra i piszę:

Hej, to ja. Prawdziwa ja. #StawCzołoLękom #KrokPoKroku

Wyłączam telefon, całkowicie, i chowam go do plecaka. Hałas stołówki dorównuje rykowi w moich uszach. Nie słyszę nic innego, ale ich widzę, tak jak oni widzą mnie. *#Widzimy się. Wiem, że już nigdy nie będę #sama.*

[1] *Eleanor Rigby*, tłum. Stanisław Barańczak.

Tytuł oryginału: *How To Disappear*

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Małgorzata Pogoda

Opracowanie redakcyjne: Jolanta Nowak

Korekta: Bianka Dziadkiewicz

© 2017 by Sharon Huss Roat

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2017

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Shutterstock.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 978-83-276-3110-7

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o.